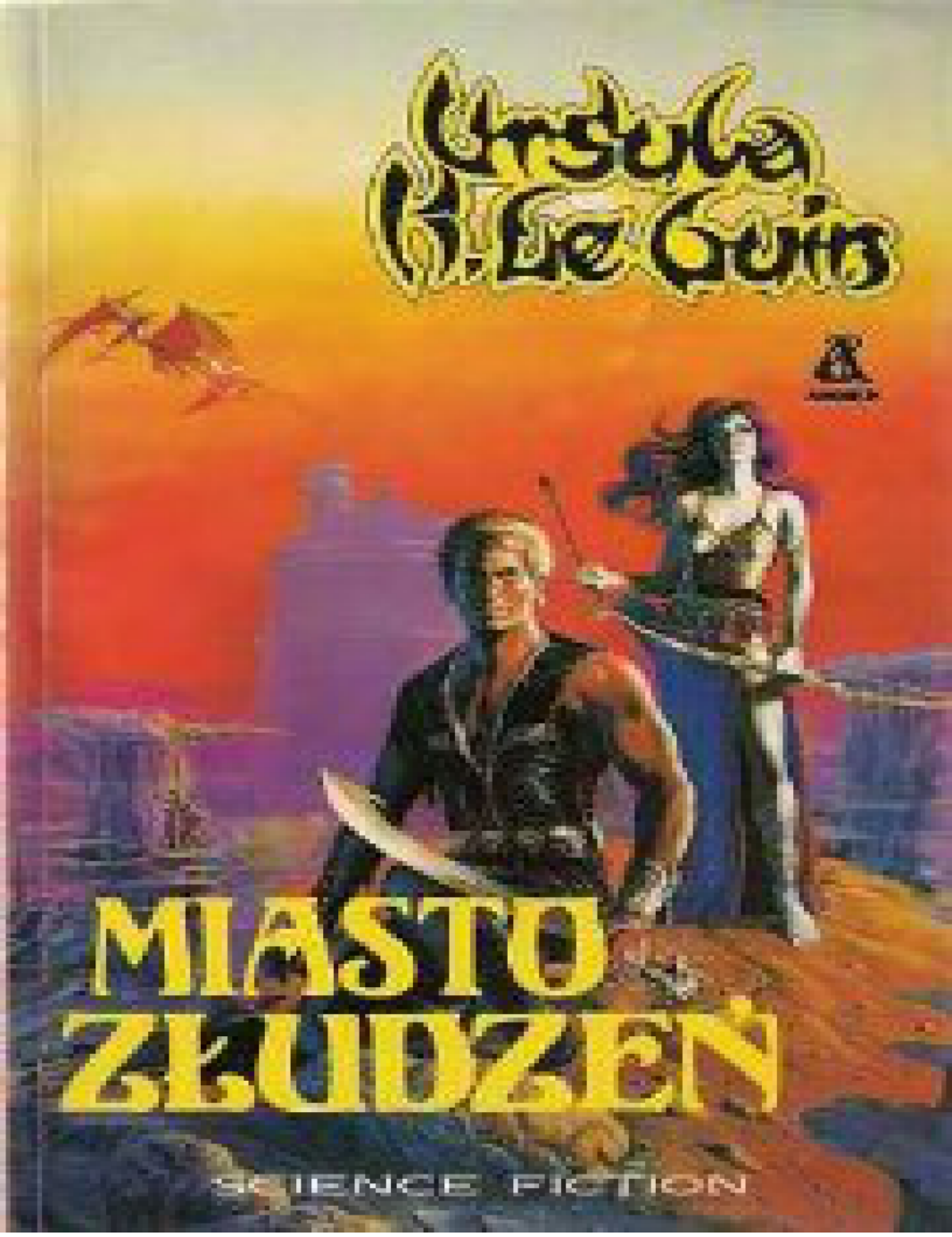
Ursula K. Le Guin
MIASTO ZŁUDZEŃ
SCIENCE FICTION

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Trzeci tom trylogii haińskiej, którego akcja rozgrywa się jednak całe stulecia po wypadkach opisanych w „Świecie Rocannona” i „Planecie wygnania”.

Obejmująca niegdyś tysiące planet Liga Wszystkich Światów rozpadła się, a zamieszkała przez nieliczne ludzkie plemiona Ziemia przeżywa nawrót barbarzyństwa. Są tacy, którzy winią za to przybyłych z kosmosu obcych przybyszów, chociaż owi Shinga nie posługują się przemocą, a fizycznie niczym nie różnią się od ludzi. Znaleziony przez leśnych osadników Falk, człowiek z wytartą pamięcią, wyrusza do miast Es Toch, by poznać swoją przeszłość i swe przeznaczenie. Jednak w Mieście Złudzeń staje wobec nowych zagadek. Kim w istocie jest on sam: Ziemianinem czy przybyszem z odległego świata? I kim są ci, którzy mienią się dobroczyńcami ludzi i spadkobiercami ich wspaniałej cywilizacji? Od odpowiedzi na te pytania może zależeć los całej ludzkości…

- Ursula K. Le Guin
  - I
  - II
  - III
  - IV
  - V
  - VI
  - VII
  - VIII
  - IX
  - X

Ursula K. Le Guin
Miasto złudzeń

I

Wewnętrzna ciemność.

W ciemnościach, gdzie nie docierały promienie słoneczne, ocknął się niemy duch. Bez reszty pogrążony w chaosie nie znał niczego poza nim. Nie umiał mówić, nie wiedział, że ta ciemność jest nocą.

Kiedy ustąpiła przed światłem, tak samo obcym jak mrok, poruszył się — to pełznąc na czworakach, to prostując się, szedł donikąd. Nie znał żadnej drogi przez świat, w którym się znalazł, każda droga bowiem zakłada istnienie początku i końca. Wszystko wokół niego było pogmatwane, wszystko mu wrogie. Jego zmaltretowane jestestwo pobudzały siły, których nie umiał nazwać: przerażenie, głód, pragnienie i ból. Błąkał się poprzez mroczny las nieznanych kształtów, dopóki nie powstrzymała go potężniejsza od tamtych siła — noc. Lecz gdy znowu pojaśniało, zaczął po omacku iść naprzód. Kiedy wydostał się niespodziewanie na szeroki, rozsłoneczniony krąg Polany, wyprostował się i stał tak przez chwilę. Potem zakrył oczy rękoma i krzyknął.

Parth, tkająca na swym warsztacie w zalanym słońcem ogrodzie, dostrzegła go na skraju lasu. Zaskoczona, zawołała innych. Nie przestraszyła się jednak i zanim tamci wybiegli z domu, pospieszyła przez Polanę do niezgrabnej, kulącej się wśród wysokich, przekwitłych traw postaci. Z bliska zobaczyli, że położyła rękę na jego ramieniu i pochylając się nad nim, mówiła coś po cichu.

Odwróciła się do nich z wyrazem zdumienia na twarzy. — Widzicie jego oczy?… — zapytała.

Z pewnością były to dziwne oczy. Wielkie źrenice i bladobursztynowe tęczówki wypełniały cały owal oka, tak że w ogóle nie było widać białek.

— Jak kot — stwierdziła Garra.

— Jak jajko z samego żółtka — dodał Kai głosem wyrażającym ukrytą niechęć wynikającą z zażenowania wywołanego tą drobną, a jednak istotną różnicą.

Poza tym wyglądał jak człowiek, choć błoto, brud i zadrapania pokryły jego twarz i nagie ciało, kiedy przedzierał się bez celu przez las; tylko skórę miał trochę bledszą niż ci śniadzi ludzie, którzy otaczali go teraz rozmawiając o nim spokojnie, podczas gdy on przywarłszy do ziemi, kulił się w słońcu, drżący z wyczerpania i strachu.

Chociaż Parth spoglądała prosto w te dziwne oczy, nie zauważyła w nich śladu myśli. Ich słowa nie wywoływały u niego żadnej reakcji, nie rozumiał znaczenia ich gestów.

— Niespełna rozumu albo obłąkany — powiedział Zove. — Lecz

także umierający z głodu, a temu możemy zaradzić.

Wówczas Kai i młody Thurro na poły niosąc, na poły wlokąc zaprowadzili powłóczącego nogami obcego do domu. Tam, wraz z Parth i Buckeye, nakarmili go i obmyli, a potem położyli na sienniku i podali dożylnie środek nasenny, aby im nie uciekł.

— Czy on jest Shingą? — spytała Parth ojca.

— A czy ty jesteś? Lub ja? Nie bądź naiwna, moja droga — odparł Zove. — Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, wiedziałbym również, jak wyzwolić Ziemię. Tak czy owak, mam nadzieję dowiedzieć się, czy jest szalony, niedorozwinięty czy zdrów na umyśle, jak się tu znalazł i skąd wzięły się u niego te żółte oczy. Czyżby w tym strasznym wieku upadku ludzkości zabrano się za krzyżowanie ludzi z kotami albo sokołami? Poproś Kretyan, niech przyjdzie do sypialnej werandy, córko.

Parth zaprowadziła swą ociemniałą cioteczną siostrę Kretyan na górę, na przewiewny, ocieniony balkon, gdzie spał obcy. Zove i jego siostra Karell, zwana Buckeye, już tam czekali. Oboje siedzieli wyprostowani, ze skrzyżowanymi nogami. Buckeye zabawiała się swoim wzorcem, Zove siedział bez ruchu: brat i siostra w jesieni życia, o szerokich, brązowych twarzach, czujnych i pełnych spokoju. Dziewczęta usiadły opodal, nie przerywając zalegającej ciszy. Parth, czerwonośniada, z twarzą tonącą w powodzi długich, błyszczących, czarnych włosów nie miała na sobie nic oprócz luźnych srebrzystych spodni. Kretyan, trochę starsza, była ciemnoskóra i wątła; czerwona opaska zakrywała jej ociemniałe oczy, podtrzymując z tyłu kaskadę gęstych włosów. Tak jak i jej matka nosiła tunikę z materiału utkanego w drobny wzór. Było gorąco. Popołudniowe letnie słońce płonęło w ogrodach pod balkonem i na falistych polach Polany. Z każdej strony otaczał ich las, ciągnął się wokół Polany zamgloną, niebieskawą linią, aby zbliżyć się do skrzydła budynku skrywając je w cieniu ulistnionych, roztrzepotanych gałęzi.

Czworo ludzi siedziało jeszcze długo; każdy sam, a jednak wszyscy razem, milczący w duchowej wspólnocie.

— Bursztynowy paciorek ześlizguje się wciąż we wzór Bezmiaru — powiedziała Buckeye z uśmiechem, odkładając wzorzec z błyszczącymi paciorkami nanizanymi na przecinające się druty.

— Wszystkie twoje paciorki zawsze ześlizgują się w Bezmiar — odparł jej brat. — To skutek twojego skrywanego mistycyzmu. Zrozum, że w rezultacie skończysz jak nasza matka, która widziała wzory nawet w pustej ramie wzorca.

— Bzdury — sprzeciwiła się Buckeye. — Nigdy w swoim życiu niczego nie skrywałam.

— Kretyan — zwrócił się do siostrzenicy Zove — jego oczy poruszają się. Chyba śni.

Niewidoma dziewczyna przysunęła się bliżej siennika. Wyciągnęła rękę, a Zove ujął ją delikatnie i zbliżył do czoła obcego. Znowu wszyscy umilkli. Słuchali. Lecz tylko Kretyan mogła usłyszeć.

Wreszcie uniosła pochyloną, ślepą głowę.

— Nic — powiedziała z lekkim napięciem w głosie.

— Nic?

— Chaos… pustka. Jest pozbawiony rozumu.

— Kretyan — odezwał się Zove — pozwól, że ci go opiszę. Te stopy chodziły po ziemi, a tym rękom nieobca była praca. Sen i narkotyk zniosły napięcie mięśni, ale tylko myślący umysł mógł nadać tej twarzy taki wyraz.

— Jak wyglądał, kiedy nie spał?

— Był przerażony — odparła Parth. — Przerażony i oszołomiony.

— Może być obcym — zauważył Zove — nie Ziemianinem, chociaż to chyba niemożliwe… a może myśli zupełnie inaczej niż my. Spróbuj jeszcze raz, dopóki śpi.

— Spróbuję, wujku. Lecz nie odbieram żadnej myśli, żadnego autentycznego wzruszenia czy pragnienia. Umysł dziecka potrafi przestraszyć, lecz ten… ten jest jeszcze gorszy — ciemność i coś w rodzaju beztreściowego chaosu…

— Dobrze, nie próbuj zatem — powiedział łagodnie Zove. — Chaos bezrozumu źle wpływa na inny umysł.

— Ciemność, w której on się znajduje, jest gorsza od mojej — odparła dziewczyna. — Tu jest obrączka, na jego ręce… — Na chwilę położyła swoją dłoń na dłoni obcego, ze współczuciem lub jak gdyby prosząc o wybaczenie za to, że podglądała jego sny.

— Tak, złota obrączka, bez monogramu, bez żadnego wzoru. To było wszystko, co miał na sobie. Jego umysł został obnażony do naga, tak jak i ciało. W takim stanie to biedne stworzenie przybywa do nas z lasu — lecz kto je przysłał?

Wszyscy mieszkańcy Domu Zove, z wyjątkiem małych dzieci, zgromadzili się tej nocy w wielkim hallu u podnóża schodów, gdzie przez otwarte wysokie okna wpływało wilgotne powietrze nocy. Światło gwiazd, szum drzew i szmer strumyka — wszystko to wlewało się do skąpo oświetlonego pokoju, tak że osoby i słowa przez nie wypowiadane trwały jakby w jakiejś przestrzeni wypełnionej cieniami, nocnym wiatrem i milczeniem.

— Jak zawsze, prawda unika Nieznanego — zwrócił się do nich swym niskim głosem Pan Domu. — Ten obcy zmusza nas do rozważenia kilku możliwości. Może być imbecylem z urodzenia, który zabłądził tutaj przypadkowo, ale w takim razie komu się zgubił? Może być człowiekiem, którego mózg zniszczono przypadkowo albo też poddano celowej manipulacji. Równie dobrze może być to Shinga ukrywający swój umysł pod pozorami matołectwa. Wreszcie nie musi

być ani człowiekiem, ani Shingą — lecz w takim razie, kim jest? Nie mamy żadnych dowodów przemawiających za lub przeciw któremuś z tych stwierdzeń. Co powinniśmy zatem z nim zrobić?

— Sprawdzić, czy można go czegoś nauczyć — odparła żona Zovego, Rossa.

Najstarszy syn Pana Domu, Metock, powiedział:

— Jeśli okaże się, że można go czegoś nauczyć, tym samym nie będzie można mu zaufać. Może został tu specjalnie przysłany, żeby poznać nasze zwyczaje, domysły, tajemnice. Kot przygarnięty przez dobre myszy.

— Nie jestem dobrą myszą, mój synu — odparł Pan Domu. — Sądzisz zatem, że on jest Shingą?

— Lub ich narzędziem.

— Wszyscy jesteśmy ich narzędziami. Co według ciebie powinniśmy z nim zrobić?

— Zabić, zanim się obudzi.

Łagodne podmuchy wiatru niosły zawodzenie lelka krzyczącego gdzieś na pokrytej rosą, zalanej światłem gwiazd Polanie.

— Zastanawiam się — powiedziała Najstarsza Kobieta — czy przypadkiem nie jest ofiarą, a nie narzędziem. Być może Shinga zniszczyli mu umysł karząc za coś, co zrobił lub pomyślał. Czy powinniśmy wieńczyć ich karę?

— Byłoby to dla niego prawdziwym miłosierdziem — odparł Metock.

— Śmierć to fałszywe miłosierdzie — powiedziała gorzko Najstarsza Kobieta.

Omawiali to przez jakiś czas, spokojnie, lecz z powagą, jaką narzucała zarówno moralna waga sprawy, jak i ciężka, pełna trwogi troska; starali się nie wyrażać wiążących opinii, raczej posługiwać aluzją, ilekroć któreś z nich wypowiadało słowo „Shinga”. Piętnastoletnia Parth nie brała udziału w dyskusji, jednak przysłuchiwała się uważnie. Współczuła obcemu i chciała, aby pozostał przy życiu.

Do grupy dołączyły Ranya i Kretyan; Ranya przeprowadziła na obcym wszystkie dostępne testy fizjologiczne, obecna zaś przy tym Kretyan starała się uchwycić jakąkolwiek psychiczną reakcję. Jak na razie nie miały wiele do powiedzenia poza tym, że system nerwowy obcego, obszary czuciowe oraz podstawowe zdolności motoryczne jego mózgu wydają się normalne, chociaż jego fizyczne odruchy i zdolności ruchowe dają się porównać do tych, jakie posiada roczne dziecko, i że żaden bodziec skierowany do obszarów mózgu zawiadujących mową nie przyniósł jakiejkolwiek odpowiedzi.

— Siła dorosłego człowieka, koordynacja dziecka, pusty umysł — stwierdziła Ranya.

— Jeśli nie zabijemy go jak dzikiego zwierzęcia — odezwała się Buckeye — wówczas będziemy musieli go oswajać i wychowywać… jak dzikie zwierzę.

— Warto spróbować — powiedział głośno brat Kretyan, Kai. — Pozwólcie któremuś z nas, młodych, zająć się nim; zobaczymy, co się da zrobić. Przecież nie musimy uczyć go od razu Wewnętrznych Kanonów. Na początku nauczymy go przynajmniej nie moczyć się w łóżku… Chciałbym się dowiedzieć, czy jest człowiekiem. A jak ty sądzisz, Panie? Zove rozłożył swoje duże ręce.

— Kto wie? Może odpowiedzą na to testy serologiczne Ranyi. Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś Shinga miał żółte oczy czy różnił się w jakiś sposób od Ziemian. Lecz jeśli on nie jest ani Shingą, ani człowiekiem — kim w takim razie jest? Z pewnością nie istotą z Innych Światów, bo te, które były niegdyś znane, nie kontaktują się z Ziemią od dwunastu stuleci. Tak jak i ty, Kai, uważam, że powinniśmy zaryzykować jego obecność tutaj, wśród nas, chociażby z czystej ciekawości…

Tak więc pozwolili mu żyć.

Nie sprawiał wielu kłopotów swym młodym opiekunom. Siły odzyskiwał powoli, dużo spał, a większość pozostałego czasu spędzał siedząc lub leżąc spokojnie. Parth nazwała go Falk, co w dialekcie Wschodniego Lasu znaczy „żółty", z powodu jego bladej skóry i oczu przypominających opale.

Któregoś ranka, kilka dni po jego przybyciu, doszedłszy do miejsca, w którym kończył się wzór tkanego przez nią materiału, Parth pozostawiła w ogrodzie powarkujący z cicha, napędzany energią słoneczną warsztat tkacki i wspięła się na osłonięty parawanem balkon, gdzie umieszczono Falka. Nie spostrzegł jej. Siedział na sienniku wpatrując się uważnie w zasnute mgiełką letnie niebo. Blask wypełnił jego oczy łzami, więc starł je energicznie ręką. I wówczas, zobaczywszy swoją rękę, utkwił w niej wzrok, oglądając grzbiet i wnętrze dłoni. Marszcząc brwi zginał i rozstawiał palce. Potem uniósł znowu twarz w stronę białego blasku słońca i powoli, niepewnie, wyciągnął ku niemu rękę z rozpostartymi palcami.

— To jest słońce, Falk — powiedziała Parth. — Słońce… — Słońce — powtórzył wpatrując się w nie ze skupieniem, tak jakby próżnia i pustka jego istoty wypełniona została światłem słońca i brzmieniem określającego je słowa. I tak rozpoczęła się jego nauka.

Parth wyszła z piwnic i przechodząc przez Starą Kuchnię zobaczyła Falka zgarbionego w wykuszu okna, samego, obserwującego śnieg padający za zabrudzoną szybą. Było to dziesiątej nocy od czasu, kiedy uderzył Rossę, i od kiedy musieli trzymać go w zamknięciu, dopóki się nie uspokoi. Przez cały ten czas zachowywał się odpychająco i nie chciał rozmawiać. Dziwne wrażenie sprawiała jego

męska twarz, pochmurna i zawzięta, po dziecinnemu nadąsana w upartym cierpieniu.

— Chodź do ognia, Falk — rzuciła przechodząc, lecz nie zatrzymała się, aby poczekać na niego. W wielkim hallu przy kominku zatrzymała się na chwilę, potem straciwszy nadzieję, że przyjdzie, rozejrzała się za czymś, co poprawiłoby jej zły humor. Nie miała nic do roboty; śnieg padał, wszystkie twarze były zbyt dobrze znane, wszystkie książki mówiły o czymś, co działo się bardzo daleko i dawno temu i teraz nie było juk prawdą. Wszędzie wokół milczącego domu i otaczających go pól rozciągał się milczący las, bezkresny, monotonny, obojętny; zima mija za zimą, a ona nigdy nie opuści tego domu, zresztą dokąd może iść, co może zrobić?…

Na jednym z pustych stołów Ranya zostawiła swój *tëanb,* klawiszowy instrument, o którym mówiono, że pochodzi z Hain. Parth wystukała melodię w melancholijnej Tanecznej Tonacji Wschodniego Lasu, a potem przestroiła instrument na właściwą mu tonację i zaczęła od nowa. Nie miała wielkiej wprawy w grze na *tëanb* i z trudnością znajdowała właściwe dźwięki. Śpiewając przeciągała słowa, aby nie zgubić melodii, kiedy szukała właściwego brzmienia.

Gdzie wiatr w oddali zamarł wśród drzew,
Gdzie morze wzburzone porwało krzyk mew,
Z kamiennych stopni skąpanych w słońcu
Córy Aireku piękne jak dzień…

Zgubiła melodię, ale zaraz ją podjęła:

… jak dzień,
Milcząc, pustymi dłońmi zgarniają cień.

Legenda, kto wie jak stara, z niewiarygodnie odległego świata, a przecież jej słowa i melodia od stuleci stanowiły część dziedzictwa ludzkości. Parth śpiewała bardzo cicho, sama w wielkim, oświetlonym ogniem pokoju, o oknach ciemniejących od zmierzchu i padającego śniegu.

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk, a gdy się odwróciła, zobaczyła stojącego Falka. W jego dziwnych oczach lśniły łzy. — Parth, przestań… — powiedział.

— Falk, co się stało?

— To boli — powiedział odwracając twarz, zawstydzony, że tak wyraźnie ujawnił bezład i bezbronność swego umysłu. — Nikt tak jeszcze nie pochwalił mojego śpiewu — odparła złośliwie, lecz była poruszona i nie śpiewała już dłużej. Później, w nocy, widziała Falka

stojącego przy stole, na którym leżał *tëanb*. Uniósł rękę, lecz nie ośmielił się dotknąć instrumentu, jak gdyby bojąc się, że uwolni uwięzionego w nim słodkiego, nieubłaganego demona, który wykrzykiwał pod dotknięciem rąk Parth i zmieniał jej głos w muzykę.

— Moje dziecko uczy się szybciej niż twoje — powiedziała Parth do swojej ciotecznej siostry Garry. — Za to twoje szybciej rośnie. I całe szczęście.

— Twoje jest już wystarczająco duże — zgodziła się Garra, spoglądając w dół przez warzywnik, gdzie nad brzegiem strumienia stał Falk z rocznym dzieckiem Garry na ramieniu. Wczesne letnie popołudnie rozbrzmiewało wokół brzęczeniem świerszczy i komarów. Włosy Parth przywierały czarnymi lokami do jej policzków, gdy wyciągała, ustawiała na nowo i znów wyciągała zapadki w swoim warsztacie tkackim. Ponad czółenkiem, srebrną nicią na tle czarnej, wyrastał szereg głów i szyj tańczących czapli. Gdy ukończyła siedemnaście lat, stała się najlepszą tkaczką wśród kobiet Domu. Zimą jej ręce były ciągle poplamione chemikaliami służącymi do wyrobu przędzy i nici i farbami używanymi do ich barwienia; całe lato zaś tkała na swym słonecznym warsztacie delikatne, różnobarwne tkaniny o wzorach wprost z jej snów.

— Mały pajączku — odezwała się stojąca w pobliżu jej matka — żart jest żartem. Lecz mężczyzna jest mężczyzną. — Więc chcesz, żebym poszła z Metockiem do domu Kathol i zamieniła mój gobelin z czaplami na męża. Dobrze wiem — odparła Parth.

— Czyż kiedykolwiek powiedziałam coś takiego? — oburzyła się matka i odeszła wzdłuż grządek sałaty pielić chwasty.

Falk nadszedł ścieżką niosąc dziecko na ramieniu i mrużąc oczy w blasku słońca, z dobrodusznym uśmiechem na twarzy. Posadził dziewczynkę na trawie i zwrócił się do niej jak do kogoś dorosłego.

— Na górze jest zbyt gorąco, prawda? — Potem odwrócił się do Parth i z tak charakterystyczną dla niego pełną powagi dziecinną otwartością zapytał: — Czy ten las gdzieś się kończy, Parth?

— Podobno. Każda mapa jest inna. Jednak gdybyś szedł w tamtą stronę, w końcu doszedłbyś do morza, a w tamtą — do prerii.

— Prerii?

— To takie otwarte przestrzenie, łąki. Podobne do Polany, tylko rozciągające się na tysiące mil, aż do gór. — Gór? — wypytywał dalej z naiwną, dziecięcą nieustępliwością.

— Wysokie wzgórza, ze śniegiem leżącym przez cały rok na szczytach. O, takich. — Parth odłożyła na chwilę czółenko i złożyła razem swoje długie, jak toczone, brązowe palce w kształt wierzchołka góry.

Żółte oczy Falka rozbłysły nagle, a mięśnie twarzy napięły się.

— Pod białym jest niebieskie, a niżej takie… takie pasma…

wzgórza, bardzo daleko…

Parth spoglądała na niego w milczeniu. Większość tego, co wiedział, pochodziła wprost od niej, gdyż przez ten cały czas była jedną z osób, które go uczyły. Jego nowe życie było efektem i częścią jej własnego dorastania. Ich umysły splatały się niezwykle mocno.

— Widzę to… widziałem to. Pamiętam. — Mężczyzna zająknął się.

— Wizerunek, Falk?

— Nie. Nie z książki. W moim umyśle. Pamiętam to. Czasami zasypiając widzę to. Nie znałem nazwy „góra”. — Czy możesz to narysować?

Uklęknąwszy obok niej naszkicował szybko w pyle zarys nieregularnego stożka, a pod nim dwie linie podwzgórza. Garra wyciągnęła szyję, aby zobaczyć rysunek i zapytała:

— Czy to jest białe od śniegu?

— Tak. To jest tak, jakbym widział to przez… coś podobnego do wielkiego okna, wielkiego i wysokiego…

Czy to pochodzi z twojego umysłu, Parth? — zapytał z niepokojem.

— Nie — odparła dziewczyna. — Nikt z tego Domu nigdy nie widział wysokich gór. I jak sądzę nikt, kto mieszka po tej stronie Wewnętrznej Rzeki. To musi być daleko stąd, bardzo daleko. — Ostatnie słowa wypowiedziała jak ktoś, kto nagle dostał dreszczy.

Gdzieś na skraju snu rozległ się zgrzytliwy dźwięk: nikły, nieznany, urywany warkot. Falk otrząsnął się ze snu i usiadł obok Parth. Oboje spoglądali w napięciu zaspanymi oczyma na północ, gdzie pulsował i cichł w oddali tajemniczy dźwięk, a pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniały niebo ponad ciągnącą się tam ciemną linią drzew.

— Stratolot — wyszeptała Parth. — Słyszałam go już kiedyś, dawno temu… — Wstrząsnął nią dreszcz. Falk objął ją, ogarnięty takim samym niepokojem wywołanym obecnością odległego, niepojętego, złowróżbnego dźwięku, przemykającego tam na północy ponad krawędzią wstającego dnia.

Dźwięk zamarł w oddali; we wszechogarniającej ciszy Lasu świergot nielicznych ptaków zaczął zlewać się w chór witający jesienny poranek. Światło na wschodzie jaśniało coraz bardziej. Falk i Parth leżeli w cieple i niewypowiedzianej wygodzie własnych ramion; na wpół obudzony Falk zapadł znowu w sen. Kiedy pocałowała go i wyślizgnęła się delikatnie z jego ramion, aby zająć się codziennymi obowiązkami, wymruczał: — Zostań trochę… maleńka… — lecz ona roześmiała się i umknęła mu, a on zdrzemnął się jeszcze na chwilę, niezdolny na razie do wydostania się ze słodkich, leniwych głębin spokoju i przyjemności.

Obudził się. Poziome promienie słońca świeciły mu prosto w oczy. Odwrócił się, potem usiadł i ziewając zapatrzył w gąszcz pokrytych czerwonymi liśćmi gałęzi dębu, wznoszącego się tuż koło sypialnej werandy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Parth odchodząc włączyła hipnograf leżący obok jego siennika; wciąż dalej cicho pomrukiwał, powtarzając cetiańską teorię liczb. Uświadamiając to sobie roześmiał się, a chłód i blask listopadowego poranka rozbudziły go zupełnie. Nałożył koszulkę i spodnie z grubego, miękkiego, ciemnego materiału utkanego przez Parth, a skrojonego i uszytego przez Buckeye — i stanął przy drewnianej balustradzie werandy spoglądając przez przestwór Polany na brąz, czerwień i złoto ciągnących się aż po horyzont drzew.

Poranek był tak rześki, spokojny i świeży jak wówczas, gdy pierwotni mieszkańcy tego kraju budzili się w swych składanych spiczastych domach i wychodzili na zewnątrz, aby zobaczyć słońce wstające ponad ciemnym lasem. Poranki są zawsze takie same i jesień jest zawsze jesienią, lecz lat liczonych ludzkim życiem jest wiele. W tym kraju żyła niegdyś pierwotna rasa… a po niej przyszła następna, zdobywcy; obie przepadły, podbici i zwycięzcy, miliony istot, wszystkie zebrane razem w nieokreślony punkt na horyzoncie minionego czasu. Gwiazdy zostały zdobyte i znowu stracone. Lata wciąż mijały i było ich tak wiele, że Las z pradawnych czasów, całkowicie zniszczony w ciągu ery, kiedy ludzie tworzyli i spełniali swoją historię, wyrósł na nowo. Nawet w mrocznym bezmiarze historii planety stworzenie lasu wymaga czasu. Nie dzieje się to w jednej chwili. I nie każda planeta jest do tego zdolna; wcale nie jest regułą, że na wszystkich światach pierwsze chłodne promienie słońca przetykane są cieniami i nurzają się w gmatwaninie niezliczonych, poruszanych wiatrem gałęzi…

Świadomość tego napełniła Falka radością, tym bardziej żywą, że przed tym porankiem było tak niewiele innych poranków, tak niewiele minęło czasu pomiędzy dniami, które pamiętał, a ciemnością. Przyjął do wiadomości uwagi poczynione przez sikorkę skrzeczącą na dębie, potem przeciągnął się, przesunął energicznie palcami po włosach i zszedł z balkonu, aby dzielić pracę i towarzystwo współmieszkańców Domu.

Dom Zove był zbudowanym bez określonego planu wysokim budynkiem, rodzajem krzyżówki domu wypoczynkowego, twierdzy i farmy; niektóre jego fragmenty wzniesiono przed stuleciem, inne jeszcze wcześniej. Z jednej strony był prymitywny: ciemne klatki schodowe, kamienne kominki i piwnice, nagie podłogi wykonane z kafelków lub desek, z drugiej strony zaś wszystko było w nim doskonale wykończone: był ogniotrwały i całkowicie odporny na wpływy atmosferyczne, a niektóre elementy jego konstrukcji,

urządzenia czy maszyny, były produktami wysoko rozwiniętej technologii — przyjemne żółtawe oświetlenie, biblioteki ze zbiorami nagrań, książek i obrazów, różnorakie narzędzia i urządzenia używane do czyszczenia, gotowania, prania i prac rolnych, w pracowniach zaś Wschodniego Skrzydła znajdowały się inne precyzyjne instrumenty o specjalnym przeznaczeniu. Wszystkie te rzeczy stanowiły część Domu; zbudowane wraz z nim lub później, wytworzone w nim lub w którymś z innych Leśnych Domów. Mechanizmy były solidne, proste w obsłudze i łatwe do naprawy, w przeciwieństwie do wiedzy o źródłach ich zasilania, niepełnej i nie dającej się zastąpić niczym innym.

Szczególnie dawał się odczuć brak urządzeń elektronicznych pewnego typu. W bibliotece znajdowały się dowody świadczące o tym, że umiejętności z zakresu elektroniki stały się niemalże instynktowne; chłopcy chętnie budowali małe odbiorniki telewizyjne, aby porozumiewać się między sobą z różnych pokojów Domu. Lecz nie było telewizji, telefonów, radia czy telegrafu do nadawania czy odbierania wiadomości spoza Polany. Nie było aparatów służących do łączności na większą odległość. We Wschodnim Skrzydle znajdowała się para śmigaczy, zbudowanych własnoręcznie przez mieszkańców Domu, używali ich jednak głównie chłopcy w czasie zabawy. Trudno było nimi kierować w lesie, na puszczańskich szlakach. Kiedy w celach towarzyskich lub handlowych wybierano się do innego Domu, wędrowano pieszo, co najwyżej konno, jeśli droga była szczególnie daleka.

Lekka praca w Domu i na gospodarstwie nie stanowiła ciężaru dla nikogo. Sam Dom był ciepły i czysty, i to był właściwie cały komfort dostępny jego mieszkańcom. Odżywiali się zdrowo, lecz monotonnie. Życie Domu toczyło się z niezmienną jednostajnością wspólnej egzystencji; czysta, pogodna skromność. Pogoda i monotonia tego życia brała się z odosobnienia. Żyło tutaj razem czterdzieścioro czworo ludzi. Dom Kathol, najbliższy, leżał blisko trzydzieści mil dalej na południe. Wokół Polany, mila za milą, rozciągał się zasnuty mgłami, niezbadany, obojętny ludziom las. Dziki las, a ponad nim niebo. Nic tutaj nie ograniczało ludzkiego życia, tak jak w społecznościach miejskich przeszłych wieków, tylko i wyłącznie do tego, co wchodziło w zakres czyichś kompetencji. Niemniej jednak utrzymanie czegokolwiek, co pochodziło z minionej, tak niezwykle złożonej cywilizacji, w niezmiennym i nietkniętym stanie wśród tak małej społeczności było przedsięwzięciem dziwnym i szczególnie ryzykownym, choć większości z nich wydawało się to zupełnie naturalne: mogli uczynić tylko to; żaden inny sposób na to, aby pozostać cywilizowanymi ludźmi, nie był im znany. Falk widział to odrobinę inaczej niż pozostali mieszkańcy Domu; wciąż musiał pamiętać o tym, że sam przybył z niezmierzonej, bezludnej puszczy,

tak samo groźny i samotny jak każdy inny przemierzający ją dziki zwierz, i że wszystko to, czego nauczył się w Domu Zove, było zaledwie jak samotna świeczka paląca się na wielkim polu pogrążonym w ciemności.

Przy śniadaniu składającym się z chleba, koziego sera i ciemnego piwa Metock zapytał go, czy nie poszedłby z nim zasadzić się na jelenia. Propozycja pochlebiła Falkowi. Starszy Brat był zręcznym i uznanym myśliwym, a on powoli stawał się takim samym; było to coś, co wreszcie w jakiś sposób zaczęło ich łączyć ze sobą. Lecz przeszkodził im Pan Domu. — Weź dziś ze sobą Kaiego, mój synu. Chcę porozmawiać z Falkiem.

Każdy z domowników miał swój własny pokój, przeznaczony na gabinet do nauki lub pracownię i służący do spania w zimnej porze roku; pokój Zove był mały, wysoki i jasny, z oknami od zachodu, północy i wschodu. Spoglądając ponad ścierniskami i ugorami jesiennych pól w stronę lasu, Pan Domu powiedział:

— To Parth pierwsza dostrzegła cię tam, koło tego czerwonego buka, o ile dobrze pamiętam. Pięć i pół roku temu. Kawał czasu. Chyba już nadszedł czas, abyśmy porozmawiali?

— Być może — odparł nieśmiało Falk.

— Trudno być pewnym, ale wydaje się, że miałeś około dwudziestu pięciu lat, kiedy się tu pojawiłeś. Co ci pozostało z tych dwudziestu pięciu lat?

Falk wyciągnął na moment lewą rękę: — Obrączka — powiedział.

— I wspomnienie o górze?

— Zaledwie wspomnienie wspomnień. — Falk wzruszył ramionami. — I często, jak już wam mówiłem, odnajduję na chwilę w moim umyśle brzmienie głosu albo znaczenie jakiegoś ruchu, gestu, miary odległości. To nie pasuje do moich wspomnień z życia tutaj, z wami. Lecz nie tworzy żadnej całości, nie ma sensu.

Zove usiadł na ławce w wykuszu okna i skinął na Falka, aby uczynił to samo.

— Pod względem fizycznym byłeś całkowicie dorosły, wszystkie twoje zdolności motoryczne były nie naruszone, co zapewniło łatwość uczenia się. Jednak i tak twoje postępy były zdumiewające. Zastanawiałem się, czy Shinga manipulując w dawnych czasach ludzkim genotypem i przesiedlając tak wielu, selekcjonowali nas również na tych zdolnych do nauki oraz idiotów, i czy nie jesteś przypadkiem potomkiem zmienionej genetycznie rasy, która w jakiś sposób wyzwoliła się spod kontroli. Kimkolwiek byłeś, byłeś niezwykle inteligentnym człowiekiem… I jesteś nim znowu. I chciałbym wiedzieć, co sam myślisz o swej tajemniczej przeszłości.

Falk milczał przez chwilę. Był niskim, szczupłym, dobrze zbudowanym mężczyzną; jego niezwykle żywa i wyrazista twarz

przybrała w tym momencie lękliwy i posępny wyraz, wyrażając przenikające go uczucia tak otwarcie jak twarz dziecka. W końcu, widocznie zdecydowawszy się, powiedział:

— Kiedy ostatniego lata uczyłem się z Ranyą, wyjaśniła mi, czym mój genotyp różni się od normalnego genotypu człowieka. To tylko jedno czy dwa skręcenia helisy…bardzo mała różnica. Taka sama jak różnica między *wei* i o. — Zove uśmiechnął się i uniósł wzrok, słysząc to odwołanie do Kanonu, który tak zafascynował Falka, lecz młodszy mężczyzna pozostał poważny. — Jakkolwiek było, z pewnością nie jestem człowiekiem. Być może jestem więc potworem lub mutantem; nie chcianym lub zamierzonym produktem; albo obcym. Najprawdopodobniej jestem wynikiem genetycznych eksperymentów; nie spełniłem oczekiwań eksperymentatorów i zostałem przez nich odrzucony… tak sądzę, ale wolę myśleć, że jestem obcym z jakiegoś innego świata. To przynajmniej oznaczałoby, że nie jestem jedynym przedstawicielem mojego gatunku we wszechświecie.

— Skąd bierze się twoja pewność, że istnieją inne zamieszkane światy?

Falk, zaskoczony, uniósł wzrok i zaraz, z dziecięcą naiwnością, lecz i typowo ludzką logiką, zapytał:

— Czy istnieje jakiś racjonalny powód, żeby przypuszczać, że inne Światy Ligi zostały zniszczone?

— A czy istnieje racjonalny powód, aby sądzić, że one kiedykolwiek istniały?

— Więc to, czego mnie uczyliście, te wszystkie książki, opowieści…

— Wierzysz w nie? Wierzysz we wszystko, co ci mówimy? — A w cóż innego mogę wierzyć? — Oblał się rumieńcem. — Dlaczego mielibyście mnie okłamywać?

— Z dwóch tak samo istotnych powodów możemy cię bez przerwy okłamywać, mówić nieprawdę o wszystkim: ponieważ jesteśmy Shinga lub ponieważ sądzimy, że im służysz.

Zapadła chwila ciszy.

— A ja mogę im służyć i nigdy się o tym nie dowiedzieć — stwierdził Falk opuszczając wzrok.

— Możliwe — zgodził się Pan Domu. — Musisz liczyć się z taką ewentualnością, Falk. Spośród nas wszystkich jedynie Metock zawsze wierzył, że twój umysł jest zaprogramowany i że nadejdzie chwila, kiedy ten program zostanie włączony. Lecz pomimo to nigdy cię nie okłamywał. I nikt z nas świadomie tego nie uczynił. Tysiąc lat temu Poeta Rzeki powiedział: „W prawdzie tkwi męstwo…” — Zove zadeklamował te słowa, a potem roześmiał się. — Fałszywy jak wszyscy poeci. Cóż, zapoznaliśmy cię ze wszystkimi prawdami i faktami, jakie znamy, Falk. Lecz być może nie ze wszystkimi

przypuszczeniami i legendami, tym co poprzedza fakty…

— Czy mogliście mnie ich nauczyć?

— Nie. Nauczyłeś się rozumieć świat gdzie indziej… może jakiś inny świat. Mogliśmy pomóc ci stać się znowu człowiekiem, ale nie mogliśmy dać ci prawdziwego dzieciństwa. Ma się je tylko raz.

— Wystarczająco długo czułem się wśród was dzieckiem — odparł z odcieniem smutku w głosie Falk.

— Nie jesteś dzieckiem. Brak ci doświadczenia, jakie daje życie. Jesteś kaleką dlatego, że nie m a w tobie dziecka; odcięto cię od twych korzeni, od twych źródeł. Czy możesz z całym przekonaniem powiedzieć, że to jest twój dom?

— Nie — odparł z bólem Falk. A potem dodał: — Byłem tutaj bardzo szczęśliwy.

Pan Domu zamilkł na chwilę, lecz potem znowu zaczął wypytywać:

— Czy myślisz, że nasze życie tutaj jest dobre, że robimy wszystko, co ludzie powinni robić?

— Tak.

— Powiedz mi jeszcze coś. Kto jest naszym wrogiem? — Shinga.

— Dlaczego?

— Rozbili Ligę Wszystkich Światów, pozbawili ludzi możliwości wyboru, niezależności i wolności, zniszczyli wszystkie ludzkie dzieła i dokonania, nawet zapisy o nich, wstrzymali ewolucję rasy. Są tyranami i kłamcami.

— A jednak pozwalają nam tutaj żyć wygodnie.

— Ponieważ ukrywamy się i żyjemy w odosobnieniu. Tylko dlatego pozwalają nam istnieć. Gdybyśmy spróbowali zbudować jakieś wielkie maszyny, gdybyśmy organizowali się w grupy, miasta czy państwa, wówczas Shinga przeniknęliby w nasze szeregi, zniweczyli, nasze prace i znów nas rozproszyli. Powiedziałem ci tylko to, co ty powiedziałeś mnie, i w co uwierzyłem, Panie!

— Wiem. Zastanawiam się, czy to możliwe, żebyś za tą rzeczywistością wyczuł… legendy, domysły, nadzieje… Falk nic nie odpowiedział.

— Ukrywamy się przed Shinga. A to znaczy, że ukrywamy się przed samymi sobą… takimi, jakimi niegdyś byliśmy. Czy to rozumiesz, Falk? Żyje się nam w Domach wygodnie, całkiem dostatnio. Lecz przez całe życie włada nami strach. Był czas, kiedy żeglowaliśmy na statkach pomiędzy gwiazdami, a teraz nie śmiemy oddalić się na sto mil od domu. Posiadamy tę odrobinę wiedzy, lecz nie spożytkowujemy jej do niczego. Jednak ongiś używaliśmy tej wiedzy tkając wśród nocy i chaosu gobelin życia. Rozszerzaliśmy granice życia. Spełnialiśmy dzieło godne ludzkości.

Po jeszcze jednej chwili milczenia Zove ciągnął dalej, spoglądając

na jasne listopadowe niebo:

— Wyobraź sobie te światy, rozmaitość ludzkich ras i stworzeń je zamieszkujących, gwiazdozbiory ich nieboskłonów, miasta, które zbudowali tam ludzie, ich pieśni i zwyczaje. To wszystko jest stracone, stracone dla nas tak samo zupełnie i bezpowrotnie jak twoje dzieciństwo dla ciebie. Cóż naprawdę wiemy o czasach naszej wielkości? Znamy kilka nazw światów i imion bohaterów; garstką faktów próbujemy załatać historię. Prawo Shinga zabrania zabijać, co z tego, kiedy zniszczyli naszą naukę, spalili książki, a co gorsza przeinaczyli to wszystko, co nam pozostało. Ich bronią zawsze było i jest Kłamstwo. Nie wiemy nic pewnego o Wieku Ligi; kto wie, ile dokumentów zostało zniszczonych? Ty zaś musisz pamiętać i rozumieć, dlaczego Shinga są naszymi wrogami. Można przeżyć całe życie nie widząc — lub nie wiedząc, że się widziało — żadnego z nich; co najwyżej ktoś słyszy stratolot przelatujący gdzieś w oddali. Tutaj w Lesie pozostawiają nas w spokoju, i tak może być teraz na całej Ziemi, choć to nic pewnego. Dają nam spokój tak długo, jak długo pozostajemy tutaj, zamknięci w klatce naszej ciemnoty i dzikości, pochylający głowy, kiedy nad nami przelatują. Lecz nie ufają nam. A dlaczego, nawet po dwunastu stuleciach, nie wierzą nam? Ponieważ obca jest im prawda. Nie dotrzymują umów, nie spełniają obietnic, ich krzywoprzysięstwo, zdrada i kłamstwo są niewyczerpane; w niektórych zachowanych zaś przekazach z czasów Upadku Ligi napotyka się wzmianki o tym, że potrafią fałszować myślomowę. Właśnie to Kłamstwo ujarzmiło wszystkie rasy Ligi i uczyniło z nas poddanych Shinga. Pamiętaj o tym, Falk. Nigdy nie wierz w nic, co mówi Wróg.

— Będę pamiętał, Panie, jeśli kiedykolwiek spotkam Wroga.

— Nie spotkasz, chyba że sam pójdziesz do niego. Nieruchome spojrzenie i lęk na twarzy Falka zdradzały obawę przed tym, co spodziewał się usłyszeć. To, czego oczekiwał, wreszcie nadeszło.

— To znaczy, że mam opuścić Dom — stwierdził.

— Sam o tym myślałeś — odparł jak zawsze spokojnie Zove.

— Tak. To prawda. Ale nie chcę stąd odejść. Chcę żyć tutaj. Parth i ja…

Zawahał się, a Zove, wykorzystując to, wtrącił szybko, lecz łagodnie:

— Szanuję miłość, która łączy ciebie i Parth, twoją radość i twoją wierność. Lecz przybyłeś tutaj drogą, która prowadzi gdzie indziej, Falk. Jesteś tutaj mile widziany, zawsze byłeś mile widziany. Choć związek z moją córką musi pozostać bezdzietny, mimo to cieszyłem się z niego. Lecz ja naprawdę wierzę, że tajemnica twej osobowości i twego przybycia tutaj jest rzeczywiście niezwykła i nie można przymknąć na nią oczu. Wierzę, że idziesz drogą, która się tutaj nie

kończy, że masz coś do spełnienia…

— Lecz co? I kto może mi to powiedzieć?

— To, od czego nas odcięto i co ukradziono tobie, mają Shinga. Tego możesz być pewien.

W głosie Zove brzmiała bolesna, jadowita gorycz, jakiej Falk nigdy przedtem u niego nie słyszał.

— Czy ci, którzy zawsze kłamią, powiedzą mi prawdę tylko dlatego, że o to zapytam? I jak rozpoznam to, czego szukam, kiedy już to znajdę?

Zove milczał przez chwilę, a potem odpowiedział swym zwykłym swobodnym i opanowanym tonem:

— Przywykłem do wyobrażenia, mój synu, że z twoją osobą wiąże się jakaś nadzieja dla ludzi. Nie lubię się z nim rozstawać. Lecz tylko ty możesz odszukać swą własną prawdę i jeśli tobie wydaje się, że twoja droga kończy się tutaj, wówczas, być może, właśnie to jest prawdą.

— Jeśli odejdę — przerwał Falk szorstko — czy pozwolisz Parth pójść ze mną?

— Nie, mój synu.

Gdzieś w ogrodzie śpiewało dziecko — czteroletnia córka Garry, fikająca beztrosko koziołki na ścieżce i wyśpiewująca przeraźliwie słodkim dziecięcym głosem jakieś niedorzeczności. Wysoko w górze dzikie gęsi ułożone w długie, chwiejące się V swych wielkich wędrówek, klucz po kluczu odlatywały na południe.

— Wybierałem się z Metockiem i Thurro do Domu Ransifel, żeby sprowadzić pannę młodą dla Thurro. Mieliśmy wyruszyć już wkrótce, zanim pogoda się zmieni. Jeśli się zdecyduję, pójdę dalej z Domu Ransifel.

— Zimą?

— Bez wątpienia na zachód od Ransifel znajdują się inne Domy. Tam znajdę schronienie, jeśli będę go potrzebował.

Nie powiedział — a Zove o to nie pytał — dlaczego właśnie zachód był kierunkiem, który wybrał.

— Być może. Nie wiem, czy ich mieszkańcy udzielą schronienia obcemu, tak jak my to uczyniliśmy. Jeśli pójdziesz, będziesz musiał iść sam. A poza tym Domem nie ma dla ciebie bezpiecznego miejsca na Ziemi.

Mówił, jak zawsze, absolutnie szczerze… i ceną tej prawdy była utrata samokontroli i cierpienie. Falk odezwał się, okazując znowu całkowite zaufanie:

— Wiem o tym, Panie. I to nie utracone bezpieczeństwo będę opłakiwał.

— Chcę powiedzieć, co sądzę o tobie. Myślę, że pochodzisz z utraconego świata, myślę, że nie urodziłeś się na Ziemi. Sądzę, że

przybyłeś tutaj — pierwszy Obcy, który powrócił po tysiącu lub więcej lat — aby przynieść nam posłanie lub znak. Shinga zamknęli twe usta i wypuścili w lesie, aby nikt nie mógł powiedzieć, że cię zabili. Trafiłeś do nas. Jeśli odejdziesz, będę się bał i martwił o ciebie wiedząc, jak bardzo samotny będziesz w swej wędrówce. Lecz z twoim odejściem wiążę nadzieję dla ciebie i nas wszystkich. Jeśli masz wieści dla ludzi, w końcu je sobie przypomnisz. Musi istnieć nadzieja, znak; nie możemy wiecznie żyć tak jak teraz.

— Być może moja rasa nigdy nie była przyjazna rodzajowi ludzkiemu — powiedział Falk spoglądając na Zove swoimi żółtymi oczyma. — Kto wie, co mam tutaj zrobić?

— Znajdziesz tych, którzy wiedzą. A potem to zrobisz. Nie boję się tego. Jeśli służysz Wrogowi, tak jak my wszyscy, cóż, wówczas wszystko stracone i nic więcej nie będzie do stracenia. Jeśli nie, to znaczy, że podążasz za tym, co my, ludzie, utraciliśmy: przeznaczeniem, a to daje nadzieję nam wszystkim…

II

Zove miał sześćdziesiąt lat, Parth dwadzieścia; ale tamtego zimnego popołudnia na Długich Polach wydawała się sobie stara w sposób, w jaki ludzie nie mogą być starzy — bezwieczna. Nie znajdowała pociechy w mrzonkach o ostatecznym zwycięstwie sięgającym gwiazd czy o powszechnym panowaniu prawdy. Proroczy dar jej ojca stał się w jej wydaniu zwyczajnym brakiem złudzeń. Wiedziała, że Falk odchodzi.

— Nie wrócisz — powiedziała tylko. — Wrócę, Parth.

Trzymała go w ramionach, lecz nie zwracała uwagi na jego obietnicę.

Spróbował przemówić do niej, choć jego umiejętności w zakresie telepatycznego przekazywania były niewielkie. Jedynym Odbiorcą w Domu była niewidoma Kretyan; poza tym żaden z mieszkańców Domu nie był biegły w mentalnej łączności: myślomowie. Techniki nauczania myślomowy nie zostały zapomniane, jednak prawie w ogóle ich nie używano. Praktykowanie tej najdoskonalszej i najpełniejszej formy porozumiewania stało się dla ludzi po prostu niebezpieczne.

Przekaz myślowy pomiędzy dwoma inteligentnymi umysłami może być bezładny, a nawet obciążony skazą szaleństwa jednego z nich, może więc pociągać za sobą błąd w rozumieniu — lecz nigdy nie może być świadomie fałszowany. Pomiędzy myślą a jej werbalnym wyrażeniem istnieje luka, którą może wypełnić zły zamiar — pierwotne znaczenie myśli zostaje zmienione, a jego miejsce zajmuje kłamstwo. Pomiędzy myślą a jej przekazem nie ma luki: są tym samym. Nie ma tam miejsca na kłamstwo.

W ostatnich latach Ligi, na co zdawały się wskazywać opowieści i fragmentaryczne nagrania, które Falk przestudiował, użycie myślomowy było szeroko rozpowszechnione, a zdolności telepatyczne wysoko rozwinięte. Ziemia zdobyła umiejętność posługiwania się myślomową na samym końcu, ucząc się jej technik od innych ras; Ostatnia Sztuka, jak nazwano ją w którejś książce. Napotkał tam wzmianki o kłopotach, wstrząsach i zmianach w rządzie Ligi Wszystkich Światów, mających swoje źródło, być może, w panowaniu owej formy porozumiewania się, która wykluczała wszelkie kłamstwo. Lecz wszystko to było mgliste i na poły legendarne, jak cała historia ludzkości. Pewne było tylko to, że od czasu najazdu Shinga i upadku Ligi rozproszone wspólnoty ludzkie straciły do siebie zaufanie i używały słowa mówionego. Wolny człowiek może mówić swobodnie, lecz niewolnik czy zbieg musi posiąść umiejętność ukrywania prawdy i kłamania. Tego Falk nauczył się w Domu Zove i to było przyczyną jego niewielkiej praktyki we wzajemnym dostrajaniu umysłów. Lecz

teraz próbował przemówić do Parth, aby wiedziała, że nie kłamie: „Uwierz mi, Parth, wrócę do ciebie!”

Ale ona nie chciała słuchać.

— Nie, nie chcę myślomowy — powiedziała głośno. — Ukrywasz zatem swoje myśli przede mną.

— Tak, ukrywam. Mam obdarować cię moim smutkiem? Cóż dobrego przynosi prawda? Gdybyś mnie wczoraj okłamał, wciąż wierzyłabym, że idziesz tylko do Ransifel i wrócisz do Domu za dziesięć dni. Miałabym wtedy jeszcze dziesięć dni i nocy. Teraz nie mam nic, ani dnia, ani godziny. Wszystko przepadło, wszystko skończone. Cóż dobrego daje prawda?

— Parth, czy poczekasz na mnie przez rok?

— Nie.

— Tylko rok…

— Rok i jeden dzień, aż powrócisz na srebrnym rumaku, aby zabrać mnie do swego królestwa, gdzie pojmiesz mnie za żonę. Nie, nie chcę czekać na ciebie, Falk. Po co mam czekać na mężczyznę, który leży być może martwy w lesie albo gdzieś na prerii zastrzelony przez Wędrowców, błąka się z wypranym mózgiem, po Mieście Shinga, zniewolony, czy też pozostawiwszy za sobą sto lat świetlnych leci do innej gwiazdy? Na co mam czekać? Nie myśl, że wezmę sobie innego mężczyznę. Nie, nie chcę. Zostanę tutaj, w domu mego ojca. Ufarbuję na czarno przędzę i utkam czarny materiał na suknię; będę chodziła w czerni i umrę w czerni. Lecz nie chcę czekać na nikogo i na nic. Nigdy.

— Nie miałem prawa cię o to prosić — powiedział w pokornym cierpieniu, a ona krzyknęła:

— Och, Falk, nie czynię ci wyrzutów!

Siedzieli obok siebie na łagodnym zboczu ponad Długim Polem. Kozy i owce pasły się na ogrodzonych pastwiskach ciągnących się przez milę pomiędzy nimi a lasem. Roczne źrebięta harcowały i brykały wokół kosmatych klaczy. Listopadowy zmierzch dmuchał zimnym wiatrem.

Ich ręce leżały tuż obok siebie. Parth dotknęła złotej obrączki na jego lewej dłoni.

— Obrączkę otrzymuje się w prezencie — powiedziała. — Wiesz, czasami myślałam, że może miałeś żonę. Zastanawiam się, czy ona czeka na ciebie… — Zadrżała.

— Cóż z tego? — odparł. — Po co mam dbać o to, co może było, o to, kim byłem? Dlaczego w ogóle powinienem stąd odejść? Wszystko to, czym jestem teraz, jest twoje, Parth, pochodzi od ciebie, jest twoim darem…

— To podarunek bez zobowiązań — powiedziała dziewczyna ze łzami w oczach. — Weź go i idź. Odejdź… Objęli się i tak pozostali.

Dom pozostał daleko za omszałymi, czarnymi pniami i splątanymi bezlistnymi gałęziami. Z tyłu drzewa zamykały się nad szlakiem.

Dzień był szary, zimny i cichy z wyjątkiem monotonnego szumu wiatru w gałęziach, dochodzącego zewsząd tajemniczego szeptu, który nigdy nie milkł. Prowadził Metock, idący długim, lekkim krokiem. Za nim szedł Falk, a na końcu Thurro. Wszyscy trzej ubrani byli lekko i ciepło w bluzy z kapturami i spodnie z materiału zwanego zimowym suknem, które chroniły przed śniegiem nawet lepiej niż płaszcze. Każdy niósł lekki plecak z podarunkami i towarami na wymianę, śpiworem i taką ilością suszonej, skoncentrowanej żywności, która wystarczyłaby na przetrzymanie nawet miesięcznej zamieci. Buckeye, która od swych narodzin nigdy nie opuściła Domu i panicznie bała się niebezpieczeństw i przeszkód czyhających w lesie, odpowiednio skompletowała ich bagaże. Każdy miał laserowy miotacz, a Falk niósł dodatkowo funt lub dwa żywności, lekarstwa, kompas, jeszcze jeden miotacz, zmianę odzieży, zwój liny, niewielką książkę podarowaną mu dwa lata temu przez Zove — wszystko to ważyło około piętnastu funtów i stanowiło cały jego ziemski dobytek. Metock sadził przed siebie bez wysiłku, niezmordowanie, jakieś dziesięć kroków za nim podążał Falk, z tyłu szedł Thurro. Szli swobodnie, niemal bez szmeru, a za nimi nieruchome drzewa zwierały się ponad niewyraźnym, zasypanym liśćmi szlakiem.

Do Ransifel mieli trzy dni marszu. Wieczorem drugiego dnia znaleźli się w okolicy wyraźnie różniącej się od otoczenia Domu Zove. Las nie był tak zbity, grunt bardziej nierówny. Ponure polany rozciągały się na zboczach wzgórz nad porośniętymi gęstwą zarośli strumieniami. Rozbili obóz na jednym z takich otwartych miejsc, na południowym zboczu wzgórza, gdyż północne omiatane było gwałtownym wiatrem, niosącym zapowiedź zimy. Thurro znosił naręcza suchego drewna, podczas gdy dwaj pozostali usunęli wokół trawę i wznieśli prowizoryczne palenisko z kamieni. Kiedy pracowali, Metock stwierdził:

— Tego popołudnia przekroczyliśmy dział wód. Ten strumień w dole płynie na zachód. Do Wewnętrznej Rzeki. Falk wyprostował się i spojrzał na zachód, lecz wznoszące się tuż przed nim płaskie wzgórze, okryte niską kopułą nieba, nie pozostawiało miejsca na rozległy widok.

— Metock — powiedział — myślę, że nie ma sensu, abym szedł do Ransifel. Równie dobrze mogę pójść swoją drogą. Wydaje się, że wzdłuż strumienia, przez który przeprawiliśmy się dzisiejszego popołudnia, wiedzie szlak na zachód. Wrócę i pójdę nim.

Metock rzucił mu spojrzenie; chociaż nie użył myślomowy, towarzysząca mu myśl była oczywista: „Chcesz wrócić do domu?”

Odpowiadając Falk użył myślomowy: „Nie, do diabła! Nie chcę!”

— Przepraszam — odpowiedział głośno Starszy Brat, jak zawsze poważny i dokładny. Nawet nie próbował ukryć tego, że będzie zadowolony widząc, jak Falk odchodzi. Dla Metocka nic nie było ważniejsze od bezpieczeństwa Domu; każdy obcy stanowił zagrożenie, nawet obcy, którego znał od pięciu lat, towarzysz jego myśliwskich wypraw i kochanek jego siostry. Mimo to ciągnął dalej: — Z radością powitają cię w Ransifel. Dlaczego nie zacząć stamtąd?

— Dlaczego nie stąd?

— Twoja sprawa. — Metock umieścił ostatni kamień na swoim miejscu, a Falk zaczął rozpalać ogień. — Jeśli minęliśmy jakiś szlak, to nie wiem, skąd lub dokąd prowadzi. Jutro wczesnym rankiem przekroczymy prawdziwy szlak, starą drogę do Hirand. Dom Hirand leżał daleko stąd na zachód, dobry tydzień marszu; nikt nie był tam od sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat. Nie wiem dlaczego. Mimo to szlak był wciąż wyraźny, kiedy szedłem tamtędy ostatni raz. Tamten to mogła być ścieżka zwierzyny, zgubiłbyś się lub wyszedł na moczary.

— W porządku, spróbuję drogą do Hirand. Przez chwilę milczeli, a potem Metock zapytał: — Dlaczego idziesz na zachód?

— Ponieważ Es Toch leży na zachodzie.

Ta nazwa, tak rzadko wypowiadana, zabrzmiała tutaj, pod tym niskim niebem, bezbarwnie i obco. Thurro, nadchodzący z naręczem drewna, rozejrzał się wokół niespokojnie. Metock nie pytał już o nic więcej.

Ta noc na zboczu przy obozowym ognisku była dla Falka ostatnią spędzoną z tymi, których uważał za braci, za swych najbliższych. Następnego dnia wyruszyli na szlak zaraz po wschodzie słońca i na długo przed południem dotarli do szerokiego, zarośniętego traktu odchodzącego w lewo od ścieżki prowadzącej do Ransifel. Dwie ogromne sosny tworzyły tam coś w rodzaju wrót. Pod ich konarami, w miejscu gdzie się zatrzymali, panował mrok, a powietrze stało nieruchome.

— Wróć do nas, gościu i bracie — powiedział młody Thurro, zakłopotany równie swoimi myślami o ożenku, jak i wyglądem ciemnej, niewyraźnej drogi, którą miał obrać Falk.

Metock powiedział tylko:

— Daj mi swoją manierkę, dobrze? — i w zamian oddał Falkowi własną, z kutego srebra.

Potem rozdzielili się. Tamci poszli na północ, a on na zachód.

Po chwili Falk zatrzymał się i spojrzał za siebie. Nie było ich już widać; szlak do Ransifel zakryły młode drzewa i zarośla porastające drogę do Hirand. Droga wyglądała na używaną, wprawdzie rzadko, a już z pewnością nie była naprawiana lub oczyszczana od wielu lat. Falka otaczał las, dzika puszcza, i nic oprócz niej nie było widać. Stał

samotny wśród cieni bezkresnych drzew. Ziemia była miękka próchnicą odkładającą się od tysiąca lat; wśród wielkich drzew, sosen i świerków powietrze stało mroczne i nieruchome. Płatek lub dwa mokrego śniegu tańczyły w zamierającym wietrze.

Falk poluźnił trochę rzemień plecaka i ruszył w drogę. Kiedy zapadł zmrok, wydało mu się, że opuścił Dom już bardzo, bardzo dawno temu, że Dom pozostał za nim gdzieś niezmiernie daleko i że zawsze był sam.

Wszystkie dni jego wędrówki były takie same. Szare zimowe światło, dmący wiatr, okryte lasami wzgórza i doliny, długie zbocza, ukryte w zaroślach strumienie, bagniste niziny. Droga do Hirand, chociaż mocno zarośnięta, nie sprawiała trudności w marszu, gdyż biegła długimi, prostymi odcinkami lub szerokimi, łagodnymi łukami, omijając trzęsawiska i wzniesienia terenu. Pośród wzgórz Falk uświadomił sobie, że droga wiedzie szlakiem jakiejś wielkiej starożytnej autostrady, która przecinała wprost wzgórza, tak że nawet dwa tysiące lat nie zdołało tego zatrzeć. Lecz na niej, wzdłuż niej i wszędzie wokół rosły już drzewa: sosny i świerki, rozległe zarośla ostrokrzewu na zboczach, nieskończone zastępy buków, dębów, orzechów, olch, jesionów, wiązów, wszystkie chylące głowy przed górującymi nad nimi, majestatycznymi kasztanowcami, właśnie teraz tracącymi ostatnie ciemnożółte liście i osypującymi ścieżkę tłustymi, brązowymi owocami. Wieczorem przyrządzał wiewiórkę, królika czy dziką kurę, które złowił, kiedy pędziły i przemykały podczas swych nie kończących się igraszek pośród królestwa drzew. Zbierał orzechy i orzeszki bukowe i piekł je potem w żarze obozowego ogniska. Lecz noce były złe. Dwa sny wciąż podążały za nim i zawsze porywały go ze sobą o północy. Jeden był o istocie ukradkiem ściganej w ciemnościach przez kogoś, kogo nigdy nie widział. Drugi był gorszy. Śnił, że zapomniał czegoś zabrać, czegoś ważnego, niezbędnego, bez czego będzie zgubiony. Budził się z tego snu i wiedział, że był prawdziwy: był zgubiony — to siebie samego zapomniał. Rozpalał ognisko, jeśli akurat nie padało, i kulił się przy nim, zbyt śpiący i otumaniony snem, aby zająć się książką, którą wciąż nosił przy sobie, Starym Kanonem, i szukać otuchy w słowach głoszących, że kiedy wszystkie drogi są zgubione, pozostaje tylko Droga, by dojść do celu. Samotny człowiek nie liczy się. A on wiedział, że nie jest nawet człowiekiem, lecz w najlepszym razie półistotą próbującą znaleźć swe dopełnienie, rzucającą się bez celu przez kontynent pod obojętnymi gwiazdami. Więc chociaż wszystkie dni były takie same, to jednak przynosiły ulgę po strasznych nocach.

Wciąż liczył mijające dni i jedenastego dnia od opuszczenia swych towarzyszy na rozdrożu, a trzynastego jego podróży, doszedł do końca drogi do Hirand. Niegdyś była tam polana. Odnalazł drogę przez zbite

zagony dzikich jeżyn i gęstwę młodych brzóz do czterech rozsypujących się czarnych wieżyc, sterczących wysoko ponad jeżynami, winoroślą i zaschłymi ostami: czterech kominów zburzonego Domu. Domu Hirand już nie było, pozostała tylko nazwa. Droga kończyła się w ruinach.

Krążył wokół tego miejsca przez parę godzin, trzymany jak na uwięzi smętnym śladem niegdysiejszej ludzkiej obecności. Podniósł kilka odłamków przerdzewiałych mechanizmów, kawałki połamanych garnków, które przeżyły nawet ludzkie kości, rozpadający się w rękach fragment przegniłego materiału. Wreszcie wziął się w garść i poszukał szlaku wiodącego na zachód od polany. Przeszedł przez coś dziwnego: pole o powierzchni pół mili kwadratowej, całkowicie pokryte równą i gładką szklistą substancją, ciemnofioletową, bez najmniejszej rysy. Ziemia przesypywała się przez jej krawędzie, pokrywał ją łupież liści i gałęzi, lecz ona pozostawała nietknięta. Wyglądało to tak, jak gdyby wielki, płaski kawał ziemi zalano roztopionym ametystem. Co to było — pole startowe dla jakichś niewyobrażalnych pojazdów, zwierciadło służące do przesyłania sygnałów innym światom, podłoże pola siłowego? Czymkolwiek było, przyniosło zagładę Domowi Hirand. I potrzeba było tu o wiele więcej wiedzy i siły niż ta odrobina, którą Shinga pozostawili ludziom.

Falk odszedł, pozostawiając za sobą to dziwne miejsce i zagłębił się w las, nie próbując już szukać ścieżki.

Był to pozbawiony poszycia las majestatycznych, z rzadka rosnących, pozbawionych liści drzew. Resztę tego dnia i następny poranek spędził idąc szybkim marszem. Okolica stawała się znowu górzysta, wzgórza biegły z północy na południe, w poprzek jego drogi, i koło południa, kierując się na coś, co wyglądało z jednego wzgórza jak niski szczyt następnego, znalazł się nagle w bagnistej dolinie pełnej strumieni. Szukał brodów grzęznąc w podmokłych łąkach, przemoczony do suchej nitki ostrym, zimnym deszczem. W końcu, gdy znalazł wyjście z posępnej doliny, pogoda zaczęła się zmieniać i kiedy wspiął się na wzgórze, słońce wyszło przed nim zza chmur i roztoczyło wokoło cały splendor zimowego dnia, zsyłając promienie pomiędzy nagie gałęzie, rozjaśniając nagie konary, wielkie pnie i ziemię mokrym złotem. To dodało mu otuchy; szedł śmiało naprzód, z mocnym postanowieniem, że rozbije obóz dopiero o zmroku. Wszystko było teraz błyszczące i pogrążone w całkowitej ciszy, którą przerywał tylko odgłos spadających z gałęzi kropel deszczu i dalekie, smętne pogwizdywanie sikorek. Potem usłyszał, tak jak w swoim śnie, kroki dochodzące z tyłu, z lewej strony.

Zwalony dąb, stanowiący do tej pory przeszkodę, w tej jednej wstrząsającej chwili stał się osłoną; rzucił się za nim na ziemię i z bronią w ręku krzyknął:

— Wychodź!

Przez długi czas nic się nie poruszyło.

„Pokaż się” — odezwał się Falk w myślomowie i zaraz wyłączył odbiór, gdyż bał się odpowiedzi. Doznawał niesamowitego uczucia obcości: wiatr niósł słabą, cuchnącą woń.

Zza drzew wyszedł dzik, przeszedł po jego śladach i zatrzymał się, aby obwąchać ziemię. Groteskowa, wspaniała dzika świnia o mocarnych barkach, ostrym grzbiecie i pewnych, szybkich, uwalanych błotem nogach. Sponad ryja, kłów i szczeciny spoglądały na Falka maleńkie, błyszczące oczka.

— Aaach, aach, aach, człowiek, aach — powiedziało stworzenie węsząc.

Napięte mięśnie Falka drgnęły, a dłoń zacisnęła się na rękojeści lasera. Jednak nie strzelił. Ranny dzik jest niewiarygodnie szybki i groźny. Kulił się więc dalej bez drgnienia.

— Człowiek, człowiek — powiedziała dzika świnia niewyraźnym i matowym głosem dobywającym się z pokiereszowanego ryja — myśl do mnie. Myśl do mnie. Słowa są trudne dla mnie.

Falkowi drgnęła ręka, w której trzymał miotacz. Niespodziewanie dla samego siebie powiedział głośno:

— Więc nie mów. Nie chcę myślomowy. Idź, odejdź swoją świńską drogą.

— Aach, aach, człowieku, przemów do mnie.

— Idź albo będę strzelał! — Falk podniósł się trzymając pewnie wycelowany w stworzenie miotacz.

— To źle zabijać — powiedziała świnia.

Falk opamiętał się i tym razem nie odpowiedział, pewien, że zwierzę nie rozumie słów. Przesunął odrobinę miotacz, dokładnie wymierzając w cel i powiedział: — Idź! — Dzik zwiesił głowę z wahaniem. Potem z niewiarygodną szybkością, jak gdyby zerwał się z uwięzi, zawrócił i odbiegł tą samą drogą, którą przybył.

Falk stał przez chwilę, a kiedy odwrócił się, by odejść, wciąż trzymał gotowy do strzału miotacz. Jego ręka znowu drżała. Słyszał stare opowieści o obdarzonych mową zwierzętach, lecz mieszkańcy Domu Zove sądzili, że to tylko legendy. Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze, ale jednocześnie miał ochotę roześmiać się głośno. — Parth — wyszeptał, gdyż właśnie teraz musiał z kimś porozmawiać — właśnie otrzymałem lekcję etyki od dzikiej świni… Och, Parth, czy wydostanę się kiedyś z tego lasu? Czy on się nigdy nie skończy?

Brnął dalej przed siebie w górę coraz bardziej stromego, porośniętego krzakami zbocza. Na szczycie las stał się rzadszy i pomiędzy drzewami zobaczył skrawek nieba skąpany w blasku słońca. Jeszcze kilka kroków i wyszedł spod gałęzi na skraj zielonego zbocza, które opadało przez pas sadów i pól do brzegu szerokiej, czystej rzeki.

Po jej drugiej stronie, na podłużnej, ogrodzonej łące, pasło się stado złożone z około pięćdziesięciu sztuk bydła, dalej zaś wznosiły się pastwiska i sady aż po obrzeżony lasem zachodni grzbiet wzgórza. Niedaleko na południe od miejsca, gdzie stał Falk, rzeka zakręcała lekko wokół niskiego pagórka, zza skarpy którego, ozłocone niskim, późnym słońcem, wznosiły się czerwone kominy domu.

Wyglądało to jak kawałek jakiegoś innego, sielskiego wieku uwięzionego w tej dolinie i przeoczonego przez mijające stulecia, chronionego przed wszechogarniającym, dzikim chaosem bezludnego lasu. Przystań, towarzystwo i ponad wszystko porządek: dzieło ludzi. Uczucie ulgi i słabości wypełniło Falka na widok wstęgi dymu unoszącej się z tych czerwonych kominów… Ognisko domowe… Zbiegł w dół zbocza i przez najniżej położony sad dotarł do ścieżki, która prowadziła wzdłuż brzegu rzeki między zaroślami olch i złotych wierzb. Nie było widać żadnej żywej istoty oprócz czerwonobrązowych krów pasących się po drugiej stronie rzeki. Cisza i spokój wypełniały rozświetloną słońcem dolinę. Zwolniwszy kroku szedł pomiędzy zagonami ogrodu warzywnego do najbliższych drzwi domu. Kiedy obszedł pagórek, dom wyłonił się przed nim w całej okazałości, ze ścianami z rudej cegły i kamienia, odbijającymi się w bystrej wodzie na łuku rzeki. Zatrzymał się, nieco zrażony swą lekkomyślnością, gdyż przyszło mu do głowy, że powinien okrzyknąć dom oznajmiając swe przybycie, zanim zbliży się do niego. Ruch w otwartym oknie tuż nad ciemnym wejściem przykuł jego wzrok. Kiedy tak stał, na wpół wahając się, poczuł nagle, tuż pod mostkiem, przenikający głęboko w klatkę piersiową palący ból; zachwiał się i upadł zgięty we dwoje, jak uderzony packą pająk.

Ból trwał tylko chwilę. Nie stracił przytomności, lecz nie mógł ruszać się ani mówić.

Wokół niego stali ludzie; widział ich jak przez mgłę, między następującymi po sobie okresami niewidzenia, lecz nie słyszał żadnych głosów. Wyglądało to tak, jakby ogłuchł, a jego ciało całkowicie zdrętwiało. Mimo że zmysły odmawiały mu posłuszeństwa, usiłował myśleć. Niesiono go gdzieś, lecz nie czuł trzymających go rąk; doznał straszliwych zawrotów głowy, a kiedy minęły, stracił zupełnie kontrolę nad swoimi myślami, które wirowały opętańczo, paplały i skrzeczały. Jakieś głosy zaczęły mamrotać i brzęczeć w jego mózgu, chociaż świat wokół niego rozpływał się i niknął. Kim jesteś czy jesteś skąd pochodzisz Falk iść gdzie iść czy jesteś nie wiem czy jesteś człowiekiem zachód iść nie wiem gdzie droga oczy człowiek nie człowiek… Fale, echa i wzloty słów podobnych do wróbli, żądania, odpowiedzi, cichnące, zachodzące na siebie, chlipiące, krzyczące, zamierające w szarej ciszy.

Przed jego oczyma rozciągała się powierzchnia ciemności. Wzdłuż

niej ciągnęła sil krawędź światła.

Stół; krawędź stołu. Światło lampy w ciemnym pokoju. Zaczynał widzieć, czuć. Siedział na krześle w ciemnym pokoju, przy długim stole, na którym stała lampa. Był przywiązany do krzesła; kiedy się poruszył, czuł powróz wcinający się w mięśnie piersi i ramion. Ruch; jakiś człowiek wyłonił się po jego lewej, drugi z prawej strony. Siedzieli tak jak on, tuż przy stole. Pochylając się do przodu mówili do siebie ponad jego głową. Ich głosy brzmiały tak, jak gdyby dochodziły zza wysokiej ściany, z wielkiej odległości, tak że nie rozumiał słów.

Drżał z zimna. Uczucie chłodu sprawiało, że coraz lepiej orientował się w tym, co się wokół niego działo i zaczął odzyskiwać kontrolę nad myślami. Słyszał wyraźniej i znów mógł poruszać językiem. Powiedział coś, co miało znaczyć:

— Co ze mną zrobiliście?

Nie otrzymał odpowiedzi, lecz zaraz potem człowiek siedzący po jego lewej stronie niemal przytknął swoją twarz do twarzy Falka i powiedział głośno:

— Po co tutaj przyszedłeś?

Falk usłyszał słowa, po chwili je zrozumiał i po jeszcze jednej odpowiedział:

— Schronienie. Na noc.

— Schronienie przed czym?

— Lasem. Samotnością.

Zimno przenikało go coraz bardziej i bardziej. Rozkazał swym ciężkim, niezdarnym rękom unieść się trochę, chcąc zapiąć koszulę. Pod rzemieniami, którymi przywiązano go do krzesła, tuż pod mostkiem, czuł pulsujące bólem miejsce.

— Nie ruszaj rękoma — odezwał się mężczyzna siedzący po jego prawej stronie, cały pogrążony w cieniach. — To więcej niż program, Argerd. Żadna blokada hipnotyczna nie jest w stanie oprzeć się w ten sposób pentoninie.

Ten z lewej, duży mężczyzna o płaskiej twarzy i bystrych oczach, odezwał się cichym, syczącym głosem:

— Nie możesz być tego pewien, cóż bowiem wiemy o ich sztuczkach? Tak czy inaczej, jak oceniasz jego opór, czym on jest? Ty, Falk, gdzie jest to miejsce, z którego przyszedłeś, Dom Zove?

— Wschód. Wyszedłem… — Nie mógł przypomnieć sobie, ile dni trwała jego wędrówka. — Czternaście dni temu, tak sądzę.

Skąd znają nazwę jego Domu, jego imię? Odzyskiwał już jednak zmysły, więc nie dziwił się zbyt długo. Kiedyś z Metockiem polował na jelenie używając strzałek-igieł, które mogły zabić ledwo drasnąwszy. Strzała, która go powaliła, lub późniejsza iniekcja, kiedy był całkowicie bezbronny, musiała zawierać jakiś środek, który zniósł zarówno świadomą kontrolę, jak i prymitywną, podświadomą blokadę

telepatycznych ośrodków mózgu, pozostawiając go otwartym dla parawerbalnej indagacji. Przeszukali jego umysł. Ta myśl spotęgowała w nim uczucie zimna i słabości. Dlaczego dopuścili się tego gwałtu? Dlaczego zakładali, że będzie ich okłamywał, zanim jeszcze z nim porozmawiali?

— Czy myślicie, że jestem Shingą? — zapytał.

Twarz mężczyzny siedzącego z prawej strony, szczupła, okolona długimi włosami, brodata i ze ściągniętymi wargami pojawiła się niespodziewanie w świetle lampy. Otwartą dłonią uderzył Falka w usta. Głowa Falka odskoczyła do tyłu, oślepł na chwilę od wstrząsu. W uszach mu dźwięczało, w ustach czuł smak krwi. Potem było następne uderzenie, i jeszcze jedno. Mężczyzna syczał, powtarzając wiele razy:

— Nie wypowiadaj tego słowa, nie mów go, nie mów, nie mów…

Falk szarpnął się bezradnie, chcąc się obronić, uwolnić. Mężczyzna z lewej powiedział coś ostro. Potem przez chwilę panowała cisza.

— Nie chciałem nikogo skrzywdzić przychodząc tutaj — powiedział w końcu Falk na tyle spokojnie, na ile pozwalały mu na to gniew, ból i strach.

— W porządku — odezwał się ten z lewej, Argerd. — Dalej, opowiedz swoją historyjkę. Co chciałeś osiągnąć przychodząc tutaj?

— Poprosić o schronienie na noc. I dowiedzieć się, czy jest tu jakiś szlak prowadzący na zachód.

— Dlaczego chcesz iść na zachód?

— Dlaczego pytasz? Powiedziałem ci wszystko w myślomowie, gdzie nie ma miejsca na kłamstwo. Znasz mój umysł.

— Masz dziwny umysł — odparł Argerd swym cichym głosem. — I dziwne oczy. Nikt nie przychodzi tutaj, aby prosić o schronienie na noc albo pytać o drogę. Ani po cokolwiek innego. Nikt tutaj nie przychodzi. Kiedy przychodzą tutaj słudzy Obcych, zabijamy ich. Zabijamy wykonawców, mówiące zwierzęta, Wędrowców, świnie i robactwo. Nie słuchamy prawa, które mówi, że to źle zabijać, prawda, Drehnem?

Brodaty uśmiechnął się szczerząc pożółkłe zęby.

— Jesteśmy ludźmi — powiedział Argerd. — Ludźmi, wolnymi ludźmi, zabójcami. A kim ty jesteś, z tym swoim półumysłem i sowimi oczami i dlaczego nie mielibyśmy cię zabić?

W tym krótkim okresie, jaki pamiętał, Falk nigdy nie spotkał się wprost z okrucieństwem czy nienawiścią. Ci ludzie, których znał — a było ich tak niewielu — może nie byli nieustraszeni, lecz z pewnością nie władał nimi strach; byli wielkoduszni i życzliwi. Wiedział, że wśród tych dwóch mężczyzn jest bezbronny jak dziecko i świadomość tego zarazem oszałamiała go i rozwścieczała.

Szukał jakiejś obrony lub wybiegu i nie znalazł nic. Wszystko, co

mógł zrobić, to mówić prawdę.

— Nie wiem, czym ani kim jestem i skąd pochodzę. Idę, aby się tego dowiedzieć.

— Dokąd idziesz?

Przeniósł wzrok z Argerda na drugiego, Drehnema. Wiedział, że znają odpowiedź i że Drehnem znowu go uderzy, jeśli to powie.

— Odpowiedz! — krzyknął brodaty, unosząc się i pochylając do przodu.

— Do Es Toch — powiedział Falk i znowu Drehnem uderzył go w twarz, a on tak jak przedtem przyjął cios w milczącym upokorzeniu dziecka ukaranego przez obcych.

— To nic nie da. Nie powie nic więcej oprócz tego, co wyciągnęliśmy z niego po pentoninie. Zostaw go.

— Więc co z nim zrobimy?

— Szukał schronienia na noc, dostanie je. Wstań! Rzemień, którym był przywiązany do krzesła, odpadł. Chwiejąc się, stanął na nogach. Kiedy zobaczył czarną dziurę schodów za niskimi drzwiami, w których kierunku go wlekli, próbował stawić opór i wyrwać się, lecz mięśnie nie były mu jeszcze posłuszne. Drehnem wykręcając mu rękę zmusił go, aby się pochylił i tak przepchnął go przez wejście. Drzwi zatrzaśnięto, gdy odwracał się chwiejnie, aby utrzymać się na stopniach.

Ciemność; nieprzenikniona ciemność. Drzwi były jak opieczętowane, bez żadnego uchwytu po tej stronie. Żaden ślad, najmniejszy promyk światła nie dochodził zza nich, nie było również nic słychać. Falk usiadł na szczycie schodów ze zwieszoną między ramionami głową.

Stopniowo słabość i oszołomienie mijały. Uniósł głowę wytężając wzrok. Widział w ciemności o wiele lepiej niż inni ludzie. Zawdzięczał to — jak dawno temu stwierdziła Ranya — swoim dziwnym oczom z wielkimi źrenicami i tęczówkami. Lecz teraz jedynie plamy i cętki powidoku męczyły jego oczy; nic nie widział, gdyż nie docierał tutaj najmniejszy promyk światła. Wstał i po omacku, wolno, stopień po stopniu, zaczął schodzić wąskimi, niewidocznymi stopniami.

Dwudziesty pierwszy stopień, drugi, trzeci — koniec. Falk ruszył powoli naprzód, z wyciągniętą ręką, nadsłuchując. Chociaż ciemność była dla niego czymś w rodzaju fizycznego ucisku — mroczną przemocą, oszukującą go ustawicznie wrażeniem, że jeśli będzie wytężał wzrok wystarczająco mocno, to zacznie widzieć — nie bał się jej. Systematycznie, krocząc powoli, kierując się dotykiem i słuchem, upewnił się, że znajduje się w części rozległej piwnicy, pierwszym pomieszczeniu z całego szeregu piwnic, które, sądząc po echach, wydawały się ciągnąć bez końca.

Odnalazł niebawem drogę z powrotem do schodów, które,

ponieważ od nich zaczął, potraktował jako swoją bazę. Tym razem usiadł na najniższym stopniu i siedział bez ruchu. Był głodny i bardzo chciało mu się pić. Zabrali mu plecak, a nie pozostawili nic, czym mógłby zaspokoić głód i pragnienie.

To twoja wina — powiedział gorzko do siebie i jego umysł rozdzielił się, rozpoczynając coś w rodzaju dialogu. *Cóż takiego zrobiłem? Dlaczego mnie zaatakowali?*

Przecież Zove powiedział ci: nie ufaj nikomu. Oni nikomu nie ufają a mają rację.

Nawet komuś, kto przychodzi sam i prosi o pomoc?

Z twoją twarzą, z twoimi oczami? Kiedy nawet na pierwszy rzut oka jest oczywiste, że nie jesteś normalną ludzką istotą? Mimo wszystko mogli mi dać choć łyk wody — powiedziała być może dziecięca, wciąż nie znająca strachu część jego umysłu.

Tylko swemu przeklętemu szczęściu zawdzięczasz to, że nie zabili cię od razu, jak tylko cię zobaczyli — stwierdził jego intelekt i na to już nie było odpowiedzi.

Oczywiście, wszyscy mieszkańcy Domu Zove przyzwyczaili się do wyglądu Falka, a goście przybywali rzadko i byli ostrożni w wyrażaniu swych spostrzeżeń, tak że nigdy nie był zmuszony do zastanawiania się nad tym, jak bardzo pod względem fizycznym różni się od innych. Teraz po raz pierwszy uświadomił sobie, że obcy spoglądający w jego twarz nigdy nie zobaczyli w niej twarzy człowieka.

Ten zwany Drehnemem bał się go i uderzył dlatego, że się bał i że budził w nim wstręt, ponieważ był dla niego obcy, potworny, niewytłumaczalny.

To było tylko to, co Zove usiłował mu powiedzieć, kiedy ostrzegał go tak poważnie i niemal czule: „Musisz iść sam, możesz iść tylko sam".

Teraz nie pozostało nic, tylko spać. Ułożył się, jak mógł najwygodniej, na najniższym stopniu, gdyż klepisko było wilgotne, i zamknął oczy odgradzając się od zewnętrznej ciemności.

Jakiś czas później obudziły go myszy. Biegały tu i tam z ledwo słyszalnym chrobotem — zig-zag dochodzące z ciemności — i szeptały: „Źle zabijać to źle zabijać halo haalllooo nie zabijaj nas nie zabijaj nas".

— Zabiję — ryknął Falk i wszystkie myszy zamilkły. Trudno było mu znowu zasnąć, choć być może trudne było to, że nie był pewien, czy śpi, czy czuwa. Leżał i zastanawiał się, czy na zewnątrz jest dzień czy noc; jak długo będą trzymali go tutaj i czy mają zamiar go zabić; czy użyją tego środka znowu, aż zupełnie zniszczą mu umysł; a nie tylko wedrą się weń; ile czasu trzeba, aby pragnienie zmieniło się z dolegliwości w katusze; jak najlepiej łowić w ciemności myszy bez

przynęty i łapki i jak długo można przeżyć na diecie z surowych myszy.

Kilka razy, aby odegnać od siebie te myśli, na nowo przeszukiwał piwnicę. Znalazł wielką postawioną na sztorc beczkę czy kadź i serce zabiło mu nadzieją, lecz dźwięczała głucho, gdy macał wokół niej, podrapał sobie ręce o wyłamane deski przy dnie. Nie znalazł innych schodów ani drzwi w tej swej ślepej wędrówce wzdłuż nie kończących się, niewidocznych ścian.

Stracił w końcu orientację i nie mógł odnaleźć schodów. Usiadł w ciemności na ziemi i wyobraził sobie padający gdzieś w lesie na szlaku jego samotnej wędrówki deszcz, szare światło i szept kropel w gałęziach drzew. W myślach powtórzył to wszystko, co pamiętał ze Starego Kanonu, sam początek początków:

> Droga, którą zdążasz
> nie jest Drogą wieczną…

Po jakimś czasie usta mu tak wyschły, że spróbował polizać klepisko, czując bijącą od niego chłodną wilgoć, lecz do języka przywarł tylko suchy pył. Myszy przemykały niekiedy tuż obok niego, szepcząc w ciemności.

Daleko w głębi długich korytarzy czerni szczęknęły rygle, zadźwięczał metal — jasny, przeszywający brzęk światła. Światło…

Niewyraźne kształty i cienie, łuki sklepień, belki, jakieś otwory wyłoniły się i majaczyły w ciemnej przestrzeni wokół niego. Z wysiłkiem stanął na nogach i ruszył chwiejnym biegiem w kierunku światła.

Dochodziło z niskich drzwi, przez które, kiedy się do nich zbliżył, zobaczył wierzchołki pagórków, korony drzew i zaróżowione wieczorne lub poranne niebo, które oślepiło jego oczy jak południowe słońce w bezchmurny letni dzień. Zatrzymał się przed progiem nie tylko dlatego, że niemal oślepł, ale i dlatego, że tuż za drzwiami stała nieruchoma postać.

— Wychodź — odezwał się cichy, ochrypły głos, głos wielkiego mężczyzny, Argerda.

— Czekaj. Nie widzę jeszcze.

— Wychodź. I nie zatrzymuj się. Nie odwracaj nawet głowy, bo inaczej zamiast niej zostanie ci na karku kupka żużlu.

Falk wszedł w drzwi, lecz znowu się zawahał. Jego umysł, dotychczas pogrążony w ciemności, teraz znowu zaczynał pracować. Jeśli puszczają go wolno, myślał, może to znaczyć, że boją się go zabić.

— Ruszaj!

Zaryzykował.

— Nie bez mojego plecaka — powiedział cichym głosem, który ledwo wydobył się z suchego gardła.

— To jest laser.

— Równie dobrze możesz użyć go teraz. Nie przejdę przez kontynent bez broni.

Tym razem to Argerd był tym, który się zawahał. W końcu głosem przechodzącym niemal w pisk wrzasnął do kogoś:

— Gretten! Gretten! Znieś na dół rzeczy obcego!

Przez jakiś czas nic się nie działo. Falk stał w ciemności tuż przed progiem, Argerd, nieruchomy, tuż za nim. Jakiś chłopiec zbiegł po porosłym trawą zboczu widocznym przez drzwi, cisnął plecak Falka i zniknął.

— Podnieś to — rozkazał Argerd i Falk posłuchał, wychodząc z cienia w światło. — A teraz zabieraj się.

— Czekaj — mruknął Falk klękając i pospiesznie przejrzał poprzerzucane rzeczy w rozpiętym plecaku. — Gdzie moja książka?

— Książka?

— Stary Kanon. Zwykła książka, nie elektroniczna…

— Myślisz, że pozwolilibyśmy ci stąd z nią odejść? Falk osłupiał.

— Czy Kanony Człowieka nabiorą dla was znaczenia, jeśli je przeczytacie? Dlaczego ją zabrałeś?

— Nie wiesz i nigdy nie dowiesz się tego, co my wiemy, a jeśli zaraz stąd nie odejdziesz, odetnę ci laserem ręce. Wstawaj i idź prosto przed siebie, ruszaj! — W głosie Argerda znów pojawił się piskliwy ton i Falk uświadomił sobie, że omal nie przekroczył granicy. Dostrzegł strach i nienawiść bijące z topornie ciosanej, inteligentnej twarzy Argerda, poczuł, że te same emocje udzielają się i jemu, więc pospiesznie zapiął plecak, wyminął wielkiego mężczyznę i ruszył pod górę trawiastym zboczem wznoszącym się od drzwi piwnicy. To było światło zmierzchu — słońce dopiero co zaszło. Szedł prosto w nie. Cienka, elastyczna taśma czystej niepewności zdawała się łączyć tył jego głowy z końcem lufy laserowego miotacza w ręce Argerda i rozciągała się coraz bardziej, w miarę jak odchodził. Przeszedł przez zarośnięty zielskiem trawnik, przez most z luźnych desek przerzucony nad rzeką, a potem skierował się w górę ścieżką wiodącą wśród pastwisk i dalej wśród sadów. Wszedł na szczyt wzgórza. Rzucił okiem za siebie, by zobaczyć ukrytą dolinę taką, jaką zobaczył ją po raz pierwszy: wypełnioną złotym wieczornym światłem, słodką i spokojną, wysokie kominy domu sterczące ponad odbijającą niebo rzeką. Potem podążył w mrok lasu, gdzie królowała już noc.

Spragniony i głodny, zły i przygnębiony Faik widział siebie idącego przez Wschodni Las bez określonego celu i bez żadnej nadziei na przyjazne ognisko gdzieś po drodze, które przerwałoby uciążliwą, dziką monotonię jego wędrówki. Nie mógł szukać drogi, przeciwnie —

musiał unikać wszystkich dróg i kryć się przed ludźmi i ich siedzibami jak każde inne dzikie zwierzę. Tylko jedna rzecz pocieszała go trochę — oprócz potoku, gdzie zaspokoił pragnienie, i paru kęsów żywności z plecaka — a była to myśl, że chociaż sam sprowadził na siebie kłopoty, to jednak nie ugiął się pod nimi. Udało mu się nastraszyć uczłowieczonego dzika i zezwierzęconego człowieka w ich własnych siedzibach. Napełniło go to otuchą: znał siebie tak mało, że wszystko, czego dokonał, było również aktem samopoznania, i wiedząc, jak bardzo brakuje mu tej wiedzy o sobie, był zadowolony dowiadując się, że przynajmniej nie brak mu odwagi. Napił się, zjadł, napił się znowu, a potem ruszył dalej w świetle księżyca, nikłym, a jednak wystarczającym dla jego oczu, dopóki nie pozostawił dobrej mili nierównego terenu między sobą a Domem Strachu, jak w myślach go nazywał. Potem, wyczerpany, ułożył się do snu na skraju niewielkiej polany, nie rozpalając ogniska ani nie budując szałasu; leżąc wpatrywał się w skąpane w księżycowym blasku zimowe niebo. Nic nie mąciło ciszy oprócz powtarzających się co jakiś czas dalekich pohukiwań polującej sowy. I ta samotność wydała mu się kojąca i błogosławiona po wypełnionej głosami i mysią bieganiną ciemnej, więziennej piwnicy Domu Strachu.

I kiedy tak spieszył na zachód, przemykając wśród drzew i kolejnych dni, nie mógł już zliczyć ani jednych, ani drugich. Czas mijał, a on szedł dalej.

Utracił nie tylko książkę, wzięli również srebrną manierkę, dar Metocka, i maleńkie puzderko, również srebrne, zawierające dezynfekującą maść. Zabrali książkę chyba tylko dlatego, że bardzo jej potrzebowali albo też brali ją za coś w rodzaju szyfru czy zakodowanego przekazu. Przez jakiś czas w niedorzeczny sposób dotkliwie odczuwał jej brak, gdyż wydawało mu się, że była jedynym prawdziwym ogniwem łączącym go z ludźmi, którzy zdobyli jego miłość i zaufanie, tak że kiedyś siedząc przy ognisku powiedział sobie, że następnego dnia zawróci, odnajdzie Dom Strachu i odbierze swoją książkę. Lecz owego następnego dnia poszedł znowu dalej. Mógł iść przed siebie na zachód, kierując się wskazaniami słońca i kompasu, lecz nigdy nie odnalazłby określonego miejsca w tym bezkresie nie kończących się wzgórz i dolin. Ani ukrytej doliny Argerda, ani też Polany, gdzie właśnie teraz Parth być może tkała na swym warsztacie w świetle zimowego słońca. Wszystko to przepadło gdzieś za nim.

A może dobrze się stało, że utracił książkę. Cóż tutaj znaczył dla niego ten trafny i wytrwały mistycyzm prastarej cywilizacji, ten spokojny głos opowiadający o zapomnianych wojnach i katastrofach? Rodzaj ludzki przeżył katastrofę, lecz on opuścił ludzi. Zaszedł już zbyt daleko i był całkowicie samotny. Żył teraz wyłącznie dzięki polowaniu, a to w znacznym stopniu skracało drogę, jaką przebywał

każdego dnia. Nawet jeśli zwierzyna nie boi się huku wystrzałów i jest bardzo liczna, polowanie wymaga czasu. Trzeba sprawić i upiec łup, a potem siedzieć w zimowym chłodzie przy ognisku i wysysać kości, i pozwolić, aby ogarnęło cię uczucie sytości i senności; trzeba zbudować szałas z kory i gałęzi dla ochrony przed deszczem i spać, a następnego dnia iść dalej. Na książkę nie było tu miejsca, nawet na ów stary kanon o Niedziałaniu. Nie przeczytałby go — był zbyt zmęczony, aby myśleć. Polował, jadł, spał, szedł; milczący w milczącym lesie, szary cień prześlizgujący się na zachód poprzez mroźną puszczę.

Pogoda pogarszała się z dnia na dzień. Często chude zdziczałe koty, śliczne niewielkie stworzenia o pasiastych lub łaciatych futerkach i zielonych oczach czekały na skraju kręgu blasku rzucanego przez ognisko na resztki jedzenia i zbliżały się z chytrą i bojaźliwą dzikością, aby porwać kości, które im ciskał. Gryzoni, którymi się żywiły, niemal się nie spotykało; zapadły w zimowy sen. Żadne stworzenie, od czasu kiedy opuścił Dom Strachu, nie odezwało się ani nie przemówiło do niego. Zwierzęta tych pięknych, skutych mrozem, nizinnych lasów, które teraz przemierzał, być może nigdy nie widziały człowieka ani nie czuły jego zapachu. I im bardziej oddalał się od Domu Strachu, tym wyraźniej widział jego obcość: samego domu ukrytego w spokojnej dolinie, jego fundamentów ożywionych myszami piszczącymi ludzkim głosem i jego mieszkańców posiadających prawdziwą wiedzę, używających narkotyków prawdy i pogrążonych w barbarzyńskiej ciemnocie. Tam z pewnością bywał Wróg.

Wątpliwe było natomiast, czy Wróg kiedykolwiek był tutaj. Nikogo zresztą tutaj nie było. Nikogo nigdy nie będzie. Sójka skrzeczała wśród szarych gałęzi. Oszronione, brązowe liście trzeszczały pod stopami; liście setek jesieni. Wielki jeleń spoglądał na niego z drugiej strony niewielkiej polany, nieporuszony, stawiając pod znakiem zapytania jego prawo do przebywania tutaj.

— Nie zastrzelę cię. Upolowałem rano dwie kury — odezwał się Falk.

Jeleń utkwił w nim wzrok z wyniosłym opanowaniem niemych istot, a potem powoli odszedł. Nic tu nie napawało Falka strachem. Nic się do niego nie odzywało. Pomyślał, że w końcu ponownie zapomni mowy i znowu stanie się taki, jaki był przedtem: niemy, dziki, nieludzki. Zbyt daleko odszedł od ludzkich siedzib i przybył do miejsc, którymi władają nieme stworzenia i do których człowiek nigdy nie zagląda.

Na skraju łąki potknął się o kamień i już na czworakach przeczytał wyblakłe litery, wycięte w na wpół zagrzebanym w ziemi bloku: CK O.

Człowiek był tutaj; żył tutaj. Pod stopami Falka, pod ściętym

lodem pagórkowatym terenem porośniętym bezlistnymi zaroślami i nagimi drzewami, pod korzeniami, leżało miasto. Tylko że on przybył do tego miasta o jakieś tysiąc bądź dwa tysiące lat za późno.

III

Dni, których Falk nie liczył, stały się bardzo krótkie i być może było już po Nowym Roku, zimowym przesileniu. Chociaż pogoda nie była tak zła, jak mogła być wówczas, kiedy miasto wznosiło się nad Ziemią — gdyż obecnie Ziemia znajdowała się w cieplejszym cyklu meteorologicznym — to jednak wciąż była przede wszystkim ponura i szara. Śnieg padał często, nie tak gęsty, aby uczynić wędrówkę ciężką, lecz wystarczająco obfity, aby Falk zrozumiał, że gdyby nie zimowa odzież i śpiwór, jakie otrzymał w Domu Zove; musiałby znosić coś więcej niż zwykłą niewygodę, jaką przynosi chłód. Północny wiatr wiał niezmordowanie tak ostro, że jeśli tylko było to możliwe, wolał iść wraz z nim, wybierając drogę na południowy zachód, niż wystawiać twarz na mroźne podmuchy.

W ciemnościach jakiegoś ponurego popołudnia, przepełnionego deszczem i śniegiem, przedzierając się przez gęste zarośla jeżyn porastających kamienisty, błotnisty grunt z trudem zszedł do ciągnącej się na południe doliny, której dnem płynął strumień. Niespodziewanie zarośla rozstąpiły się i to, co ujrzał, spowodowało, że stanął jak wryty. Przed nim płynęła wielka rzeka, lśniąc matowo w strumieniach deszczu. Deszczowe opary na wpół przesłaniały drugi, niski brzeg. Szerokość i majestat tej ogromnej, pogrążonej w ciszy, prącej na zachód pod niskim niebem masy ciemnej wody napełniła go lękiem. Zrazu pomyślał, że musi to być Wewnętrzna Rzeka, jeden z niewielu punktów orientacyjnych wnętrza kontynentu, znana z pogłosek mieszkańcom wschodnich Leśnych Domów; lecz wieści głosiły, że ma płynąć na południe, wyznaczając zachodnią granicę królestwa drzew. Z pewnością zatem był to dopływ Wewnętrznej Rzeki. Z tego to powodu podążył za jego biegiem, ale również i dlatego, że uwalniał go od wysokich wzgórz i zapewniał zarazem wodę i obfite łowy; poza tym od czasu do czasu przyjemnie było mieć pod stopami piaszczysty brzeg i otwarte niebo ponad głową zamiast nie kończącej się ciemności bezlistnych gałęzi. Podążając wzdłuż rzeki szedł od południa ku zachodowi przemierzając falistą leśną krainę, zimną, nieruchomą i bezbarwną w uścisku zimy.

Któregoś z tych wielu poranków nad rzeką strzelił jedną z dzikich kur, gromadzących się w skrzeczące, nisko lecące stada, tak pospolitych tutaj, że stanowiły jego podstawowe pożywienie. Przestrzelił jej skrzydło, więc żyła, kiedy ją podnosił. Zatrzepotała skrzydłami i krzyknęła swym świdrującym, ptasim głosem: — Zabierać-życie-zabierać-życie-zabierać… — I wtedy ukręcił jej szyję.

Słowa dźwięczały mu w głowie i nie chciały ucichnąć. Ostatnim razem, kiedy zwierzę mówiło do niego, znajdował się w przedsionku

Domu Strachu. Gdzieś wśród tych odludnych szarych wzgórz byli, lub wciąż są, ludzie: jakaś ukryta grupa, jak domownicy Argerda, lub okrutni Wędrowcy, którzy zabiją go, jeśli ujrzą jego obce oczy, albo wykonawcy, którzy uczynią z niego więźnia lub niewolnika i zabiorą do swych Władców. I choć najprawdopodobniej u kresu tego wszystkiego będzie musiał stanąć twarzą w twarz z Władcami, to jednak chciał odnaleźć swoją własną drogę do nich, w odpowiednim dla siebie czasie, chciał też wówczas być sam. Nie ufaj nikomu, unikaj ludzi! Dobrze zapamiętał tę lekcję. Tego dnia szedł niezwykle ostrożnie i czujnie, i tak cicho, że ptaki wodne, które tłumnie zasiedlały brzegi rzeki, podrywały się, zaskoczone, niemal spod jego nóg.

Nie przekroczył żadnej ścieżki ani nie dostrzegł żadnego znaku, który świadczyłby o tym, że mieszkały tu jakieś ludzkie istoty lub że kiedykolwiek zbliżały się do rzeki. Lecz pod koniec krótkiego popołudnia stado brązowozielonego dzikiego ptactwa poderwało się przed nim i odleciało ponad wodą kwacząc i nawołując się nawzajem ludzkimi głosami.

Nieco dalej zatrzymał się, gdyż wydało mu się, że czuje niesiony wiatrem zapach dymu.

Wiatr wiał w górę rzeki, ku niemu, od północnego zachodu. Szedł dalej ze zdwojoną ostrożnością. Potem, gdy noc wzbierała już wśród pni drzew i zamazywała ciemnością rozciągniętą wstęgę rzeki, daleko przed nim, nad zarośniętym gąszczem wierzb brzegiem, zamigotało światło; zniknęło i znowu rozbłysło.

To nie strach czy nawet ostrożność były tym, co zatrzymało go w miejscu, aby wpatrzeć się w odległe migotanie. Pomijając jego własne samotne ogniska, było to pierwsze światło, jakie widział w tej puszczy od czasu, kiedy opuścił Polanę. To światło świecące z daleka poprzez mrok wzruszyło go do głębi.

Wytrwały w swym urzeczeniu czekał, aż zapadła zupełna ciemność. Potem poszedł powoli i bezgłośnie wzdłuż brzegu,. wciąż kryjąc się wśród wierzb, dopóki nie zbliżył się na tyle, aby zobaczyć żółty od płonącego wewnątrz ognia prostokąt okna, skraj obwiedzionego śniegiem dachu ponad nim i jeszcze wyżej zwisające gałęzie sosny. Ponad czarnym lasem i rzeką zwisała ogromna konstelacja Oriona. Zimowa noc była mroźna i cicha. Co jakiś czas suchy śnieżny pył odrywał się od gałęzi i spadając migotał w blasku ognia w swej powolnej drodze ku czarnej wodzie.

Falk stał wpatrując się w światło wydobywające się z chaty. Zbliżył się odrobinę, a potem przez długi czas stał bez ruchu.

Drzwi chaty otwarły się ze skrzypnięciem, rozpościerając wachlarz złota na ciemnym gruncie i wzbijając kłąb błyszczącego śnieżnego pyłu.

— Podejdź do światła — powiedział stojący bez żadnej osłony w złotym prostokącie wejścia mężczyzna.

Falk, skryty w ciemnych zaroślach, położył dłoń na laserze, nie czyniąc poza tym żadnego innego ruchu.

— Słyszałem twoje myśli. Jestem Słuchaczem. Chodź, nie ma się czego bać. Czy mnie rozumiesz?

Milczenie. — Mam nadzieję, że tak, ponieważ nie mogę użyć myślomowy. Nie ma tu nikogo oprócz ciebie i mnie — powiedział spokojny głos. — Słyszę samochcąc, tak jak ty słyszysz swoimi uszami, i wciąż słyszę cię tam, w ciemności. Chodź i zapukaj, jeśli chcesz pobyć przez chwilę pod dachem.

Drzwi zamknęły się.

Falk stał bez ruchu przez jakiś czas. Potem zrobił w ciemności te kilka kroków dzielących go od drzwi maleńkiej chaty i zapukał.

— Wejdź!

Otworzył drzwi i wkroczył do środka w ciepło i światło. Stary mężczyzna, z długim opadającym na plecy warkoczem siwych włosów, klęczał przy palenisku dokładając do ognia. Nie odwrócił się, aby spojrzeć na gościa, dalej metodycznie układał bierwiona. Po chwili odezwał się głośno, w powolnym zaśpiewie:

Jestem sam, zdezorientowany
zdezorientowany
i opuszczony
Och, jak łódź
bez steru
Och, bez nadziei
na przystań…

W końcu siwa głowa odwróciła się. Stary mężczyzna uśmiechał się; jego wąskie, jasne oczy spoglądały z ukosa na Falka.

Ochrypłym i niepewnym głosem, od dawna bowiem nie wypowiedział ani słowa, Falk odpowiedział następnym wersem Starego Kanonu:

Wszyscy znają swoją drogę
tylko ja sam
jestem tu obcy
tak różny od wszystkich
lecz tak samo
szukam mleka Matki
i Drogi…

— Cha, cha! — zaśmiał się starzec. — Czyż nie? Żółtooki? Chodź, siadaj, tutaj przy ogniu. Obcy, tak, tak, naprawdę jesteś obcy. Jak daleko od swoich? Kto to wie? Od jak dawna nie myłeś się w gorącej wodzie? Kto to wie? Gdzie ten przeklęty kociołek? Zimna noc na szerokim świecie, prawda? Zimna jak pocałunek zdrajcy. Tu go mamy; napełnij go z tego cebra, tam przy drzwiach, dobrze? Potem postawię go na ogniu, o taaak. Jestem Thurro-dowist, widzę, że wiesz, co to znaczy, więc nie znajdziesz tu wielkich wygód. Ale gorąca kąpiel jest gorącą kąpielą, bez względu na to, czy kociołek podgrzany będzie fuzją termojądrową, czy wiązką sosnowego chrustu, co? Tak, naprawdę jesteś obcy, chłopcze, a twoim rzeczom też przydałoby się pranie, choć być może są nieprzemakalne. Co tam masz? Króliki? Wspaniale. Udusimy je jutro z paroma jarzynkami. Jarzyn nie ustrzelisz swoim laserem. A przecież nie mogłeś z plecaka zrobić magazynu na kapustę. Mieszkam tu sam, mój chłopcze, sam, całkiem samiuteńki. Dlatego że jestem wielkim, bardzo wielkim, największym Słuchaczem, żyję sam i tak wiele mówię. Nie urodziłem się tutaj, jak grzyb w lesie… ale przebywając z innymi ludźmi nigdy nie mogłem zamknąć się przed ich umysłami, przed tym całym brzęczeniem, smutkiem, paplaniną i naprzykrzaniem, i przed tymi wszystkimi drogami, którymi zdążali, i czułem się tak, jakbym nagle musiał znaleźć swoją własną drogę przez czterdzieści różnych lasów. Więc przybyłem tutaj, aby żyć w prawdziwym lesie, otoczony tylko zwierzętami, których umysły są ubogie i ciche. Nie ma śmierci w ich myślach. I nie ma w nich kłamstwa. Siadaj, wiele dni trwała twoja wędrówka i twoje nogi są utrudzone.

Falk usiadł na drewnianej ławie przy palenisku.

— Dziękuję za gościnę — zaczął i chciał powiedzieć swe imię, gdy starzec rzekł:

— Nie ma potrzeby. Mogę ci dać wiele dobrych imion, wystarczająco dobrych dla tej części świata. Żółtooki, Obcy, Gość czy jakiekolwiek inne. Pamiętaj, jestem Słuchaczem, a nie parawerbalistą. Nie odbieram słów ani imion. Nie potrzebuję ich. Wiedziałem, że tam w ciemności stoi samotna dusza i wiedziałem, że moje oświetlone okno błyszczy w twoich oczach. Czy to nie wystarczy, a nawet bardziej niż wystarczy? A ja mam na imię Wciąż Samiuteńki. Dobrze? Zostań przy ogniu, ogrzej się.

— Już mi ciepło — odparł Falk.

Siwy warkocz skakał po plecach starca, gdy chodził tam i z powrotem, szybki i kruchy, ani na chwilę nie przestając mówić cichym głosem; ani razu nie zadał konkretnego pytania, nigdy nie przerywał, aby usłyszeć odpowiedź. Nie było w nim cienia strachu i niemożliwe było bać się go.

Teraz wszystkie dni i noce wędrówki przez las zlały się w jedno i

pozostały gdzieś za Falkiem. Już nie obozował pod gołym niebem, trafił do domu. Nie musiał myśleć o pogodzie, ciemności, gwiazdach, zwierzętach i drzewach. Mógł siedzieć wyciągnąwszy nogi do buchającego blaskiem paleniska, mógł jeść w towarzystwie innej osoby, mógł kąpać się przed kominkiem w drewnianej balii pełnej gorącej wody. Nie wiedział, co było większą przyjemnością: czy ciepło tej wody, która zmywała z niego brud i zmęczenie, czy też ciepło, które ogarniało tutaj jego duszę: ta niedorzeczna, pokrętna, żywa gadanina starego człowieka, ta cudowna zawiłość ludzkiego języka po tak długim milczeniu puszczy.

Wierzył w to, co mówił mu starzec: że był zdolny. wyczuć doznania i emocje Falka, że był słuchaczem umysłu, empatą. Empatia ma się do telepatii mniej więcej tak jak dotyk do wzroku: to bardziej nieokreślony, prymitywniejszy i intymniejszy zmysł. Nie poddawała się w takim stopniu precyzyjnej, wyuczonej, świadomej kontroli jakiej podlegał przekaz telepatyczny; wzajemna, mimowolna empatia nie była czymś niecodziennym nawet wśród osób niewyszkolonych. Niewidoma Kretyan szkoliła się w słuchaniu umysłu, mając wrodzony dar ku temu; nie można go było jednak porównać z tym, jaki posiadał starzec. Nie zabrało Falkowi wiele czasu, aby upewnić się, że rzeczywiście stary mężczyzna nieustannie, w jakimś stopniu, świadom jest wszystkiego, co jego gość odczuwa i jakich doznaje emocji. Z jakiegoś nieokreślonego powodu nie przejmował się tym, podczas gdy świadomość tego, że narkotyk Argerda umożliwił telepatyczne sondowanie jego umysłu, rozwścieczała go. Tutaj intencja była inna, zupełnie inna.

— Rano zabiłem kurę — odezwał się, kiedy starzec zamilkł na chwilę, grzejąc dla niego gruby ręcznik przy trzaskającym ogniu. — Mówiła… tym językiem. Kilka słów z… z Prawa. Czy to nie znaczy, że ktoś bywa tutaj, ktoś, kto uczy mowy zwierzęta i ptactwo? — Nie był aż tak odprężony, nawet po gorącej kąpieli, aby nazwać Wroga wprost — nie po lekcji, jaką otrzymał w Domu Strachu.

Zamiast odpowiedzi starzec po raz pierwszy zadał prawdziwe pytanie.

— Czy zjadłeś tę kurę?

— Nie — odparł Falk wycierając się do sucha ręcznikiem, aż w żarze bijącym od ognia jego skóra poczerwieniała stając się podobną do wypolerowanego brązu. — Nie po tym, jak przemówiła. Zamiast tego strzeliłem króliki.

— Zabić i nie zjeść? Wstydź się, wstydź się. — Starzec zagdakał, a potem zapiał jak dziki kogut. — Czyż nie ma w tobie czci dla życia? Musisz zrozumieć Prawo. Powiada ono, że nie możesz zabijać, o ile nie musisz. A nawet wówczas nie powinno być to łatwe. Pamiętaj o tym, kiedy znajdziesz się w Es Toch. Jesteś już suchy? Okryj swą

nagość, Adamie z Kanonu Yaweh. Masz, zawiń się w to, nie jest to takie śliczne jak twoje ubranie, to tylko jelenia skóra wygarbowana w moczu, ale przynajmniej jest czysta.

— Skąd wiesz, że idę do Es Toch? — zapytał Falk otulając się jak togą miękką skórzaną szatą.

— Ponieważ nie jesteś człowiekiem — odparł starzec. — I pamiętaj, że jestem słuchaczem. Znam miejsce — czy tego chcę, czy nie — ku któremu zdąża twój umysł, tak samo obce jak i on. Północ i południe są zamglone, gdzieś daleko na wschodzie widzę utraconą jasność, na zachodzie zaś rozpościera się ciemność, nieprzenikniona ciemność. Znam tę ciemność. Słuchaj. Słuchaj mnie, ponieważ ja nie chcę słuchać ciebie, mój drogi, błądzący gościu. Gdybym chciał słuchać ludzkiej gadaniny, nie żyłbym tutaj wśród dzikich świń, sam jak dzika świnia. Muszę ci to powiedzieć, zanim pójdę spać. Słuchaj zatem: Shinga jest niewielu. To najważniejsza wiadomość, a zarazem mądrość i dobra rada. Pamiętaj o tym, kiedy wejdziesz w straszliwą ciemność błyszczących świateł Es Toch. Informacje zawsze mogą się przydać, choćby były niepełne. A teraz zapomnij o wschodzie i zachodzie i idź spać. Kładź się do łóżka. Chociaż jako Thurro-dowist sprzeciwiam się wszelkiemu zbytkowi, to jednak nie mam nic przeciwko prostym przyjemnościom umilającym życie, takim jak łóżko do spania. Przynajmniej co jakiś czas. Tak samo nie mam nic przeciwko towarzystwu innych ludzi — raz lub dwa razy do roku. Chociaż nie mogę powiedzieć, żebym odczuwał ich brak, tak jak ty. Sam nie oznacza samotny… — I gdy układał sobie na podłodze posłanie, tkliwym zaśpiewem zacytował swoje kredo z Młodszego Kanonu: — „Nie jestem bardziej samotny niż strumyk przy młynie, chorągiewka na dachu, niż północna gwiazda, południowy wiatr, kwietniowy deszcz, styczniowa odwilż, pierwszy pająk w nowym domu…” Nie jestem bardziej samotny niż ten głupiec śmiejący się nad Stawem, nie bardziej samotny niż sam Walden Pond{Nieprzetłumaczalny ciąg skojarzeń: Walden Pond (dosł. Staw Walden) miejsce we wsch. Massachusetts, gdzie w latach 1845–1847 przebywał Henry David Thoreau (1817–1862) — (stąd zniekształcone Thurro), amerykański filozof moralista i pisarz, przedstawiciel transcendentalizmu, obserwator i miłośnik przyrody, autor m.in. kontemplacyjnych esejów „Walden, or Life in the Woods”}.

Potem powiedział „dobranoc” i nie odezwał się już męcej. Tę noc Falk przespał po raz pierwszy krzepkim głębokim snem, jakiego nie zaznał od początku podróży.

Spędził jeszcze dwa dni i dwie noce w chacie nad brzegiem rzeki, gdyż gospodarz był mu bardzo rad, trudno więc było mu opuścić ten maleńki rajski przybytek ciepła i ludzkiego towarzystwa. Starzec rzadko słuchał i nigdy nie odpowiadał na pytania, lecz w nie

kończącym się potoku jego paplaniny nagle pojawiały się jakieś aluzje lub strzępki faktów, aby zaraz zniknąć. Znał drogę na zachód i jej okolice — lecz Falk nie był pewien jak dalece. Wydawało się, że z pewnością do Es Toch, a być może jeszcze dalej. Lecz co leżało za Es Toch? Falk sam nie miał pojęcia wyjąwszy to, że ostatecznie można było dojść do Zachodniego Oceanu i przemierzywszy go do Wielkiego Kontynentu, a w końcu zatoczywszy koło dotrzeć znowu do Wschodniego Oceanu i Lasu. Ludzie wiedzieli, że świat jest okrągły, ale nie ostała się żadna mapa. Falk miał wrażenie, że starzec mógłby narysować mapę, lecz on sam miał nikłe wyobrażenie o tym, gdzie się teraz znajduje, jego gospodarz bowiem nigdy nie mówił o niczym, co robił lub co widział gdziekolwiek indziej poza tą maleńką polanką na brzegu rzeki.

— Uważaj na kury, tam w dole rzeki — ni stąd, ni zowąd odezwał się starzec podczas śniadania, które jedli wczesnym porankiem przed odejściem Falka. — Niektóre z nich umieją mówić. Inne słuchać. Jak my, co? Ja mówię, a ty słuchasz. Ponieważ, oczywiście, ja jestem Słuchaczem, a ty Wysłannikiem. Przeklęta niech będzie logika. Pamiętaj o kurach i nie ufaj tym, które śpiewają. Kogutów nie musisz się obawiać, za bardzo zajęte są pianiem. Idź sam. To ci nie zaszkodzi. Przekaż ode mnie wyrazy szacunku wszystkim Księciom i Wędrowcom, jakich spotkasz, szczególnie Henstrelli. Przy okazji przyszło mi do głowy, że dość; już się nagimnastykowałeś w czasie swej wędrówki i może chciałbyś wziąć mój śmigacz. Zupełnie o nim zapomniałem. Nie będę go potrzebował, bo nigdzie się już nie wybieram; wyjąwszy podróż na tamten świat. Mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto mnie pogrzebie, kiedy umrę, albo przynajmniej wywlecze mnie na zewnątrz ku uciesze szczurów i mrówek. Nie podoba mi się, że mógłbym się tutaj rozkładać, po tych wszystkich latach, kiedy utrzymywałem to miejsce w czystości. Oczywiście nie możesz używać śmigacza w lesie, nie ma również szlaków godnych tej nazwy, ale jeśli zdecydujesz się podążać rzeką, będziesz miał miłą podróż. Tak samo po drugiej stronie Wewnętrznej Rzeki, którą niełatwo przebyć po odwilżach, chyba że jesteś zębaczem. Jeśli chcesz go wziąć, znajdziesz go w przybudówce. Mnie nie jest potrzebny.

Mieszkańcy Domu Kathol, osady leżącej najbliżej Domu Zove, byli Thurro-dowistami. Falk wiedział, że jedną z ich naczelnych zasad było dawać sobie radę tak długo, jak to możliwe w granicach zdrowego rozsądku i bezpieczeństwa, bez pomocy mechanicznych urządzeń i narzędzi. To, że ten starzec, żyjący w o wiele prymitywniejszych warunkach niż oni, hodujący drób i jarzyny, bo nie miał nawet strzelby, aby polować, może posiadać coś z owej fantastycznej technologii, której cząstką był śmigacz, sprawiło, że w Falku po raz pierwszy zakiełkował cień podejrzenia.

Słuchacz cmoknął wysysając resztki jedzenia z zębów i zachichotał.

— Nie miałeś żadnego powodu, żeby mi zaufać, obcy młodzieniaszku — powiedział. — Ani ja tobie. Ostatecznie coś niecoś może się ukryć nawet przed największym Słuchaczem. Niektóre sprawy mogą się ukryć nawet przed własnym umysłem, tak że człowiek nie może uchwycić ich w dłonie myśli, czyż nie? Bierz śmigacz. Czas mego podróżowania minął. Unosi tylko jedną osobę, ale ty wyruszysz sam. Sądzę, że masz przed sobą długą podróż, dłuższą niż kiedykolwiek mógłbyś odbyć pieszo. Lub ścigaczem, jeśli już o to chodzi.

Falk nie pytał, co miał na myśli, lecz starzec sam odpowiedział:

— Może będziesz musiał wrócić do domu — rzekł. Rozstając się z nim w mroźnym, mglistym brzasku pod skutymi lodem sosnami, w żalu rozstania i z wdzięczności Falk wyciągnął da niego rękę jak do Pana Domu; tak właśnie o tym pomyślał, lecz gdy to już zrobił, powiedział:

— *Tiokioi…*

— Jak mnie nazwałeś, Wysłanniku?

— To znaczy… to znaczy *ojciec,* tak sądzę… — Słowo wymknęło mu się z ust w jakiś dziwaczny, nieświadomy sposób. Nie był pewien jego znaczenia i nie miał pojęcia co to za język.

— Żegnaj, biedny ufny głupcze! Będziesz mówił prawdę i prawda cię uwolni. Lub nie, to zależy od okoliczności. Idź wciąż samiuteńki, to najlepszy sposób, żeby dojść do celu: Będzie mi brak twoich snów. Żegnaj, żegnaj. Ryba i goście zaczynają cuchnąć po trzech dniach. Żegnaj!

Falk uklęknął na śmigaczu, wytwornej małej maszynie, czarnej paristoli wyłożonej trójwymiarową arabeską z platynowego drutu. Ornamenty niemal zakrywały układ sterowniczy, lecz używał już śmigacza w Domu Zove, więc po minucie uważnego przyglądania się kontrolnym łukom dotknął lewego, przesuwając po nim palec, dopóki śmigacz nie uniósł się bezszelestnie na dwie stopy, a potem używając prawego łuku posłał łagodnym ślizgiem małą maszynę ponad ogródkiem i brzegiem rzeki, aż zawisła poniżej chaty nad zbrylonym lodem wstecznego prądu. Odwrócił się, aby zawołać na pożegnanie, ale starzec wrócił już do chaty i zamknął drzwi. I gdy Falk skierował swój bezgłośny pojazd w dół szerokiej, ciemnej alei rzeki, niezmierzona cisza znowu zamknęła się wokół niego.

Lodowata mgła gromadziła się na szerokich zakrętach rzeki, przed nim i za nim, i wzdymała się wśród drzew po obu brzegach. Ziemia, drzewa i niebo były szare od lodu i mgły. I tylko woda, płynąca niewiele wolniej niż on nad nią szybował, była ciemna. Kiedy wraz z nastającym dniem zaczął padać śnieg, jego płatki zdawały się ciemne

na tle nieba, białe zaś na tle wody, zanim zniknęły opadając i niknąc w nieskończonym nurcie.

Ten sposób podróżowania był dwa razy szybszy od marszu, bezpieczniejszy i łatwiejszy — tak naprawdę zbyt łatwy, monotonny i usypiający. Falk był zadowolony, kiedy musiał wylądować na brzegu, aby zapolować lub rozbić obóz. Wodne ptactwo niemal wpadało mu w ręce, a zwierzęta schodzące na brzeg do wodopoju przypatrywały mu się, jak gdyby na swym śmigaczu był przelatującym żurawiem albo czaplą, i wystawiały swe bezbronne boki i piersi na jego strzały. Więc nie pozostawało mu nic innego, jak tylko obedrzeć je ze skóry, sprawić, upiec, zjeść, a potem zbudować sobie niewielki szałas z gałęzi lub kory, z dachem z odwróconego śmigacza, chroniący w nocy przed deszczem i śniegiem; spał, o świcie jadł zimny posiłek pozostały z wieczora, gasił pragnienie łykiem wody z rzeki i ruszał dalej. I dalej.

Zabawiał się śmigaczem, aby jakoś wypełnić nudne godziny: podrywał go na piętnaście stóp w górę, gdzie wiatr i prądy powietrza destabilizowały poduszkę powietrzną i mogły wywrócić śmigacz, o ile natychmiast nie zareagował wyrównując lot sterem lub balansem ciała, albo ciskał go w wodę, w dziki zgiełk piany i wodnego pyłu, tak że podskakiwał, odbijał się i rozbryzgiwał wodę po całej rzece, brykając jak źrebak. Kilka upadków nie odstraszyło Falka od tej zabawy. Śmigacz zaprogramowany był na unoszenie się na wysokości stopy w razie utraty kontroli, więc wszystko, co musiał zrobić, to wdrapać się nań, skierować do brzegu i rozpalić ogień, jeśli zmarzł, a jeśli nie, po prostu ruszyć dalej. Jego ubranie było wodoszczelne, w związku z tym rzeka moczyła go niewiele bardziej niż deszcz. Jego zimowy ubiór chronił przed zimnem, jednak nigdy nie było mu naprawdę ciepło. Maleńkie obozowe ogniska służyły mu tylko do gotowania. Prawdopodobnie w całym Wschodnim Lesie nie było wystarczającej ilości suchego drewna dla rozpalenia prawdziwego ogniska. Nie po tylu dniach deszczu, mokrego śniegu, mgły i znowu deszczu.

Stał się biegły w odbijaniu śmigaczem w dół rzeki w seriach długich, głośnych, rybich skoków, ukośnych odbić kończących się trzaskiem i bryzgami wodnego pyłu. Hałaśliwość tej zabawy sprawiała mu niekiedy przyjemność, przerywała bowiem cichą monotonię ślizgu ponad rzeką, płynącą niezmiennie pośród drzew i wzgórz. Zabawiał się właśnie w ten sposób na zakręcie rzeki, regulując przechył swych skrętów delikatnymi, szybkimi dotknięciami łuków kontrolnych, kiedy nagle zahamował zatrzymując się bezgłośnie w powietrzu. Daleko przed nim, w dole lśniącej stalowo rzeki płynęła ku niemu łódź.

Nic nie przesłaniało widoku ani w jedną, ani w drugą stronę; nie było możliwości, aby niepostrzeżenie wślizgnąć się za zasłonę drzew. Falk położył się płasko na śmigaczu, z laserem w ręce, i sterował w dół

ku prawemu brzegowi rzeki unosząc się na wysokości dziesięciu stóp, tak aby mieć przewagę wysokości nad ludźmi w łodzi.

Płynęli bez trudu, halsując na jednym niewielkim trójkątnym żaglu. Gdy się zbliżyli, do jego uszu doszedł zwiewany wiejącym w dół rzeki wiatrem nikły odgłos śpiewanej przez nich pieśni.

Zbliżali się coraz bardziej, nie zwracając na niego uwagi, wciąż śpiewając.

Tak daleko, jak tylko sięgał swą krótką pamięcią, muzyka zarazem pociągała go i przerażała, napełniała czymś w rodzaju bolesnej rozkoszy, przyjemnością, której drugą stroną była męka. Słysząc śpiewających ludzi jeszcze głębiej odczuł, że nie jest człowiekiem, że ta gra tonacji, rytmu i brzmienia jest mu obca; nie jak coś, czego zapomniał, lecz jak coś, co jest zupełnie nowe, jak coś, co nigdy nie było cząstką jego istoty. Lecz przez tę obcość śpiew pociągał go i nie zdając sobie z tego sprawy wyhamował śmigacz, aby posłuchać. Cztery czy pięć głosów śpiewało współbrzmiąc, dzieląc się i przeplatając w tak niezwykłej harmonii, jakiej nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się słyszeć. Nie rozumiał słów. Cały las, mile szarej wody i szarego nieba zdawały się wraz z nim słuchać w wytężonej, nie pojmującej ciszy.

Pieśń zamarła, dostrajając się i więdnąc w cichym rozgwarze śmiechu i rozmowy. Śmigacz i łódź znajdowały się teraz niemal naprzeciwko, odległe od siebie o niewiele ponad sto kroków. Wysoki, szczupły mężczyzna, który siedział wyprostowany przy sterze, zawołał coś czystym głosem, niosącym się wyraźnie ponad wodą. Również i tym razem Falk nie uchwycił znaczenia żadnego słowa. W szarym zimowym świetle włosy mężczyzny i czterech czy pięciu pozostałych pasażerów łodzi błyszczały ciemnym złotem, jak gdyby byli blisko spokrewnieni lub pochodzili z tego samego rodu. Nie mógł wyraźnie dostrzec twarzy; widział tylko czerwonozłote włosy i szczupłe postacie pochylające się do przodu, śmiejące się i kiwające na niego. Na moment jedną z tych twarzy ujrzał wyraźnie — była to twarz kobiety przypatrującej mu się uważnie poprzez wiatr i płynącą wodę. Wyhamował śmigacz zupełnie, aż zawisł nieruchomo nad wodą; łódź zdawała się również pozostawać bez ruchu na rzece.

— Chodź do nas — zawołał znowu mężczyzna i tym razem, rozpoznając język, Falk zrozumiał go. Był to stary język Ligi, lingal. Jak wszyscy Leśni Ludzie Falk nauczył się go z nagrań i książek, gdyż dokumenty, które pozostały ze Złotego Wieku, były sporządzone właśnie w nim, służyły poza tym jako wspólna mowa dla ludzi posługujących się różnymi językami. Dialekt Lasu wywodził się z lingalu, lecz przez tysiąc lat tak się zmienił, że obecnie nawet poszczególne Domy miały swe odrębne narzecza. Kiedyś przybyli do Domu Zove podróżnicy z wybrzeża Wschodniego Oceanu mówiący

dialektem tak różnym, że jak stwierdzili, łatwiej było im rozmawiać z gospodarzami w lingalu, i tylko wówczas Falk słyszał go używany jako żywy język; poza tym był on tylko głosem elektronicznych książek i mruczącym mu do ucha w ciemności zimowego poranka szeptem hipnografu. Więc jak z prastarego snu zabrzmiał teraz czysty głos sternika.

— Chodź z nami, płyniemy do miasta.

— Do jakiego miasta?

— Naszego własnego — odkrzyknął mężczyzna i roześmiał się.

— Miasta, które rade jest podróżnikom — zawołał drugi, a inny dodał nieco ciszej tenorem, który tak słodko dźwięczał w ich pieśni:

— Tych, którzy nie mają zamiaru nikogo krzywdzić, od nas również nie spotka krzywda.

A kobieta, głosem, w którym zdawał się dźwięczeć śmiech, zawołała:

— Wyjdź z puszczy, podróżniku, i posłuchaj przed nocą naszej muzyki.

Nazywali go słowem, które oznaczało podróżnika lub posłańca.

— Kim jesteście? — zapytał.

Wiatr wiał, a woda płynęła. Łódka na wodzie i łódka w powietrzu unosiły się bez ruchu w prądach powietrza i wody, razem i osobno, jak gdyby związane czarem.

— Jesteśmy ludźmi.

Wraz z odpowiedzią czar prysnął, zdmuchnięty jak słodki dźwięk czy zapach wiejącym od wschodu wiatrem. Falkowi zdawało się, że znowu czuje okaleczonego ptaka szarpiącego się w jego rękach i wykrzykującego ludzkie słowa swym przeszywającym nieludzkim głosem: tak jak i wówczas wstrząsnął nim dreszcz i bez wahania, bez udziału świadomości wystrzelił śmigaczem na pełnej prędkości w dół rzeki.

Żaden dźwięk nie dobiegł z łodzi, chociaż teraz wiatr wiał od nich ku niemu, i po kilku chwilach, kiedy zaczęły ogarniać go wątpliwości, przyhamował i obejrzał się za siebie. Aż po odległy zakręt rzeki nic nie było widać na szerokiej, ciemnej powierzchni wody.

Po tym spotkaniu Falk nie bawił się już śmigaczem. Ruszył przed siebie tak szybko i cicho, jak to tylko było możliwe — nie rozpalił ogniska tej nocy i spał niespokojnie. Jednak coś z czaru pozostało. Słodkie głosy mówiły o mieście w starożytnym języku — *elonaae* — i podążając z biegiem rzeki, sam pomiędzy wodą, niebem i puszczą, wyszeptał głośno to słowo. Elonaae, Miejsce Ludzi: niezliczone mnóstwo ludzi zebranych razem, nie jeden dom, lecz tysiące domów, wielkie budynki mieszkalne, wieże, ściany, okna, ulice i place, gdzie zbiegają się ulice, domy handlowe opisane w książkach, gdzie gromadzono i sprzedawano wszystkie wspaniałe wytwory ludzkich

rąk, pałace rządu, gdzie możni tego świata spotykali się, aby mówić o swych wielkich dziełach, pola, z których startowały statki, aby mknąć poprzez czas ku obcym słońcom; czyż Ziemia naprawdę zrodziła kiedyś tak cudowne miejsca jak Siedziby Ludzi?

Teraz nie ma już żadnego. Pozostało tylko Es Toch, Miejsce Kłamstwa. Nie było miasta we Wschodnim Lesie. Żadnych wież z kamienia, stali i kryształu zatłoczonych duszami unoszącymi się znad moczarów i olchowych gajów, króliczych nor i jelenich ścieżek, zagubionych dróg i strzaskanych, pogrzebanych w ziemi kamieni.

Jednak wizja miasta pozostała w Falku, niemal jak przyćmiona pamięć czegoś, co niegdyś znał. Tym właśnie oceniał siłę przynęty — złudzeniem, z którego na razie bezpiecznie się wykaraskał — i zastanawiał się, ile jeszcze czeka go takich oszustw i przynęt, gdy będzie posuwał się dalej na zachód, w kierunku ich źródła.

Wciąż pozostawiał dni i rzekę za sobą, unosząc się wraz z nimi, aż któregoś cichego, szarego popołudnia świat powoli zaczął rozszerzać się we wzbudzającą grozę przestrzeń, rozległą równinę mętnej wody pod niezmierzoną płaszczyzną nieba: ujście Leśnej Rzeki do Wewnętrznej Rzeki. Nic dziwnego, że wieści o Wewnętrznej Rzece docierały nawet do Wschodnich Domów, odległych od niej o setki mil zapomnienia i niewiedzy: była tak ogromna, że nawet Shinga nie mogli jej ukryć. Rozległa i lśniąca pustka żółtoszarej wody rozciągała się od ostatnich skupisk drzew i wysepek zalanego Lasu na zachód ku odległemu, pagórkowatemu brzegowi. Dobił do zachodniego brzegu i znalazł się po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią, poza Lasem.

Na północ, zachód i południe rozciągała się falista kraina porośnięta licznymi kępami drzew i zbitym gąszczem zarośli w dolinach, lecz niczym nie przesłonięta na szerokich przestrzeniach równin. Falk, ulegając własnemu nieświadomemu złudzeniu, wytężył wzrok, aby dostrzec góry. Mieszkańcy Lasu sądzili, że ten równinny kraj, Preria, ciągnie się na przestrzeni być może i tysiąca mil, jednak nikt w Domu Zove nie wiedział tego z całą pewnością.

Nie dojrzał gór, lecz tej nocy widział skraj świata, tam gdzie przecinał gwiezdny pył nieba. Nigdy dotychczas nie widział horyzontu. Cała jego pamięć otoczona była ścianą liści i gałęzi. Lecz tutaj nic nie odgradzało go od gwiazd, które płynęły wznosząc się od skraju Ziemi ku górze ogromnej kopuły — półkuli zbudowanej z czerni zdobnej we wzory ułożone z ognistych punktów. A pod nim koło zamykało się; godzina po godzinie pochylający się horyzont odsłaniał ogniste wzory leżące na wschodzie, pod Ziemią. Czuwał przez połowę długiej, zimowej nocy i nie spał już, kiedy opadający wschodni skraj świata przeciął tarczę słońca i światło dochodzące z dalekiej przestrzeni zalało równiny.

Tego dnia podążył wprost za zachód kierując się wskazaniami

kompasu; tak samo przez kolejny i jeszcze jeden dzień. Teraz, kiedy jego droga nie była wyznaczona krętym biegiem rzeki, poruszał się prosto i szybko. Jazda śmigaczem nie była już tak nudna jak nad wodą; nad nierównym gruntem maszyna podskakiwała i przechylała się na każdym wzniesieniu i obniżeniu terenu, jeśli bez przerwy uważnie nie kontrolował układu sterującego. Podobały mu się te rozległe przestrzenie otwartego nieba i prerii i zrozumiał, że samotność może być przyjemnością, kiedy jest się samotnym w tak ogromnej dziedzinie. Pogoda była łagodna; spokojny, rozsłoneczniony okres późnej zimy. Wspominając Las czuł j się, jak gdyby wyszedł z dusznej, tajemniczej ciemności w światło i przestrzeń, jak gdyby prerie były jedną olbrzymią Polaną. Dzikie czerwonoskóre bydło, w stadach liczących dziesiątki tysięcy sztuk, ciemniało na dalekich równinach jak cienie chmur. Ziemia była wszędzie ciemna, tylko gdzieniegdzie pokryta mgiełką delikatnej zieleni, tam gdzie wyrastały pierwsze źdźbła najwcześniejszych, dwuliściennych traw, a pod i nad ziemią ryły i biegały niezliczone rzesze małych stworzeń: króliki, borsuki, myszy, zdziczałe koty, krety, pasiastookie arkturie, antylopy, żółte szczekacze — pieszczochy i szkodniki dawno upadłej cywilizacji. Ogromna przestrzeń nieba wypełniona była furkotem skrzydeł. O zmierzchu nad brzegami rzek zapadały stada białych czapli o długich nogach i długich rozpostartych skrzydłach odbijających się w lustrze wody rozlanej pomiędzy bezlistnymi topolami i trzcinami.

Dlaczego ludzie nie podróżują już, żeby oglądać swój świat — zastanawiał się Falk siedząc przy obozowym ognisku, które płonęło jak maleńki opal pod rozległym, błękitnym sklepieniem okrywającego prerię zmierzchu. Dlaczego tacy ludzie jak Zove i Metock kryją się w lasach i nigdy ich nie opuszczają, by ujrzeć niezmierzony przepych Ziemi? Wiedział teraz coś, czego oni, którzy przecież wszystkiego go nauczyli, nie wiedzieli: że człowiek może zobaczyć swoją planetę obracającą się wśród gwiazd…

Następnego dnia wyruszył dalej pod niskim niebem, prowadząc śmigacz wśród podmuchów zimnego północnego wiatru ze świeżo nabytą zręcznością. Stado dzikiego bydła pokrywało równinę na południe od jego kursu; każda sztuka z wielotysięcznego stada stała odwrócona do wiatru; białe pyski opuszczone przy kudłatych, czerwonych barkach. Pomiędzy nim a pierwszymi szeregami stada na przestrzeni mili długa szara trawa pochylała się na wietrze, a szary ptak leciał ku niemu szybując na nieruchomych skrzydłach. Obserwował go, zaciekawiony jego prostym, szybującym lotem — nie całkiem prostym, gdyż zakręcił, nie uderzywszy skrzydłami, kładąc się na jego kursie. Nadlatywał bardzo szybko, wprost ku niemu. Nagle przestraszył się i machnął ręką, aby spłoszyć stworzenie, a potem rzucił się płasko na śmigacz i gwałtownie skręcił — zbyt późno. W

ułamku chwili, zanim ptak uderzył, zobaczył ślepą, bezkształtną głowę i błysk stali. Potem uderzenie, wrzask eksplodującego metalu, przyprawiający o mdłości spowolniony upadek. I spadanie bez końca.

IV

— Stara kobieta Kessnokaty'ego mówi, że zbiera się na śnieg — zaszemrał przy nim głos jego przyjaciółki. — Powinniśmy być gotowi do ucieczki, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Falk nie odpowiedział, siedział po prostu, łowiąc wyostrzonym słuchem obozowy zgiełk; głosy mówiące obcym językiem, stłumione przez odległość; gdzieś blisko szorstki odgłos skrobania wyprawianej skóry; cienki wrzask dziecka; trzask płonącego w namiocie ogniska.

— Horressins! — ktoś z zewnątrz zawołał na niego, a on wstał natychmiast i stał bez ruchu. Po chwili ręka jego przyjaciółki ujęła jego ramię i poprowadziła go tam, gdzie go oczekiwano: do wspólnego ogniska pośrodku kręgu namiotów; świętowano właśnie udane polowanie i pieczono całego byka. Ktoś wetknął mu w ręce wołową goleń. Usiadł na ziemi i zaczął jeść. Sok i stopiony tłuszcz ściekały mu po brodzie, lecz nie starł ich. Byłoby to poniżej godności Łowcy Mzurra Narodu Basnasska. Mimo to, że obcy, pojmany i ślepy, jednak był łowcą i nauczył się zachowywać godnie.

Im społeczność bardziej zamknięta, tym bardziej konformistyczna. Ludzie, wśród których się znalazł, kroczyli bardzo wąską, krętą i ściśle wytyczoną Drogą przez szerokie, wolne równiny. Dopóki był z nimi, dopóty musiał dokładnie trzymać się wszystkich zakrętów ich dróg. Dieta Narodu Basnasska składała się ze świeżej, na wpół upieczonej wołowiny, surowych dzikich cebul i krwi. Dzicy pasterze dzikiego bydła niczym wilki wybierali okaleczone, pozostające z tyłu, słabe sztuki z nieprzeliczonych stad — trwająca całe życie, bez chwili wytchnienia, krwawa uczta. Polowali używając ręcznych laserów i strzegli swego terytorium za pomocą mechanicznych ptaków, takich jak ten, który zniszczył śmigacz Falka; maleńkich burzących pocisków, zaprogramowanych na uderzenie w jakiekolwiek urządzenie czerpiące energię z syntezy termojądrowej. Sami nie wytwarzali ani nie naprawiali broni, używali jej zaś wyłącznie po rytualnym oczyszczeniu i rzuceniu zaklęć; gdzie ją uzyskiwali, tego Falk nie dowiedział się, choć doszły do niego wzmianki o dorocznych pielgrzymkach, które mogły mieć związek z bronią. Nie znali rolnictwa i nie trzymali żadnych zwierząt domowych; byli niepiśmienni i nic nie wiedzieli — oprócz może kilku mitów i bohaterskich legend — o historii rodzaju ludzkiego. Poinformowali Falka, że nie mógł przybyć z Lasu, ponieważ Las zamieszkują tylko gigantyczne białe węże. Praktykowali monoteistyczną religię, w której rytuały wplecione były okaleczenia, kastracja i ofiary z ludzi.

To właśnie jeden z przesądów ich skomplikowanej wiary spowodował, że pozostawili Falka przy życiu i uczynili członkiem

plemienia. Normalnie, ponieważ nosił laser, a zatem nie można byłoby uczynić z niego niewolnika, wycięliby mu żołądek i wątrobę, aby zbadali je wróżbici, a potem, gdyby im się tak spodobało, pozwoliliby posiekać go kobietom. Jednak na tydzień czy dwa przed jego pojmaniem zmarł stary mężczyzna ze społeczności Mzurra. Jako że w plemieniu nie było bezimiennego noworodka mogącego otrzymać jego imię, nadano je pojmanemu, który chociaż ślepy, zeszpecony i tylko chwilami przytomny, przecież był lepszy niż nikt; gdyż tak długo jak Stary Horressins zatrzymywał przy sobie swoje imię, jego duch, zły jak wszystkie duchy, mógłby powracać, aby zakłócać spokój żywym. Więc odebrano imię duchowi i nadano Falkowi, wraz z całym obrzędem wtajemniczenia Łowcy, na który składały się chłosta, podanie środków wymiotnych, tańce, opowiadanie snów, tatuowanie, bezładne śpiewy, uczta, kopulowanie wszystkich po kolei mężczyzn z jedną kobietą i w końcu całonocne zaklęcia do Boga, aby miał w opiece nowego Horressinsa. Po tym wszystkim rzucili go na końską skórę w namiocie z bydlęcej skóry i pozostawili samego, pogrążonego w majakach, aby umarł lub powrócił do życia, podczas gdy duch Starego Horressinsa, bezimienny i bezsilny, porwany wiatrem jęcząc przepadał gdzieś wśród równin.

Kobieta, którą zobaczył po raz pierwszy, kiedy odzyskał przytomność, zajętą bandażowaniem jego oczu i opatrywaniem ran, przychodziła, gdy tylko mogła, aby się nim opiekować. Widział ją jedynie wówczas, kiedy w krótkich chwilach niepewnego odosobnienia w jego namiocie mógł unieść bandaże, w które z właściwą sobie bystrością umysłu zaopatrzyła go, gdy został przyniesiony do obozu. Gdyby Basnasska zobaczyli te oczy nie przesłonięte powiekami, odcięliby mu język, aby nie mógł wymówić swego imienia, a potem spaliliby go żywcem. Powiedziała mu to, i wiele innych rzeczy, które powinien wiedzieć o Narodzie Basnasska, lecz niewiele o sobie. Jasne było, że należała do plemienia niewiele dłużej niż on sam. Przypuszczał, że zgubiła się na prerii i wolała dołączyć do plemienia, niż umrzeć z głodu. Nie mieli nic przeciwko jeszcze jednej niewolnicy, którą mogli wykorzystywać wszyscy mężczyźni, a poza tym wykazała się zręcznością w leczeniu, więc pozostawili ją przy życiu. Miała rudawe włosy, niezwykle cichy głos i nazywała się Estrel. Poza tym nie wiedział o niej nic, a ona z kolei nie wypytywała o nic, co go dotyczyło, nawet o jego imię.

Zważywszy wszystko, wyszedł z tego niemal bez szwanku. Paristole, Szlachetny Materiał prastarej cetiańskiej nauki, nie mógł eksplodować ani zapalić się, tak że śmigacz nie wybuchnął pod nim, chociaż układ sterujący został zniszczony. Cienki odłamek wybuchającego pocisku zranił go w lewą stronę i wierzch głowy, ale na szczęście znalazła się Estrel ze swoją wiedzą i paroma bandażami.

Nie wywiązała się żadna infekcja, więc szybko wracał do zdrowia i w kilka dni po swoim krwawym chrzcie na Horressinsa wspólnie z nią zaplanował ucieczkę.

Lecz dni mijały, a sposobność nie nadarzała się. Bo też była to zamknięta społeczność: ostrożni, zazdrośni ludzie, czyniący wszystko w ściśle określonych ramach, wyznaczonych przez obrządki, zwyczaje i tabu. Chociaż każdy Łowca posiadał swój namiot, kobiety były wspólne i wszystko, co czynili, czynili wspólnie z innymi; byli w mniejszym stopniu społeczeństwem niż stowarzyszenie czy stado — współzależni od siebie członkowie jednej grupy. W tej sytuacji dążenie do zdobycia zaufania innej osoby, niezależność i chęć odosobnienia były oczywiście podejrzane; Falk i Estrel zmuszeni byli wykorzystywać każdą sposobność, aby móc porozmawiać przez chwilę sam na sam. Dziewczyna nie znała leśnego dialektu, lecz mogli porozumiewać się w lingalu, którego Basnasska używali w szczątkowej formie.

— Czas spróbować — powiedziała kiedyś. — Może podczas burzy śnieżnej, kiedy śnieg ukryje nas i nasze ślady. Lecz jak daleko zajdziemy w zamieci? Masz kompas, ale zimno…

Zimowe rzeczy Falka zostały skonfiskowane wraz ze wszystkim, co posiadał; zabrali nawet złotą obrączkę, której nigdy nie zdejmował. Pozostawili mu laser: był jego integralną częścią jako Łowcy i nie można mu było go zabrać. Lecz jego rzeczy, które nosił tak długo, okrywały teraz wystające żebra i kościste nogi Starego Łowcy Kessnokaty'ego. Kompas pozostał przy nim tylko dlatego, że Estrel zabrała go i ukryła, zanim przeszukali jego plecak. Oboje nosili ubiór Narodu Basnasska: bluzy i leginy z koźlej skóry oraz buty i parki z czerwonej wolej skóry; lecz nic nie stanowiło wystarczającego zabezpieczenia przed jedną z tych niesionych ostrym, zimnym wiatrem preriowych zamieci, oprócz ścian, dachu i ognia.

— Jeśli zdołamy przedostać się na terytorium Samsity, kilka mil stąd na zachód, możemy zejść do Starego Miejsca, wiem gdzie, i ukryć się tam, dopóki nie przestaną nas szukać. Zamierzałam tak zrobić, zanim przybyłeś. Ale nie miałam kompasu i bałam się zgubić w zamieci. Z kompasem i miotaczem może nam się udać… Albo nie.

— Jeśli to nasza jedyna szansa — powiedział Falk skorzystamy z niej.

Nie był już tak bardzo porywczy, naiwny i pełen nadziei jak przed pojmaniem. Był bardziej stanowczy i nieufny. Chociaż ucierpiał z ich rąk, nie czuł specjalnego żalu do członków Narodu Basnasska; napiętnowali go raz na zawsze tatuując z góry na dół obie jego ręce błękitnymi krechami oznaczającymi pokrewieństwo, znacząc go tym samym jako barbarzyńcę, ale i jako człowieka. W porządku. Lecz oni mieli swoje sprawy, a on swoją. Chciał się uwolnić, ruszyć dalej w podróż i czynić to, co Zove nazwał *człowieczym dziełem* — popychała

go do tego wola, rozbudzona w Leśnym Domu. Ci ludzie przybyli znikąd i zdążali donikąd, gdyż odcięli korzenie łączące ich z przeszłością ludzi. To nie tylko skrajna niepewność egzystencji wśród Narodu Basnasska skłaniała go do jak najszybszego wydostania się z niewoli; to było również uczucie nieustannego braku tchu, skrępowania i unieruchomienia, trudniejsze do zniesienia niż bandaże przesłaniające oczy.

Tego wieczoru Estrel zatrzymała się przy jego namiocie, aby powiedzieć mu, że zaczął padać śnieg, i właśnie kiedy szeptem układali plan ucieczki, przy wejściowej klapie odezwał się jakiś głos. Estrel przetłumaczyła spokojnie: on mówi: Ślepy Łowco, czy chcesz na tę noc Czerwoną Kobietę? Nie dodała żadnego wyjaśnienia. Falk znał prawo i ceremoniał dzielenia się kobietami; zajęty myślami o sprawach, jakie omawiali, odpowiedział najczęściej używanym słowem z krótkiej listy znanych mu wyrażeń języka Basnasska: — „Mieg”! — nie.

Męski głos powiedział coś jeszcze naglącym tonem.

— Jeśli będzie padało, jutrzejszej nocy, może — wyszeptała Estrel w lingalu. Wciąż zastanawiając się, Falk nie odpowiedział. Potem uświadomił sobie, że podniosła się i odeszła, pozostawiając go samego w namiocie. I dopiero po chwili zrozumiał, że to ona była Czerwoną Kobietą i że mężczyzna zabrał ją, aby z nią kopulować.

Mógł po prostu powiedzieć „tak” zamiast „nie” i kiedy pomyślał o tym, jak zręcznie i delikatnie się nim zajmowała, o jej łagodnym dotyku i głosie oraz o upartym milczeniu, pod którym skrywała swą dumę lub wstyd, aż skrzywił się, że nie uczynił nic, aby ją oszczędzić, i poczuł się upokorzony jako jej towarzysz… i jako mężczyzna.

— Wyruszymy dziś w nocy — powiedział do niej następnego dnia wśród wirujących płatków śniegu przy Namiocie Kobiet. — Przyjdź do mojego namiotu. Ale dopiero późno w nocy.

— Kokteky powiedział, żebym przyszła do niego dziś w nocy.

— Czy nie mogłabyś się wymknąć?

— Może.

— Który namiot jest Kokteky’ego?

— Na lewo za Wspólnym Namiotem Mzurra. Ma łatę nad wejściem.

— Jeśli nie przyjdziesz, ja przyjdę po ciebie.

— Może kiedy indziej będzie mniej niebezpiecznie…

— I mniej śniegu. Zima się kończy; to może być ostatnia wielka burza. Wyruszymy tej nocy.

— Przyjdę do twojego namiotu — powiedziała ze swą zwykłą, zgodną uległością.

Pozostawił maleńką szczelinę w bandażach, przez którą mógł widzieć, choć niewyraźnie, i teraz chciał się jej przyjrzeć, lecz w

świetle zmierzchu zobaczył tylko szary cień pogrążony w szarości.

Przyszła w najgłębszej ciemności tej nocy, tak cicha jak płatki śniegu ciskane wiatrem o namiot. Wszystko mieli przygotowane. Żadne z nich nie odezwało się słowem. Falk zapiął płaszcz z wolej skóry, naciągnął i zawiązał kaptur i pochylił się, aby odsunąć płachtę wejścia. Uskoczył w bok, kiedy jakiś mężczyzna, zgięty wpół, aby zmieścić się w niskim otworze, wcisnął się do środka. Był to Kokteky — krzepki Łowca z ogoloną głową, zazdrosny o swoją pozycję i męskość.

— Horressins! Czerwona Kobieta… — zaczął, a potem dostrzegł ją w cieniach za żarzącymi się węglami paleniska W tej samej chwili zobaczył, jak są ubrani, i pojął ich zamiar. Rzucił się w tył, aby zamknąć wejście lub umknąć przed atakiem Falka, otwierając usta do krzyku. Nie myśląc, odruchowo, szybko i pewnie Falk z bezpośredniej odległości wystrzelił z lasera i krótki błysk niosącego śmierć światła zatrzymał krzyk na ustach Basnasski, spalając w jednej chwili i absolutnej ciszy usta, mózg i życie.

Falk sięgnął przez palenisko, uchwycił rękę kobiety i przeprowadził ją ponad ciałem mężczyzny, którego zabił, w ciemność.

Drobny śnieg prószył i wirował na lekkim wietrze, nasycając ich oddechy zimnem. Estrel oddychała ze szlochem. Trzymając lewą ręką jej nadgarstek, a prawą miotacz, Falk ruszył na zachód wśród rozrzuconych namiotów, ledwo widocznych w szczelinach i pajęczynach przyćmionego różu wydobywającego się z nich światła. Po kilku chwilach i to zniknęło, i na świecie nie pozostało już nic oprócz nocy i śniegu.

Ręczne lasery ze Wschodniego Lasu w zależności od nastawienia spełniały kilka funkcji: rękojeść służyła jako zapalniczka, a tuba konwertora mogła generować niskoenergetyczne impulsy świetlne. Falk nastawił laser tak, aby wysyłał światło, przy którym mogli odczytać wskazania kompasu i widzieć na kilka stóp przed sobą. Szli dalej, prowadzeni przez światło śmiercionośnego narzędzia.

Na długim wzniesieniu, gdzie stał zimowy obóz Narodu Basnasska, wiatr niemal zmiótł śnieżną pokrywę, lecz kiedy tak wciąż szli dalej, kierując się jedynie wskazaniami kompasu, gdyż w chaosie burzy śnieżnej, która połączyła ziemię i powietrze w jeden wirujący rozgardiasz, nie byli w stanie obrać jakiejkolwiek drogi, znaleźli się w końcu na niżej położonym terenie. Drogę przegradzały tam cztero- i pięciostopowe zaspy, przez które Estrel przedzierała się dysząc ciężko, jak pływak pokonujący wzburzone morze. Falk wyciągnął nie wyprawiony rzemień ściągający jego kaptur, owinął go sobie wokół ręki i wręczył drugi koniec dziewczynie, tak że kiedy ruszył dalej, było jej łatwiej iść po jego śladach. Raz upadła i szarpnięcie linki niemal przewróciło go; zawrócił i musiał szukać jej przez chwilę w świetle

lasera, zanim zobaczył ją skuloną na jego śladach, niemal u jego stóp. Uklęknął i w bladej, wirującej cieniami śnieżnych płatków kuli światła zobaczył jej twarz — po raz pierwszy wyraźnie. Szeptała:

— To… więcej… niż mogę znieść…

— Odetchnij chwilę. To zagłębienie osłania nas przed wiatrem.

Razem skulili się w maleńkiej bańce światła, a wokół nich w promieniu setek mil ciskany wiatrem śnieg chłostał w ciemnościach równiny.

Wyszeptała coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiał:

— Dlaczego zabiłeś tego mężczyznę?

Odprężony i otępiały, zbierając resztki sił na następny etap ich powolnej, ciężkiej ucieczki, Falk nie odpowiedział. W końcu, krzywiąc się, wymruczał:

— Cóż innego…

— Nie wiem. Chyba musiałeś.

Jej twarz była blada i napięta; nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała. Była zbyt zmarznięta, aby wypocząć, więc dźwignął się pociągając ją za sobą.

— Chodź. Do rzeki nie może być daleko.

Ale było daleko. Estrel przyszła do jego namiotu kilka godzin po zapadnięciu ciemności — tak o tym myślał, w języku Lasu bowiem istniało słowo oznaczające godzinę, chociaż pojęcie to było nieprecyzyjne, gdyż ludzie nie prowadzący interesów i nie podróżujący wśród gwiazd i czasu nie używają zegarów — jednak daleko było jeszcze do końca zimowej nocy. Noc płynęła, a oni szli dalej.

Właśnie schodzili w dół zbocza przedzierając się przez zmarzniętą plątaninę trawy i krzaków, kiedy pierwsza szarość zaczęła nasycać wirującą czerń zamieci. Potężne, stękające cielsko wyrosło wprost przed Falkiem i zaraz pogrążyło się w śniegu. Gdzieś blisko słyszeli parskanie jeszcze jednej krowy lub byka i po minucie wielkie stworzenia były już wszędzie wokół nich; białe pyski i dzikie, łzawe oczy łyskające światłem brzasku; ruchome śnieżne pagórki, stłoczone boki i kudłate barki. Przeszli przez stado i zeszli na brzeg niewielkiej rzeki, która oddzielała terytorium Basnasska od terytorium Samsit. Była wartka, płytka i nie zamarznięta. Musieli przebyć ją w bród; prąd zbijał stopy, niepewne na ruchomych kamieniach, szarpał kolana, wznosił się lodowatą obręczą, kiedy zanurzeni po pas brnęli przez palące zimno. Nogi odmówiły Estrel posłuszeństwa, zanim osiągnęli drugi brzeg. Falk przeniósł ją przez wodę i zagony skutych lodem trzcin, a potem w krańcowym wyczerpaniu skulił się przy niej wśród pokrytych śniegiem krzewów pod wystającą skarpą zachodniego brzegu. Wyłączył światło miotacza. Nieśmiało, lecz nieustępliwie burzliwy dzień zwyciężał ciemność.

— Musimy iść dalej, musimy rozpalić ogień.

Nie odpowiedziała.

Trzymał ją przed sobą w ramionach. Ich parki od barków w dół, buty i leginy były już sztywne od lodu. Twarz dziewczyny spoczywająca na jego ramieniu była śmiertelnie blada.

Wymówił jej imię, chcąc wyrwać ją z odrętwienia.

— Estrel! Estrel, chodź. Nie możemy tu zostać. Pójdziemy tylko kawałek dalej. To nie takie trudne. Chodź, zbudź się, maleńka, moja gołąbko, zbudź się…

W straszliwym zmęczeniu mówił do niej tak, jak zwykł mawiać do Parth, o świcie, dawno temu.

Posłuchała go w końcu, podniosła się z trudem przy jego pomocy, chwytając linkę zmarzniętymi rękawicami, i krok po kroku podążyła za nim, przekraczając brzeg i niskie urwisko wśród niezmordowanego, bezlitosnego, ciskanego wiatrem śniegu.

Trzymali się rzeki idąc na południe, tak jak mu powiedziała, kiedy planowali ucieczkę. Tak naprawdę nie miał nadziei, że odnajdą cokolwiek w tej wirującej białości, jednostajnej tak samo, jak nocna burza. Lecz wkrótce trafili na strumień zasilający rzekę, którą przebyli, i ruszyli w górę jego biegu, idąc z trudem, gdyż grunt był nierówny. Wciąż brnęli dalej. Falkowi wydawało się, że najlepszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, byłoby położyć się i zasnąć; nie zrobił tego tylko dlatego, że przecież był ktoś, kto na niego liczył, ktoś daleko stąd, dawno temu, ktoś, kto wysłał go w tę podróż — nie mógł się położyć, bo był przed tym kimś odpowiedzialny…

Ochrypły szept dźwięczał mu w uchu: głos Estrel. Przed nimi kępa wysokich topoli majaczyła w śniegu jak przymierające głodem duchy, a Estrel szarpała go za ramię. Zaczęli krążyć tam i z powrotem po północnym brzegu przysypanego śniegiem potoku, tuż za topolami, szukając czegoś. — Kamień — powtórzyła — kamień. — I chociaż nie wiedział, na co potrzebny jej kamień, razem z nią grzebał i szukał w śniegu. Oboje pełzali na czworakach, kiedy w końcu trafiła na znak, którego szukała: pokryty śniegiem, wysoki na kilka stóp kamienny blok.

Zesztywniałymi rękawicami rozgarnęła zwały suchego śniegu po wschodniej stronie bloku. Falk pomagał jej nie odczuwając żadnej ciekawości, zobojętniały ze zmęczenia. Ich grzebanina odsłoniła metalowy prostokąt na dziwnie płaskim gruncie. Estrel usiłowała podnieść go. Trzasnęła ukryta klamka, lecz krawędzie prostokąta były spojone lodem. Falk stracił resztki sił próbując podnieść pokrywę, aż w końcu zorientował się, w czym rzecz, i wiązką ciepła z rękojeści miotacza rozpieczętował skuty mrozem metal. Potem unieśli zapadnię i zobaczyli — przedziwne w swej geometryczności pośród skowyczącej dziczy — czyste. strome stopnie prowadzące ku następnym,

zamkniętym j drzwiom.

— W porządku — wyszeptała dziewczyna. Spełzła po i schodach tyłem, jak po drabinie, gdyż nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Otwarła drzwi i spojrzała na Falka. — Chodź! — zawołała.

Zszedł na dół, zatrzaskując zapadnię, tak jak mu kazała. Nagle zapadła zupełna ciemność i Falk przywarłszy do stopni pospiesznie nacisnął przycisk lasera zapalając światło. Pod nim zajaśniała bielą twarz Estrel. Zszedł do niej i razem przeszli przez drzwi. Znaleźli się w ciemnym, obszernym pomieszczeniu, tak dużym, że światło z ledwością sięgało sufitu i najbliższych ścian. W głuchej ciszy powietrze stało nieruchome i tylko ich ruchy pociągały za sobą delikatne powietrzne prądy.

— Powinno być tu drewno. — Cichy, ochrypły od napięcia głos Estrel odezwał się gdzieś z jego lewej strony. — Jest. Musimy rozpalić ogień… Pomóż mi…

Suche drewno ułożone było w wysokie stosy w rogu, niedaleko wejścia. Podczas gdy on rozpalał ogień ułożywszy drewno wewnątrz kręgu osmalonych kamieni leżących w pobliżu środka pieczary, Estrel odpełzła gdzieś w ciemność i powróciła wlokąc parę grubych derek. Rozebrali się i wytarli do sucha, a potem zwalili na derki w śpiworach Basnasska, jak najbliżej ognia. Palił się, strzelając wysoko płomieniami jak w kominie, porywany silnym prądem powietrza, który zabierał również dym. Niemożliwe było, aby ogrzał cały ten wielki pokój czy jaskinię, lecz jego blask i bijące odeń ciepło odprężyło ich i napełniło otuchą. Estrel wydobyła suszone mięso ze swej torby i siedząc żuli je, chociaż bolały ich odmrożone wargi i choć byli zbyt zmęczeni, aby odczuwać głód. Stopniowo ciepło ognia zaczęło przenikać ich ciała.

— Kto jeszcze korzysta z tego miejsca?

— Sądzę, że wszyscy, którzy je znają.

— Kiedyś musiał stać tu ogromny Dom, jeśli to są jego piwnice — powiedział Falk spoglądając na drgające i gęstniejące cienie, które przechodziły w nieprzeniknioną ciemność tam, gdzie nie docierał blask ognia, i wspominając rozległe sutereny pod Domem Strachu.

— Mówią, że było tu kiedyś całe miasto. Te piwnice ciągną się daleko od drzwi, tak mówią. Nie wiem.

— Jak dowiedziałaś się o tym miejscu? Czy jesteś kobietą Narodu Samsit?

— Nie.

Nie wypytywał dalej, przypomniawszy sobie kanon postępowania, lecz niespodziewanie dziewczyna odezwała się w swój zwykły, uległy sposób.

— Jestem Wędrowcem. Znamy wiele takich miejsc, ukrytych miejsc… Sądzę, że słyszałeś o Wędrowcach?

— Trochę — odparł Falk wyciągając się na derce i spoglądając

przez płomienie na swą towarzyszkę. Rude włosy wiły się wokół jej twarzy, gdy siedziała opatulona w bezkształtny wór, a bladozielony jadeitowy amulet na jej szyi łyskał płomieniami ognia.

— Niewiele wiedzą o nas w Lesie.

— Żaden Wędrowiec nie dotarł tak daleko na wschód, do mojego Domu. To, co o nich tam opowiadano, bardziej pasuje do Basnasska, podobno są barbarzyńcami, łowcami, koczownikami — mówił sennie, ułożywszy głowę na ramieniu.

— Niektórych Wędrowców można nazwać barbarzyńcami, innych nie. Wszyscy Łowcy Bydła to barbarzyńcy, którzy nie znają niczego poza swoim terytorium, owi Basnasska, Samsit i Arksa. My wędrujemy wszędzie. Na wschód do Lasu, na południe do ujścia Wewnętrznej Rzeki i na zachód przez Wielkie Góry i Zachodnie Góry, aż do samego oceanu. Sama widziałam słońce zanurzające się w oceanie, za łańcuchem błękitnych wysepek leżących daleko od brzegu, poza zatopionymi dolinami Kalifornii, pochłoniętymi przez trzęsienie ziemi… — Jej cichy głos przeszedł w jakiś rytmiczny archaiczny zaśpiew czy lament.

— Mów dalej — zamruczał Falk, lecz dziewczyna zamilkła, a on wkrótce zapadł w głęboki sen. Przez chwilę wpatrywała się w jego pogrążoną we śnie twarz. W końcu podgarnęła żarzące się węgle, wyszeptała kilka słów, jak gdyby modląc się do amuletu zawieszonego na szyi i zwinęła się do snu naprzeciwko niego, po drugiej stronie ognia.

Kiedy się zbudził, układała nad ogniem rusztowanie z cegieł, na którym postawiła napełniony śniegiem kociołek.

— Wydaje się, że na zewnątrz jest późne popołudnie odezwała się. — Albo poranek lub równie dobrze południe. Burza jest tak samo gwałtowna jak przedtem. Nie wytropią nas. A jeśli nawet, to nie dostaną się tutaj… Ten kociołek był schowany razem z derkami. A tu jest torba z suszonym grochem. Będzie nam tu nie najgorzej. — Zmęczona twarz o delikatnych rysach odwróciła się do niego z cieniem uśmiechu. — Chociaż jest ciemno. Nie lubię grubych ścian i ciemności.

— To lepsze niż zabandażowane oczy. Ale uratowałaś mi życie tymi bandażami. Ślepy Horressins był lepszy niż martwy Falk. — Zawahał się, a potem zapytał: — Dlaczego mnie uratowałaś?

Wzruszyła ramionami, wciąż z nikłym, niechętnym uśmiechem na twarzy.

— Wspólna dola niewoli. Mówią przecież, że nikt nie prześcignął Wędrowców w maskowaniu się i podstępach. Czy nie słyszałeś, jak nazywali mnie Kobietą Lisem? Pozwól, niech opatrzę twoje rany. Zabrałam ze sobą wszystko co trzeba.

— Czy wszyscy Wędrowcy są tak dobrymi lekarzami?

— Znamy się na paru rzeczach.

— I znacie Stary Język, nie zapomnieliście dawnych zwyczajów ludzi, tak jak Basnasska.

— Tak. Wszyscy znamy lingal. Zobacz, odmroziłeś sobie wczoraj płatek ucha. Bo wyciągnąłeś rzemień ze swego kaptura, żeby mnie prowadzić.

— Nie mogę tego zobaczyć — odparł uprzejmie Falk, poddając się jej zabiegom. — Zresztą zwykle nie muszę tego robić.

Gdy przewiązywała wciąż jeszcze nie zagojoną ranę na jego lewej skroni, raz czy dwa spojrzała z ukosa na jego twarz i w końcu odważyła się zapytać:

— Z pewnością wielu Leśnych Ludzi ma takie oczy jak ty?

— Żaden.

Niewątpliwie kanon wziął górę nad ciekawością, gdyż nie zapytała o nic więcej, a on, zdecydowany nie ufać nikomu, nie miał ochoty sam niczego wyjaśniać. Lecz jego własna ciekawość przeważyła i zapytał:

— Więc nie przestraszyły cię te kocie oczy?

— Nie — odparła jak zwykle spokojnie. — Przestraszyłeś mnie tylko raz. Kiedy strzeliłeś… tak szybko…

— Zaalarmowałby cały obóz.

— Wiem, wiem. Ale my nie używamy broni. Strzeliłeś tak szybko, że się przeraziłam… to było tak samo przerażające jak to straszne zdarzenie, jakie widziałam kiedyś, kiedy byłam dzieckiem: mężczyzna, który zabił innego z miotacza szybciej niż myśl, tak jak ty. Był jednym z Wytartych.

— Wytartych?

— Och, niekiedy można ich spotkać w Górach.

— Niewiele wiem o Górach.

Wyjaśniła, choć wydawało się, że z pewną niechęcią:

— Znasz Prawo Władców. Wiesz, że nie zabijają. Jeśli w mieście znajduje się morderca, nie zabijają go, żeby zrobić z nim porządek, tylko go wycierają. To polega na czymś, co robią z jego umysłem. Potem uwalniają go i zaczyna życie na nowo, już niewinny. Ten człowiek, o którym mówię, był starszy od ciebie, ale miał umysł małego dziecka. Lecz dostał miotacz w swoje ręce, a one wiedziały, jak go użyć i… i strzelił do drugiego, zupełnie z bliska, tak jak ty.

Falk milczał. Spoglądał poprzez ogień na swój miotacz, cudowne małe narzędzie, którym rozpalał ogień, zdobywał pożywienie i rozjaśniał ciemności podczas swej długiej wędrówki. Jednak jego ręce nie wiedziały, jak użyć tej rzeczy. To Metock nauczył go strzelać. Uczył się od Metocka i nabierał wprawy w polowaniu. Tego był pewien. Nie mógł być zwykłym potworem i kryminalistą, któremu wyniosłe miłosierdzie Władców Es Toch dało jeszcze jedną szansę…

A jednak, czy nie było to bardziej prawdopodobne niż jego własne mgliste i nieuchwytne sny i wyobrażenia o swym pochodzeniu?

— W jaki sposób robią takie rzeczy z ludzkim umysłem?

— Nie wiem.

— Mogą to robić — rzekł ochrypłym głosem — nie tylko kryminalistom, ale również… również buntownikom. — Kim są buntownicy?

Posługiwała się lingalem bieglej niż on, lecz widać było, że nigdy nie słyszała tego słowa.

Skończyła bandażować jego rany i troskliwie schowała garść swych lekarstw do torby. Obrócił się ku niej tak nagle, że spojrzała na niego z przestrachem i odsunęła się odrobinę.

— Czy widziałaś kiedyś takie oczy jak moje, Estrel?

— Nie.

— Znasz Miasto?

— Es Toch? Tak, bywałam tam.

— Widziałaś zatem Shinga?

— Nie jesteś Shingą.

— Nie. Ale idę do nich — mówił teraz gwałtownie: — Lecz boję się… — przerwał.

Estrel zamknęła torbę, w której trzymała leki, i schowała ją do plecaka.

— Es Toch jest dziwnym miejscem dla ludzi z Samotnych Domów i odległych krain — odezwała się w końcu swym cichym, rozważnym głosem. — Lecz spacerowałam jego ulicami i nie stała mi się żadna krzywda; mieszka tam mnóstwo ludzi nie czując bojaźni przed Władcami. Nie musisz się bać. Władcy są potężni, ale wiele z tego, co mówi się o Es Toch, nie jest prawdą…

Ich oczy spotkały się. W nagłym postanowieniu, przywołując całą umiejętność parawerbalnego porozumiewania, jaką posiadał, przemówił do niej po raz pierwszy: „Powiedz mi zatem, co jest prawdą o Es Toch!”

Potrząsnęła głową, odpowiadając głośno:

— Uratowałam twoje życie, a ty moje, jesteśmy towarzyszami i współwędrowcami, może na jakiś czas. Lecz nie przemówię do ciebie ani do żadnej innej osoby spotkanej przypadkiem. Ani teraz, ani nigdy.

— Więc mimo wszystko sądzisz, że jestem Shingą? — zapytał ironicznie, nieco upokorzony, wiedząc, że dziewczyna ma rację.

— Kto wie? — odparła, a potem dodała z nieśmiałym uśmiechem na twarzy: — Chociaż trudno byłoby mi uwierzyć, że właśnie ty nim jesteś… Zobacz, śnieg się stopił. Wyjdę i przyniosę więcej. Trzeba go tak wiele na odrobinę wody, a oboje jesteśmy spragnieni. Masz… masz na imię Falk?

Skinął głową, obserwując ją.

— Nie trać do mnie zaufania, Falk — powiedziała. — I pozwól mi przekonać się do ciebie. Myślomowa niczego nie dowodzi, a zaufanie jest czymś, co musi wyrosnąć wśród czynów, w ciągu dni.

— Więc podlej je — odparł Falk — i mam nadzieję, że wyrośnie.

Później, wśród długiej nocy i ciszy jaskini zbudził się i zobaczył ją, jak siedzi skulona przy rozżarzonych węglach, z głową złożoną na kolanach. Wymówił jej imię.

— Zimno mi — poskarżyła się. — Ogień wygasł…

— Chodź do mnie — powiedział sennie, uśmiechając się. Nie odpowiedziała, lecz niebawem przyszła do niego przez czarnoczerwoną ciemność, nie mając na sobie nic z wyjątkiem bladozielonego kamienia pomiędzy drobnymi piersiami. Była szczupła i trzęsła się z zimna. Chociaż jego osobowość była pod pewnymi względami osobowością młodego mężczyzny, postanowił, że nie dotknie tej dziewczyny, która tak wiele wycierpiała od barbarzyńców, lecz gdy wyszeptała: — Ogrzej mnie, pociesz mnie — rozpalił się jak ogień na wietrze i wszystkie postanowienia uleciały porwane jej obecnością i całkowitą uległością. Całą noc przeleżała w jego ramionach przy popiołach ogniska.

Jeszcze trzy dni i noce spędzili w pieczarze śpiąc i kochając się, podczas gdy ponad nimi zamieć zamierała i znowu zaczynała szaleć z dawną siłą. Estrel zawsze była taka sama, zgodna i ustępliwa. Pamiętając tylko wesołą i pełną radości miłość, jaką dzielił z Parth, był wstrząśnięty nienasyceniem i gwałtownością pragnień, jakie budziła w nim Estrel. Często nawiedzały go myśli o Parth, wraz z żywym obrazem, wspomnieniem źródła krystalicznej, wartkiej wody, która tryskała wśród skał w cienistym leśnym zakątku niedaleko Polany. Lecz żadne wspomnienia nie mogły ugasić tego pożądania, więc znowu zanurzał się w niezgłębionej uległości Estrel, znajdując — przynajmniej — wyczerpanie. Kiedyś wszystko to zmieniło się w niezrozumiałą złość. W gniewie zarzucił jej:

— Oddałaś mi się, bo myślałaś, że musisz to zrobić, że inaczej wziąłbym cię siłą.

— A nie zrobiłbyś tego?

— Nie — zaprzeczył, wierząc w to. — Nie chcę, żebyś mi służyła, słuchała mnie… Czy to nie ciepło, ludzkie ciepło, jest tym, czego oboje potrzebujemy?

— Tak — wyszeptała.

Nie chciał się do niej zbliżać przez jakiś czas; postanowił, że nie dotknie jej więcej. Odszedł, z zapaloną lampą miotacza, aby zbadać to dziwne miejsce, w którym się znajdowali. Po kilkuset krokach pieczara zaczęła się zwężać, przechodząc w wysoki i szeroki równy tunel. Czarny i milczący prowadził go zupełnie prosto przez długi

czas, potem zakręcił, bez żadnego zwężenia czy rozgałęzienia, i za ciemnym zakrętem znów biegł dalej i dalej. Kroki Falka rozbrzmiewały głuchym echem. Nic nie odbijało najmniejszego błysku światła, nic nie rzucało cienia. Szedł, dopóki nie zmęczył się i nie zgłodniał, potem zawrócił. Powrócił do Estrel, do nie kończących się obietnic, że nigdy jej nie dotknie, i do jej objęć, które obracały te obietnice wniwecz.

Burza skończyła się. Nocny deszcz odsłonił czerń nagiej ziemi, a ostatnie zapadnięte zaspy skrzyły się ściekającą po nich wodą. Falk stał na szczycie schodów, z włosami rozświetlonymi blaskiem słońca i twarzą owiewaną wiatrem, który napełniał świeżością jego płuca. Czuł się jak kret po zimowym śnie, jak szczur, który wyszedł ze swej nory.

— Chodźmy! — zawołał do Estrel i zszedł z powrotem do piwnicy tylko po to, aby pomóc jak najszybciej wynieść jej bagaż i zostawić to miejsce za sobą.

Zapytał ją, czy wie, gdzie są jej współplemieńcy, a ona odpowiedziała:

— Teraz być może daleko na zachodzie.

— Czy wiedzieli, że sama przeprawiałaś się przez terytorium Basnasska?

— Sama? Tylko w legendach z Czasu Miast kobiety zawsze i wszędzie chodziły same. Był ze mną mężczyzna. Basnasska zabili go. — Jej delikatna, nieruchoma twarz nie wyrażała niczego.

Wówczas Falk zaczął rozumieć jej dziwną bierność, brak wzajemności, który wydał mu się niemal zdradą. Wycierpiała zbyt wiele, by mogła cokolwiek odwzajemniać. Kim był jej towarzysz, którego zabili Basnasska? Falk nie miał żadnego powodu, aby o to pytać, dopóki mu sama nie powie. Lecz jego gniew rozwiał się i od tej chwili odnosił się do Estrel z pełnym zaufaniem i czułością.

— Może mógłbym w jakiś sposób pomóc ci w odnalezieniu twych rodaków?

Odparła cicho:

— Jesteś dobrym człowiekiem, Falk. Ale oni są teraz daleko przed nami, a ja nie mogę przeszukać całych Zachodnich Równin…

Nuta zagubienia i rezygnacji w jej głosie wzruszyła go:

— Więc chodź ze mną na zachód, dopóki nie usłyszymy jakichś wieści o nich. Wiesz, dokąd idę.

Wciąż trudno było mu wymówić słowa „Es Toch”, które w języku Lasu oznaczały coś nieprzyzwoitego i wstrętnego. Nie przywykł jeszcze, by tak jak Estrel mówić o mieście Shinga jak o jakimś zwykłym miejscu, jakich setki i tysiące.

Wahała się, lecz gdy nalegał, zgodziła się pójść z nim. Uradowało go to, gdyż pragnął jej i współczuł, i ponieważ poznał samotność, a nie chciał zaznać jej znowu. Razem wyruszyli w drogę, mając za

towarzystwo wiatr i zimny blask słońca. Falk szedł z lekkim sercem, ciesząc się, że znowu jest na otwartej przestrzeni, wolny. W tej chwili to, jak się skończy podróż, nie miało znaczenia. Dzień był jasny, jasne, rozciągnięte na niebie chmury żeglowały ponad ich głowami i droga, którą szli, była celem samym w sobie. Szedł przed siebie, a łagodna, uległa, niezmordowana kobieta podążała ramię w ramię z nim.

V

Przemierzyli Wielkie Równiny pieszo — co można łatwo i szybko powiedzieć, lecz wcale niełatwo i szybko uczynić. Dni były już dłuższe od nocy, a wiatry wiosny coraz cieplejsze i łagodniejsze, kiedy po raz pierwszy zobaczyli, jeszcze z bardzo daleka, swój cel: barierę wybieloną przez śnieg i odległość, ścianę biegnącą wzdłuż kontynentu z północy na południe. Falk stał bez ruchu, przypatrując się odległym szczytom.

— Tam wysoko leży Es Toch — powiedziała Estrel również nie odrywając wzroku od gór. — Mam nadzieję, że każde z nas znajdzie tam to, czego szuka.

— Mój strach jest większy niż moja nadzieja… Jednak cieszę się mogąc widzieć góry.

— Powinniśmy stąd odejść.

— Zapytam Księcia, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, byśmy jutro wyruszyli.

Lecz zanim ją opuścił, odwrócił się spoglądając przez chwilę na wschód, na pustynną krainę rozciągającą się za ogrodami Księcia, jak gdyby patrzył wstecz na całą drogę, którą wspólnie przebyli.

Teraz bowiem wiedział już dobrze, jak bardzo pusty i tajemniczy świat zamieszkiwali ludzie u schyłku swej historii. On i jego towarzyszka szli całymi dniami i nie widzieli śladu ludzkiej obecności.

Na początku swej podróży szli niezwykle ostrożnie przez terytoria Samsit i innych narodów Łowców Bydła, którzy — co Estrel dobrze wiedziała — byli równie drapieżni i okrutni jak Basnasska. Potem, kiedy znaleźli się w bardziej jałowej krainie, gdzie zmuszeni byli trzymać się szlaków wiodących do miejsc z wodą, z których korzystali przed nimi inni, jeśli tylko coś wskazywało na niedawną obecność lub bliskość ludzi, Estrel zdwajała czujność i niekiedy zmieniała trasę, aby ich nie dostrzeżono. Dobrze orientowała się w terenie, a jej znajomość niektórych miejsc wśród tych rozległych obszarów, które przemierzali, była wręcz zadziwiająca; czasami, kiedy teren gmatwał się i nie byli pewni, dokąd się skierować, mówiła: — Poczekajmy do świtu — a potem odchodziła na bok, modliła się przez chwilę do swojego amuletu, po czym wracała, zawijała się w śpiwór i zasypiała spokojnie — a droga, którą wybierała o świcie, zawsze okazywała się właściwa. — Instynkt Wędrowca — odpowiadała, kiedy Falk podziwiał jej wyczucie. — W każdym razie tak długo, jak trzymamy się blisko wody i z dala od ludzkich istot, jesteśmy bezpieczni.

Lecz kiedyś, już po wielu dniach wędrówki na zachód od czasu, kiedy opuścili piwnice, podążając łukiem głębokiej doliny wzdłuż potoku, tak niespodziewanie znaleźli się w pobliżu osady, że

wartownicy otoczyli ich, zanim zdołali uciec; rzęsisty deszcz skrył przed nimi wszelkie ślady i odgłosy osady. Jej mieszkańcy nie użyli przemocy i okazali chęć ugoszczenia ich przez dzień lub dwa, a Falk ochoczo na to przystał, gdyż nie uśmiechała mu się wędrówka i nocowanie wśród deszczu.

Członkowie tego narodu czy też plemienia nazywali siebie Pszczelarzami. Wszyscy dziwni, znający pismo, uzbrojeni w lasery i identycznie ubrani, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, w długie, żółte tuniki z zimowego sukna z naszytymi na piersiach brązowymi krzyżami, byli gościnni i małomówni. Wskazali podróżnym łóżka w swych przypominających wojskowe baraki domach — długich, niskich, kruchych budynkach z drewna i gliny — i obdarowali obficie żywnością ze wspólnego stołu; lecz tak niechętnie odzywali się do gości, jak i do siebie nawzajem, że sprawiali wrażenie wspólnoty niemych. Zaprzysięgli milczenie. Mają swoje obrządki, składają śluby i przysięgi, nikt nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, jak objaśniała Estrel ze spokojną, obojętną pogardą, którą zdawała się odczuwać do większości rodzaju ludzkiego. Wędrowcy muszą być dumnym narodem, pomyślał Falk. Pszczelarze zaś odnosili się do niej z jeszcze większą pogardą: nikt nigdy nie odezwał się do niej ani słowem. Mówili do Falka: — Może twoja kobieta potrzebuje nowych butów? — tak jakby była koniem, a oni zauważyli, że wymaga podkucia. Ich własne kobiety używały męskich imion, zwracały się do siebie i odnosiły jak do mężczyzn. Poważne dziewczęta, o czystych oczach i milczących ustach, żyły i pracowały jak mężczyźni wśród równie poważnych i statecznych chłopców i młodych mężczyzn. Kilku Pszczelarzy przekroczyło czterdziestkę, a żaden z nich nie miał mniej niż dwanaście lat. Była to dziwna społeczność; równie dziwna jak te baraki sprawiające wrażenie zimowych koszar stacjonującej tu w całkowitym odosobnieniu armii podczas zawieszenia działań jakiejś niewytłumaczalnej wojny: dziwni, smutni, godni podziwu ludzie. Uporządkowanie i skromność ich życia przypominały Falkowi jego leśny Dom, a uczucie skrytego, lecz pozbawionego najmniejszej skazy, całkowitego poświęcenia, przynosiło mu dziwne ukojenie. Ci piękni, aseksualni wojownicy byli bardzo pewni siebie, lecz nigdy nie powiedzieli Falkowi, dlaczego tacy są.

— Hodują ludzi zapładniając jak maciory pojmane kobiety barbarzyńców, a potem wychowują dzieciaki w grupach. Czczą coś, co nazywają Martwym Bogiem, a zjednują go sobie składając mu ofiary z ludzi. Są niczym więcej jak szczątkiem jakiegoś starego przesądu — powiedziała Estrel, kiedy Falk powiedział coś z aprobatą o Pszczelarzach. Przy całej swej uległości była w oczywisty sposób dotknięta traktowaniem jej jak istoty niższego rzędu. Arogancja u kogoś tak biernego zarazem dotknęła, jak i rozbawiła Falka,

postanowił więc podrażnić się z nią trochę.

— Cóż, widziałem cię wieczorem, jak mamrotałaś do swego amuletu. Różne są religie…

— Oni naprawdę robią to, co powiedziałam — odparła, lecz bez poprzedniej zapalczywości.

— Zastanawiam się, przeciwko komu tak się zbroją?

— Oczywiście przeciwko swym Wrogom. Tak, jakby mogli walczyć z Shinga! Tak, jakby Shinga zawracali sobie głowę walką z nimi!

— Nie chcesz dłużej tu zostać, prawda?

— Tak, nie ufam tym ludziom. Zbyt dużo ukrywają. Wieczorem poszedł pożegnać się z przywódcą społeczności, szarookim mężczyzną o imieniu Hiardan, na oko nieco młodszym od niego. Hiardan skwitował jego podziękowanie kilkoma słowami, a potem powiedział, rozważnie i wprost, jak zwykli czynić to Pszczelarze:

— Sądzę, że mówiłeś nam jedynie prawdę. Dzięki ci za to. Ugościlibyśmy cię hojniej i powiedzieli o tym, co wiemy, gdybyś przybył sam.

Falk zawahał się, zanim odpowiedział:

— Przykro mi z tego powodu. Lecz nigdy nie dotarłbym tutaj, gdyby nie moja przewodniczka i przyjaciółka. Cóż… wy wszyscy żyjecie tutaj razem, Mistrzu Hiardan. Czy kiedykolwiek bywacie sami?

— Rzadko — odparł tamten. — Samotność to śmierć dla duszy; człowiek jest cząstką ludzkości, jak to się u nas mówi. Lecz powiadamy również: nie ufaj nikomu oprócz swego brata i brata z roju, którego znasz od niemowlęcia. To nasza zasada. Jedyna bezpieczna.

— Lecz ja nie mam krewnych, a moje życie nie jest bezpieczne, Mistrzu — powiedział Falk i skłoniwszy się po żołniersku, w stylu Pszczelarzy, pożegnał się, a następnego dnia o świcie ruszył wraz z Estrel w dalszą drogę.

Od czasu do czasu widzieli inne osady czy obozowiska; niewielkie, wszystkie położone z dala od siebie, było ich pięć albo sześć, rozrzuconych na przestrzeni trzystu czy czterystu mil. Przynajmniej w niektórych z nich Falk zatrzymałby się, gdyby wędrował sam. Był uzbrojony, a oni zdawali się nieszkodliwi — parę koczowniczych namiotów nad obwiedzionym lodem potokiem, samotny mały pastuszek, strzegący na rozległym zboczu stad na wpół zdziczałego bydła o czerwonej skórze lub gdzieś daleko wśród falistej równiny zwyczajny pióropusz niebieskawego dymu wkręcający się w nieskończoną szarość nieba. Opuścił Las, aby dowiedzieć się czegoś o sobie, odnaleźć ślady tego, kim był, lub wskazówki, co się z nim działo w ciągu tych okrytych niepamięcią lat — lecz jak się miał tego dowiedzieć nie pytając? Estrel bała się jednak zatrzymywać nawet w

tych najmniejszych i najbiedniejszych z preriowych osad.

— Nie lubią Wędrowców — mówiła — ani żadnych obcych. Ci, którzy żyją tak długo sami, są pełni strachu. Powodowani strachem przyjmą nas, dadzą nam schronienie i jedzenie. Ale w nocy przyjdą, związą nas i zabiją. Nie możesz iść do nich, Falk — spojrzała mu w oczy — i powiedzieć im: jestem waszym towarzyszem… Wiedzą, że tu jesteśmy, obserwują nas. Jeśli zobaczą, jak pójdziemy jutro dalej, nie będą się nami niepokoić. Lecz jeśli się stąd nie ruszymy lub spróbujemy zbliżyć się do nich, przestraszą się nas. Strachem, który zabija.

Falk siedział obejmując ramionami kolana, tuż przy ognisku po zawietrznej stronie pagórkowatego wzgórza. Odrzucił wypłowiały, postrzępiony kaptur i ostry, szczypiący policzki wiatr, wiejący od okrytego czerwienią zachodniego skraju nieba, poruszał mu włosy.

— To prawda — powiedział, choć jego głos pełen był tęsknoty, a wzrok utkwiony w odległej wstędze dymu.

— Może dlatego właśnie Shinga nikogo nie zabijają. — Estrel wyczuwała jego nastrój i próbowała dodać mu otuchy, sprawić, aby myślał o czymś innym.

— Więc dlaczego nie zabijają? — zapytał, świadom jej usiłowań, lecz obojętny.

— Ponieważ nikogo się nie boją.

— Może. — Zmusiła go do myślenia, choć nie były to wesołe myśli. W końcu powiedział: — Cóż, ponieważ wydaje się, że aby uzyskać odpowiedzi na moje pytania, muszę dotrzeć właśnie do nich, więc jeśli mnie zabiją, będę miał przynajmniej satysfakcję wiedząc, że ich przestraszyłem…

Estrel potrząsnęła głową.

— Nie zrobią tego. Oni nie zabijają.

— Nawet karaluchów? — wypytywał dalej, wyładowując na niej zły humor wywołany zmęczeniem. — Co oni robią z karaluchami w swoim Mieście? Odkażają je, a potem wypuszczają na wolność, tak jak tych Wytartych, o których mi opowiadałaś?

— Nie wiem — odparła Estrel. Wszystkie jego pytania traktowała poważnie. — Lecz ich prawem jest cześć dla życia, a oni przestrzegają prawa.

— Przecież nie czczą ludzkiego życia. Zresztą dlaczego mieliby to robić? W końcu nie są ludźmi.

— I dlatego właśnie ich prawem jest cześć dla życia w ogóle, nie sądzisz? Wiem, że od czasu, kiedy przybyli Shinga, nie było wojny na Ziemi ani pomiędzy światami. To ludzie są tymi, którzy mordują jeden drugiego!

— Ale żaden człowiek nie mógł mi zrobić tego, co zrobili Shinga. Szanuję życie, szanuję je, ponieważ stawia większe wymagania i jest

bardziej niepewne niż śmierć, a największe wymagania i największy brak pewności ze wszystkich wartości niesie ze sobą osobowość i umysł człowieka. Shinga nie naruszyli swego prawa i pozostawili i mnie przy życiu, ale zabili moją osobowość. Czy to nie morderstwo? Zabili dziecko, które we mnie było, i zabili dorosłego mężczyznę. Czy można nazwać szacunkiem dla życia takie igranie z ludzkim umysłem? Ich prawo jest kłamstwem, a cześć szyderstwem.

Zmieszana jego gniewem Estrel uklękła przy ogniu, by sprawić i nadziać na rożen królika, którego ustrzelił. Zakurzone czerwonawe włosy zwisały w strąkach z jej pochylonej głowy, a jej twarz była cierpliwa i nieobecna. Jak zawsze, w końcu zwyciężyły skrucha i pożądanie. Byli tak blisko ze sobą, a jednak jej nie rozumiał; czy wszystkie kobiety są takie? Była jak zagubiony pokój w wielkim domu, jak szkatułka, do której nie miał klucza. Nic przed nim nie ukrywała, a jednak wciąż wyczuwał w niej jakąś tajemnicę, całkowicie dla siebie niezgłębioną.

Wszechogarniający zmierzch ciemniał nad zroszonymi deszczem milami ziemi i trawy. Płomienie ich małego ogniska płonęły czerwonym złotem w przezroczystym błękicie nadciągającej nocy.

— Gotowe, Falk — usłyszał cichy głos.

Podniósł się i podszedłszy do niej usiadł przy ogniu.

— Mój przyjacielu, moje kochanie — powiedział, ujmując na chwilę jej dłoń. Siedzieli obok siebie dzieląc się jedzeniem, a później snem.

Im dalej posuwali się na zachód, tym suchsze stawały się prerie, a powietrze czyściejsze. Przez kilka dni Estrel prowadziła ich bardziej na południe, mając zamiar ominąć obszar, który był niegdyś i w dalszym ciągu mógł być, terytorium dzikiego, koczowniczego narodu, zwanego Kawalerzystami. Falk nie sprzeciwiał się jej decyzji, nie mając ochoty na powtórzenie doświadczenia z narodem Basnasska. Piątego i szóstego dnia ich wędrówki na południe przemierzyli górzysty region i znaleźli się na suchym, wysokim płaskowyżu, równym i pozbawionym drzew, nieustannie przemiatanym wiatrem. Kiedy spadł deszcz, wąwozy wypełniły się potokami wody, lecz następnego dnia były znowu suche. Latem musiała być tu półpustynia, a nawet wiosną było tu niezwykle sucho.

Dwukrotnie przeszli przez starożytne ruiny; zwyczajne wzniesienia i pagórki, ułożone jednak w przestronne, równe szeregi ulic i placów. Fragmenty naczyń, drobiny kolorowego szkła i plastyku zalegały grubą warstwą w porowatym gruncie otaczającym ruiny. Minęły dwa, a może i trzy tysiąclecia od czasu, kiedy zamieszkiwali tu ludzie. Ta rozległa stepowa kraina, nadająca się jedynie do wypasu bydła, nigdy nie była ponownie zasiedlona po tym, jak ludzkość rozproszyła się wśród gwiazd. Ci, którzy pozostali, mieli tylko

niekompletne, często sfałszowane archiwa, nie byli więc w stanie precyzyjnie określić daty exodusu.

— Jakie to dziwne, gdy pomyśleć — rzekł Falk, kiedy mijali drugie z tych dawno zapomnianych, pogrzebanych miast — że dzieci bawiły się tutaj… a kobiety rozwieszały pranie… tak dawno temu. W innym czasie. Dalej od nas niż światy krążące wokół odległych słońc.

— Wiek Miast — powiedziała Estrel — Wiek Wojny… Nigdy nie słyszałam żadnej opowieści o takich miejscach od żadnego z mych rodaków. Być może zaszliśmy za daleko na południe i zbliżamy się do Południowych Pustyń.

Zmienili więc trasę, kierując się na zachód i nieco ku północy, i następnego dnia o świcie dotarli do wielkiej rzeki o pomarańczowej, niezwykle wartkiej i wzburzonej wodzie; płytkiej, lecz tak niebezpiecznej, że stracili cały dzień na szukanie brodu.

Zachodni brzeg rzeki rozciągał się w tak suchą i jałową krainę, jakiej Falk dotychczas nie widział. Jako że woda stanowiła dotychczas problem raczej przez swój nadmiar niż brak, nie zwrócił na to większej uwagi. Słońce świeciło przez cały dzień na czystym niebie; po raz pierwszy w ich liczącej setki mil wędrówce nie musieli stawiać czoła zimnemu wiatrowi, a kiedy spali, było im ciepło i sucho. Gwałtowna, rozpromieniona wiosna obejmowała w swe władanie cały kraj; poranna gwiazda płonęła o świcie nad horyzontem, a pod ich stopami kwitły dzikie kwiaty. Lecz przez trzy dni, od kiedy przekroczyli rzekę, nie natrafili na żaden strumień ani potok.

Chyba trudna przeprawa przez rzekę spowodowała, że Estrel przeziębiła się. Nie wspomniała o tym ani słowem, lecz jej niestrudzony krok nie był już tak pewny, a twarz mizerniała coraz bardziej. Potem przyplątała się dyzenteria. Wcześnie rozbili obóz. Kiedy leżała przy ognisku z suchych patyków, nagle zapłakała; tylko kilka suchych łkań, lecz i tego było aż nadto jak na kogoś, kto nigdy nie uzewnętrzniał swych uczuć.

Zażenowany i zaniepokojony Falk usiłował dodać jej otuchy ujmując jej dłoń; stwierdził, że jest cała rozpalona gorączką.

— Nie dotykaj mnie — wzdrygnęła się. — Nie, nie. Straciłam go, straciłam, co teraz zrobię?

I wówczas zauważył, że łańcuszek i amulet z bladozielonego jadeitu zniknęły z jej piersi.

— Musiałam go zgubić, kiedy przechodziliśmy przez rzekę — powiedziała opanowując się z trudem i nie unikając już jego dotyku.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Co by to dało?

Nie znalazł na to odpowiedzi. Opanowała się, lecz czuł jej stłumiony, gorączkowy niepokój. W nocy pogorszyło się jej i nad ranem była już bardzo chora: Nie mogła jeść i chociaż dręczyło ją

pragnienie, które sprawiało, że nie miała apetytu, krew królika była wszystkim, co mógł zaofiarować jej do picia. Ułożył-ją tak wygodnie, jak tylko mógł, i wziąwszy puste manierki wyruszył po wodę.

Teren, pokryty podobną do drutu trawą, przetykaną kwiatami i zbitym gąszczem krzewów, ciągnął się mila za milą, z lekka falując, ku jasnemu, zamglonemu horyzontowi. Słońce prażyło, pustynne skowronki, śpiewając, wzlatywały w niebo. Falk szedł szybkim, równym krokiem, początkowo ufny, później coraz bardziej zawzięty, przeszukując całą północno-wschodnią ćwiartkę, poczynając od ich obozu. Deszcze, spadłe kilka dni wcześniej, dawno już wsiąkły w ziemię. Nie znalazł żadnego potoku. Nigdzie nie było wody. Musiał iść dalej i szukać na zachód od obozu. Zataczając łuk od wschodu z niepokojem wypatrywał obozu i wówczas z długiego, niskiego wzgórza dostrzegł odległy o kilka mil na zachód czarny kleks: ciemną, zamazaną plamę, która mogła być kępą drzew. W chwilę później ujrzał, o wiele bliżej, dym ich obozowego ogniska i rzucił się ku niemu biegiem, chociaż był wyczerpany, a zachodzące słońce kłuło igłami promieni jego oczy, jego usta zaś były suche jak kreda.

Estrel podtrzymywała tlące się ognisko, aby ułatwić mu powrót.

Leżała przy ogniu w swym zniszczonym śpiworze. Nie uniosła głowy, kiedy do niej podszedł.

— Niezbyt daleko stąd na zachód widziałem drzewa; tam może być woda. Rano poszedłem w złym kierunku — mówił zbierając rzeczy i wkładając je do swojego plecaka. Musiał pomóc Estrel, gdyż nie mogła wstać o własnych siłach; ujął jej ramię i ruszyli w drogę. Pochylona, z niewidzącymi oczyma, wlokła się wraz z nim przez milę, a potem jeszcze jedną. Wdrapali się na jedno z rozległych wzniesień terenu.

— Tam! — wychrypiał Falk. — Są tam, widzisz je? To drzewa, wszystko w porządku, tam musi być woda.

Lecz Estrel osunęła się na kolana, a potem zgięta wpół legła na trawie z zamkniętymi oczyma. Nie była w stanie iść dalej.

— To nie dalej jak dwie, trzy mile. Rozpalę ognisko, będziesz mogła tu odpocząć, a ja wezmę manierki i pójdę po wodę. Jestem pewien, że tam jest, to nie potrwa długo.

Leżała bez ruchu, podczas gdy on zebrał wśród zarośli wszystkie, jakie znalazł, suche patyki i rozpalił niewielkie ognisko, potem ułożył stos świeżych gałęzi w miejscu, skąd mogła bez trudu dokładać je do ognia, aby wzniecić dym, którego smuga miała służyć mu za punkt orientacyjny w drodze powrotnej.

— Wrócę niedługo — powiedział zbierając się do odejścia, a wówczas ona usiadła, blada i drżąca, i krzyknęła: — Nie! Nie! Nie zostawiaj mnie! Nie możesz mnie zostawić… nie odchodź…

Nie mogła jasno myśleć. Była tak chora i przerażona, że nie

docierała do niej żadna rozsądna myśl. Falk nie mógł jej zostawić tutaj w takim stanie, kiedy nadciągała noc. Jedyne, co mógł zrobić, to wziąć ją ze sobą, ale wydawało mu się, że nie da rady. Podniósł ją, zarzucił jej rękę na swe barki i pół ciągnąc, pół niosąc ruszył dalej.

Na następnym wzniesieniu znów zobaczył drzewa, które zdawały się wcale nie przybliżać. Daleko przed nimi słońce zachodziło w złotej mgle, zanurzając się w oceanie Lądu. Teraz już po prostu niósł Estrel i po niewielu minutach opadł z resztek sił; złożył swoje brzemię i sam osunął się na ziemię obok niej, aby odetchnąć i nabrać sił. Zdawało mu się, że gdyby miał odrobinę wody, tylko tyle, żeby zwilżyć usta, wszystko to nie byłoby takie trudne.

— Tam jest dom — wyszeptał świszczącym głosem, nie mogąc złapać tchu. Powtórzył: — To dom wśród drzew. Wcale nie tak daleko. — Tym razem usłyszała to, co mówił, i z trudem wyginając ciało uniosła się nieco nad ziemią obejmując go i szarpiąc.

— Nie idź tam. Nie… nie idź tam. Nie do domów. Ramarren nie może wchodzić do domów. Falk… — wyjęczała. Potem zaczęła wykrzykiwać słabo w języku, którego nie znał, jak gdyby wzywając pomocy. Podniósł ją i szedł z trudem dalej, pochylony pod jej ciężarem.

Wśród późnego zmierzchu jego oczy niespodziewanie uchwyciły złote światło — wysokie okna lśniące światłem zza ciemnych drzew.

Właśnie stamtąd zaczął dochodzić zgrzytliwy, skowyczący dźwięk, stawał się coraz głośniejszy zbliżając się do Falka. Wlókł się dalej, a potem zatrzymał, widząc w półmroku biegnące ku niemu cienie, które wzniecały ów skowyczący, szczekliwy harmider. Ciężkie kształty otoczyły go, podskakujące i kłapiące szczękami, gdy stał podtrzymując nieprzytomną Estrel. Nie mógł sięgnąć po miotacz, nie ośmielił się zresztą poruszyć. Światła wysokich okien lśniły pogodnie zaledwie o kilkaset kroków dalej. Krzyknął:

— Pomocy! Pomóżcie nam! — Lecz z jego gardła wydobył się tylko kraczący szept.

Usłyszał inne głosy, ostro nawołujące z daleka. Ciemne cienie bestii cofnęły się, przywarowały. Jacyś ludzie podeszli do niego, tam gdzie, wciąż trzymając Estrel, osunął się na kolana.

— Zabierzcie kobietę — odezwał się męski głos, a inny powiedział wyraźnie:

— Co my tu mamy, jeszcze jedną parę wykonawców? Kazali mu wstać, lecz opierał się szepcząc:

— Nie róbcie jej krzywdy… jest chora.

— Więc chodź! — Twarde i szybkie ręce zmusiły go, aby posłuchał wezwania. Pozwolił im odebrać sobie Estrel. Był tak oszołomiony i wyczerpany, że przez jakiś czas nie rozumiał nic z tego, co się stało ani gdzie się znaleźli. Dali mu napić się zimnej wody, i to

było wszystko, co rozumiał, co miało znaczenie.

Siedział. Ktoś, kogo nie rozumiał, usiłował nakłonić go do wypicia szklanki jakiejś cieczy. Więc wziął szklankę i wypił. Było to coś parzącego, intensywnie pachnącego jałowcem. Szklanka, właściwie szklaneczka z cienkiego, zabarwionego na zielono szkła, była pierwszą rzeczą, którą zobaczył wyraźnie. Nie pił ze szklanki od czasu, kiedy opuścił Dom Zove. Potrząsnął głową czując, jak mocny napój oczyszcza jego gardło i mózg i rozejrzał się.

Był w pokoju, bardzo dużym pokoju. Rozległa przestrzeń wypolerowanej, kamiennej podłogi odbijała niewyraźnie odległą ścianę, na której, lub w której, wielki dysk jarzył się łagodnym, żółtym blaskiem. Falk czuł na twarzy promieniujące od niego ciepło. W połowie drogi pomiędzy nim a podobnym do słońca kręgiem światła stało na gołej podłodze wysokie, masywne krzesło, a przy nim, nieruchoma, jakby narysowana na podłodze, warowała ciemna bestia.

— Czym jesteś?

Zobaczył łuk nosa i szczęki, czarną rękę na oparciu krzesła. Głos był głęboki i twardy jak kamień. To nie był lingal, którym już tak długo się posługiwał, lecz jego własny język, mowa Lasu, choć słowa wypowiadane były w nieco odmiennym dialekcie. Odpowiedział powoli, mówiąc prawdę.

— Nie wiem, czym jestem. Pamięć o sobie straciłem sześć lat temu. W Leśnym Domu nauczyłem się zwyczajów ludzi. Idę do Es Toch, żeby odzyskać swe imię i osobowość.

— Idziesz do Miejsca Kłamstwa po to, by odnaleźć prawdę? Wykonawcy i głupcy przemierzają umęczoną Ziemię wykonując wiele zadań, lecz to przewyższa wszystkie swym szaleństwem lub kłamstwem. Co sprowadziło cię do mego Królestwa?

— Moja towarzyszka…

— Czy chcesz powiedzieć, że to ona sprowadziła cię tutaj?

— Czuła się źle, szukałem wody. Czy ona…

— Zamilcz. Cieszę się słysząc, że to nie ona sprowadziła cię tutaj. Czy wiesz, gdzie jesteś?

— Nie.

— To jest Enklawa Kansas. Jestem jej panem. Jestem jej władcą, jej Księciem i Bogiem. Wszystko tu zależy ode mnie. Gramy tutaj w jedną z wielkich gier. Zwie się Królem na Zamku. Jej reguły są bardzo stare i są jedynym prawem, jakie mnie wiąże. Całą resztę ustanawiam ja.

Łagodne, oswojone słońce jarzyło się między ścianami, podłogą i sufitem, gdy Książę podniósł się ze swego krzesła. Ponad nim, wysoko w górze, czarne belki sklepienia pochłaniały jednostajne złote światło, mieszając je z cieniami. Promienie światła obrysowały orli nos, wysokie, ścięte ukośnie czoło i całą wysoką, pełną mocy, szczupłą

sylwetkę o majestatycznej postawie i gwałtownych ruchach. Kiedy Falk poruszył się z lekka, mitologiczna bestia spoczywająca przy tronie przeciągnęła się i warknęła. Pachnący jałowcem napój nieco zawrócił mu w głowie; powinienem był pomyśleć, że to szaleństwo sprawiło, iż ten człowiek nazywa się królem, a nie, że to władza wtrąciła go w otchłań szaleństwa.

— Nie znasz zatem swego imienia?

— Ci, którzy mnie przygarnęli, nazwali mnie Falk.

— Szukać swego własnego, prawdziwego imienia, czyż człowiek zdążał kiedyś lepszą drogą? Nic dziwnego, że doprowadziła cię do mych drzwi. Przyjmuję cię w tym domu jako Gracza — powiedział Książę Kansas. — Nie każdej nocy człowiek z oczyma jak żółte klejnoty żebrze o gościnę u mych drzwi. Odmowa byłaby i roztropna, i bezlitosna, a czymże jest władza królewska bez ryzyka i łaski? Oni nazywali cię Falkiem, nie ja. W tej grze będziesz Opalem. Możesz iść, wszystkie drzwi stoją przed tobą otworem. Griffon, spokój!

— Książę, moja towarzyszka…

— Jest Shingą, wykonawcą albo kobietą, po co ją trzymasz przy sobie? Spokój, człowieku, nie bądź tak skory odpowiadać królowi. Wiem po co. Lecz ona nie ma imienia i nie bierze udziału w tej grze. Moje pasterki zaopiekowały się nią, nie chcę więcej o niej mówić. — Książę zbliżył się do niego, krocząc z wolna po gołej podłodze. — Mój towarzysz ma na imię Griffon. Czy słyszałeś kiedyś o zwierzętach zwanych psami? Wspominają o nich stare Kanony i Legendy. Griffon jest psem. Jak widzisz, są nieco podobne do żółtych szczekaczy, które biegają po równinach, bądź co bądź są spokrewnione. Jego rasa wymarła, tak jak rody królewskie. Opalooki, czego pragniesz najbardziej?

Książę zadał to pytanie z nagłą, przenikliwą łagodnością, spoglądając w twarz Falka. Zmęczony i oszołomiony, zdecydowany mówić prawdę, Falk odpowiedział:

— Wrócić do domu.

— Wrócić do domu… — Książę Kansas był czarny, tak jak jego sylwetka obrysowana światłem lub jak jego cień; czarny jak noc mężczyzna, wysoki na siedem stóp, z twarzą jak ostrze miecza. — Wrócić do domu… — Przesunął się nieco, spoglądając z uwagą na długi stół niedaleko krzesła Falka. Rama stołu, jak zauważył Falk, wystawała kilka cali ponad blat i zawierała sieć złotych i srebrnych drutów z nanizanymi na nie paciorkami tak przedziurawionymi, że mogły przesuwać się z jednego drutu na drugi, a w niektórych miejscach z poziomu na poziom. Były tam setki paciorków różnej wielkości, poczynając od takich jak dziecięca pięść, kończąc na nie większych od nasiona jabłka; były zrobione z gliny, kamienia i drewna, metalu, kości, plastyku i szkła, z ametystów, agatów,

topazów, turkusów, opali i bursztynu, beryli, kryształu górskiego, granatów, szmaragdów i diamentów. Był to Wzorzec, taki jaki posiadali Zove, Buckeye i inni mieszkańcy Domu. Stanowił oryginalny wytwór wspaniałej kultury Davenantu i był znany na Ziemi już od bardzo dawna. Ta rzecz przepowiadała przyszłość, była zarazem skomplikowanym liczydłem i zabawką. W swym drugim krótkim życiu Falk niewiele dowiedział się o wzorcach; nie było na to czasu. Buckeye wspomniała kiedyś, że potrzeba czterdziestu, pięćdziesięciu lat, aby nauczyć się biegle posługiwać wzorcem, a jej, będący od dawna w posiadaniu jej rodziny i przekazywany z pokolenia na pokolenie, miał zaledwie dziesięć cali szerokości i dwadzieścia lub trzydzieści paciorków.

Kryształowy graniastosłup uderzył w żelazną kulę wydając czysty, cichy brzęk. Turkus wystrzelił w lewo, a podwójne oczko z polerowanej kości wysadzanej granatami przemknęło na prawo i w dół; w tej samej chwili w martwym polu wzorca błysnął ognisty opal. Czarne, szczupłe, silne ręce tańczyły nad drutami, przesuwając klejnoty życia i śmierci.

— Tak — odezwał się Książę. — Chcesz wrócić do domu. Lecz patrz! Czy umiesz odczytać wzór? Bezmiar. Heban, diament i kryształ, wszystkie klejnoty ognia, a opal wśród nich przesuwa się, wymyka. Dalej niż Królewski Dom, dalej niż Szklane Więzienie, dalej niż szczyty i jaskinie Kopernika, a przecież kamień, który go symbolizuje, krąży wśród gwiazd. Czyżbyś chciał wydostać się poza ramy wzorca, wyrwać z więzów czasu? Patrz!

Jasne, migoczące paciorki, będące w nieustannym ruchu, rozmazywały się Falkowi w oczach. Uchwycił się ramy wielkiego wzorca i wyszeptał:

— Nie mogę odczytać…

— W tej właśnie grze bierzesz udział, Opalooki, czy ją rozumiesz, czy nie. Dobrze, bardzo dobrze. Moje psy wieczorem szczekały na żebraka, a on dowodzi, że jest księciem z gwiazd. Opalooki, kiedy przyjdę do ciebie prosząc o wodę z twej studni i schronienie na noc, czy ugościsz mnie? Lecz tamta noc będzie zimniejsza od tej… I dzielić je będzie otchłań czasu! Ty sam przybyłeś z takiej otchłani. Ja jestem stary, lecz ty jeszcze starszy: powinienem umrzeć już sto lat temu. A czy za sto lat będziesz pamiętał, że na tej pustyni spotkałeś Króla? Idź, idź, powiedziałem ci, że możesz chodzić, gdzie chcesz. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zwróć się do moich sług.

Falk odnalazł drogę przez długi pokój do osłoniętego kotarą wysokiego wejścia. W przedpokoju czekał na niego chłopiec, który przywołał innych. Bez jakiegokolwiek zdziwienia czy służalczości, okazując swój szacunek jedynie tym, że nie odzywali się pierwsi, przygotowali mu kąpiel, ubranie na zmianę, kolację i czyste łóżko w

cichym pokoju.

Pozostał w Wielkim Domu Enklawy Kansas przez całe trzynaście dni, podczas gdy ostatnie mokre śnieżyce i rzadkie deszcze wiosny siekły pustynną krainę rozciągającą się za ogrodami Księcia. Estrel, już zdrowa, przebywała w jednym z wielu mniejszych domów, zebranych w podobne do gron skupiska przy wielkim budynku. Mógł widzieć się z nią, kiedy miał tylko na to ochotę… mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Książę władał swą domeną bez żadnych ograniczeń, ale też w żaden sposób władzy tej nie wymuszał; raczej przyjmowana była jako zaszczyt. Jego poddani chcieli mu służyć, być może rozumieli, że potwierdzając w ten sposób wrodzony i naturalny majestat jednej osoby, tym samym potwierdzają swą własną wartość jako ludzi. Było ich nie więcej niż dwustu: pasterzy, ogrodników, cieśli i ludzi do wszystkiego, ich żony i dzieci. To było maleńkie królestwo. Mimo to Falk już po kilku dniach był pewien, że gdyby Książę Kansas nie miał żadnego poddanego i żył tutaj zupełnie sam, to tak czy inaczej pozostałby księciem. Bo nie była to sprawa wielkości czy ilości, tylko — jakości.

Ta niezwykła rzeczywistość, ta szczególna właściwość uprawniająca Księcia do władania swą dziedziną tak zafascynowały i zaabsorbowały Falka, że niemal nie myślał o tym, co pozostało poza granicami królestwa — o bezładnym, podzielonym, pełnym gwałtu świecie, przez który tak długo wędrował. Lecz w trzynastym dniu pobytu, podczas rozmowy z Estrel, mówiąc o opuszczeniu Enklawy, zaczął się zastanawiać nad jej powiązaniami z resztą świata.

— Sądzę, że Shinga nie cierpią na nadmiar władzy nad ludźmi. Dlaczego godzą się na to, żeby strzegł swych granic i nazywał siebie Królem i Księciem?

— A cóż ich obchodzi jego bredzenie? Enklawa Kansas obejmuje wielki obszar, lecz jałowy i nie zamieszkany. Dlaczego Władcy Es Toch mieliby mieszać się do jego spraw? Sądzę, że traktują go jak niemądrego chłopca, paplającego i chełpiącego się.

— Czy ty traktujesz go tak samo?

— Cóż… widziałeś, jak wczoraj przeleciał tędy stratolot?

— Tak, widziałem.

Stratolot — pierwszy, jaki Falk widział, choć znał już jego pulsujący warkot — przeleciał wczoraj wprost nad domem na takiej wysokości, że był widoczny przez kilka minut. Domownicy Księcia wybiegli do ogrodu uderzając w rondle i potrząsając kołatkami, dzieci i psy wyły, a Książę na najwyższym balkonie z namaszczeniem szył seriami ogłuszających rac, dopóki statek nie zniknął za mrocznym, zachodnim widnokręgiem.

— Są tak głupi jak Basnasska, a ten starzec jest szalony. Książę nie chciał jej widzieć, ale jego poddani traktowali Estrel nadzwyczaj

dobrze, toteż uraza brzmiąca w jej głosie zdziwiła go.

— Basnasska zapomnieli starych zwyczajów ludzi — powiedział — ci ludzie zaś pamiętają je, być może aż za dobrze. — Uśmiechnął się: — Tak czy inaczej statek odleciał.

— Nie dlatego, że odstraszyli go racami — odparła poważnie, jak gdyby chcąc go przed czymś ostrzec. Przyglądał się jej przez chwilę. Było oczywiste, że nie dostrzegła nic z obłąkanego, pełnego poezji dostojeństwa owych rac, które, paradoksalnie — jak zaćmienie Słońca zwykłym cieniom — przydawały godności statkowi Shinga. Dlaczego nie cieszyć się światłem rac w cieniu wszechogarniającej klęski? Lecz ona od czasu choroby i utraty jadeitowego amuletu była niespokojna i smutna, a pobyt tutaj, który tak cieszył Falka, był dla niej udręką.

— Pójdę i powiem Księciu, że odchodzimy — zwrócił się do niej łagodnie i pozostawiając ją pod wierzbami obsypanymi już perełkami żółtozielonych pączków, pomaszerował przez ogrody w stronę wielkiego domu. Pięć długonogich, czarnych psów o silnych barkach dreptało wraz z nim; straż honorowa, której wolałby nie spotkać opuszczając to miejsce.

Zastał Księcia Kansas czytającego w sali tronowej. Krąg na wschodniej ścianie sali w ciągu dnia lśnił zimnym cętkowanym srebrem, jak jakiś wewnętrzny domowy księżyc, i tylko nocą promieniował łagodnym słonecznym ciepłem i światłem. Tron z polerowanego kopalnego drewna z południowych pustyń stał na wprost niego. Tylko owej pierwszej nocy Falk widział Księcia zasiadającego na tronie. Teraz siedział na jednym z krzeseł stojących przy wzorcu, a za jego plecami nie zasłonięte, wysokie na dwadzieścia stóp okno wyglądało na zachód. Wznosiły się tam dalekie, ciemne góry, ze szczytami błyszczącymi śniegiem.

Książę uniósł swą wyrazistą twarz i wysłuchał tego, co Falk miał mu do powiedzenia. Zamiast odpowiedzi dotknął książki, którą czytał; nie jednej z tych przepięknych zdobionych szpul projekcyjnych, lecz niewielkiej, ręcznie pisanej książki z oprawionego papieru.

— Czy znasz ten Kanon?

Falk spojrzał tam, gdzie wskazywał Książę, i odczytał:

> To, czego boi się człowiek
> zaprawdę jest przerażające
> O, pustko!
> Ty jeszcze nie
> jeszcze nie sięgnęłaś swych granic!

— Znam ten Kanon, Książę. Miałem go w plecaku, zanim wyruszyłem w tę podróż. Ale nie potrafię odczytać na twojej kopii karty po lewej stronie.

— Są to znaki języka, w jakim po raz pierwszy został spisany, pięć lub sześć tysięcy lat temu. To język Żółtego Cesarza, mego przodka. Straciłeś swój egzemplarz? Weź zatem mój. Myślę jednak, że i ten utracisz; kiedy idziesz Drogą, inne drogi się nie liczą. O, pustko! Dlaczego zawsze mówisz prawdę, Opalooki?

— Nie wiem… — Tak naprawdę, chociaż postanowił, że nie będzie kłamał, bez względu na to, z kim przyjdzie mu rozmawiać lub jak niepewna wydawać może się prawda, nie wiedział, dlaczego podjął taką decyzję. — Może… może dlatego, że użyć broni wroga oznacza przyjąć reguły jego gry…

— Och, oni zwyciężyli w tej grze już dawno temu… Więc zdecydowałeś się iść? Idź zatem; tak, chyba już czas… Lecz twoją towarzyszkę zatrzymam tu jeszcze na jakiś czas.

— Przyrzekłem, że pomogę odszukać jej rodaków.

— Rodaków? — Twarda, ciemna twarz zwróciła się ku niemu. — Na co ci ona?

— Jest Wędrowcem.

— A ja jestem niedojrzałym orzechem, ty rybą, a tamte góry są zrobione z pieczonych owczych bobków! Trzymaj się swej drogi. Mów prawdę i słuchaj prawdy. Zbieraj owoce w mych kwitnących sadach, kiedy będziesz szedł na zachód, Opalooki, i pij mleko z tysiąca mych studni w cieniu ogromnych paprotników. Czyż nie władam miłym królestwem? Wśród miraży i pyłu droga wiedzie prosta na zachód ku ciemności. Co cię z nią wiąże. pożądanie czy lojalność?

— Przebyliśmy razem długą drogę.

— Nie ufaj jej!

— Ofiarowała mi swą pomoc i nadzieję, jesteśmy towarzyszami. Ufamy sobie, jakżeż mógłbym ją zawieść?

— Och, głupcze, och, pustko! — westchnął Książę Kansas. — Dam tobie dziesięć kobiet, aby ci towarzyszyły do Siedziby Kłamstwa; z lutniami, fletami, tamburynami i pigułkami antykoncepcyjnymi. Dam tobie pięć wiernych przyjaciół uzbrojonych w race. Dam tobie psa, naprawdę dam, żywą skamieniałość, psa, aby był twoim prawdziwym towarzyszem. Czy wiesz, dlaczego psy wymarły? Bo były lojalne, wierne i ufały. Idź sam, człowieku!

— Nie mogę.

— Więc rób, jak chcesz. Tutaj gra skończyła się. — Książę wstał, podszedł do tronu pod księżycowym kręgiem i zasiadł na nim. Nawet nie odwrócił głowy, kiedy Falk chciał się z nim pożegnać.

VI

Powodowany owym samotnym wspomnieniem samotnego szczytu uosabiającego słowo „góra” Falk wyobrażał sobie, że jeśli tylko osiągną góry, tym samym znajdą się w Es Toch; nie zdawał sobie sprawy, że najpierw muszą przebyć las skalnych kolumn podtrzymujących niebo kontynentu. Pasma gór wypiętrzały się; dzień po dniu wpełzali coraz wyżej w świat skalnych szczytów, a ich cel wciąż leżał wyżej i dalej na południowy zachód. Wśród lasów, potoków i zanurzonych w chmurach ośnieżonych granitowych stoków co jakiś czas napotykali niewielki obóz lub wioskę. Często nie mogli ich wyminąć, gdyż nie pozwalała na to droga, którą szli. Jechali teraz na mułach, królewskim darze Księcia, ofiarowanych im przy odjeździe i nikt ich nie zatrzymywał. Estrel powiedziała, że ci górale, żyjący w przedsionku siedziby Shinga, byli ostrożnym ludem, ani wrogim, ani życzliwym dla obcych i najlepiej było pozostawić ich samych sobie.

Obozowanie w kwietniu w górach nie było przyjemne, dokuczał bowiem chłód, toteż skwapliwie skorzystali z nieoczekiwanego zaproszenia, jakie otrzymali od mieszkańców jednej z wiosek. Była to maleńka sadyba: cztery drewniane domy nad spienionym, huczącym potokiem w kanionie ukrytym w cieniu wielkich, spowitych burzowymi chmurami szczytów. Lecz miała swą nazwę, Besdio, i Estrel była tutaj kiedyś, wiele lat temu — jak mu powiedziała — kiedy była dzieckiem. Ludzie z Besdio, z których paru było tak samo jasnoskórych i rudowłosych jak Estrel, zamienili z nią kilka zdań. Rozmawiali w języku Wędrowców. Falk, który w rozmowie z Estrel zawsze używał lingalu, nie miał okazji nauczyć się tego języka Zachodu. Estrel wyjaśniła, skąd i dokąd idą, wskazując na wschód i zachód; górale kiwali obojętnie głowami przyglądając się jej uważnie, natomiast na Falka spoglądali tylko kątem oka. Zadali kilka pytań, wskazali miejsce na nocleg i hojnie obdarowali żywnością; wszystko to jednak czynili z jakąś chłodną obojętnością, która wzbudziła w Falku nieokreślony niepokój.

Niemniej jednak obora była ciepła, ogrzana ciepłem bijącym od bydła, kóz i drobiu, stłoczonych tam w posapującym, cuchnącym, zgodnym towarzystwie. Podczas gdy Estrel rozmawiała jeszcze z ich gospodarzami, Falk umknął do obory i rozgościł się tam. Na strychu, ponad przegrodami dla zwierząt, ułożył siano w luksusowe podwójne łoże i rozłożył na nim śpiwory. Kiedy przyszła Estrei, prawie już spał, lecz rozbudził się na tyle, aby zauważyć:

— Cieszę się, że przyszłaś… Czuć tu coś, tylko nie wiem co.

— A ja czuję coś jeszcze.

Nigdy dotąd Estrel nie zbliżyła się tak bardzo do granicy żartu;

więc Falk przyjrzał się jej nieco zdziwiony.

— Jesteś szczęśliwa zbliżając się do Miasta, prawda? — zapytał. — Też chciałbym…

— Dlaczego nie miałabym być? Mam nadzieję odnaleźć tam rodaków, a jeśli mnie się nie uda, pomogą mi Władcy. I ty również odnajdziesz tam to, czego szukasz. Znowu obejmiesz swe dziedzictwo.

— Moje dziedzictwo? Myślałem, że uważasz mnie za Wytartego?

— Ciebie? Nigdy! Chyba sam nie wierzysz, Falk, że to Shinga byli tymi, którzy tak okrutnie zabawili się twoim umysłem? Powiedziałeś to już kiedyś, jeszcze na równinach, nie zrozumiałam cię wtedy. Jak możesz uważać siebie za Wytartego, za jakiegokolwiek zwyczajnego człowieka? Ty nie jesteś Ziemianinem!

Rzadko zdarzało się jej mówić tak stanowczo. To, co powiedziała, dodało mu otuchy, współgrając z jego własną nadzieją. Lecz sposób, w jaki to powiedziała, zaintrygował go, gdyż od dłuższego już czasu była milcząca i nieszczęśliwa. Potem dostrzegł coś zwisającego na rzemieniu zawiązanym wokół jej szyi.

— Podarowali ci amulet.

To było źródło jej optymizmu.

— Tak — powiedziała, spoglądając z zadowoleniem na wisiorek. — Wyznajemy tę samą wiarę. Teraz wszystko pójdzie już dobrze.

Uśmiechnął się w duchu nad jej przesądem, lecz był zadowolony, że przyniosło to jej pociechę. Kiedy zasypiał, miał świadomość, że Estrel czuwa wpatrując się w ciemność pełną odoru, cichych oddechów i obecności zwierząt. Kiedy kogut zapiał przed świtem, słyszał, jak szepcze modlitwy do swego amuletu w języku, którego nie rozumiał.

Wyruszyli w drogę, obierając ścieżkę, która wiła się na południe od zanurzonych w ciemnych chmurach wierzchołków. Do przebycia pozostał im bastion wielkiej góry; wspinali się nań przez cztery dni, aż w końcu powietrze stało się rzadkie i lodowate, niebo ciemnoniebieskie, a kwietniowe słońce błyszczało oślepiająco na kędzierzawych grzbietach sunących po niebie baranków, których cienie zdawały się skubać trawę leżących daleko w dole łąk. Potem, kiedy osiągnęli już najwyższy punkt przełęczy, niebo pociemniało i na nagie skały spadł śnieg pokrywając rozległe puste zbocza czerwienią i szarością. Na przełęczy stała chata dla podróżnych, w której stłoczyli się wraz z mułami, aż w końcu śnieg przestał padać i mogli zacząć schodzić.

— Teraz będzie już łatwo — powiedziała Estrel odwracając się, aby spojrzeć na Falka ponad podskakującym zadem muła. W odpowiedzi jego muł nastrzygł uszami, a on uśmiechnął się, chociaż ogarnął go strach, który stawał się coraz to większy, w miarę jak

posuwali się dalej w dół, ku Es Toch.

A zbliżali się coraz bardziej i hardziej — ścieżka. rozwinęła się w drogę — widzieli chaty, zagrody, domy, lecz niewielu mieszkańców, gdyż zimna i deszczowa pogoda zatrzymywała ludzi pod dachami. Tylko dwoje wędrowców podążało dalej na grzbietach idących truchtem mułów, wśród zacinającego deszczu. Trzeci z kolei poranek od chwili, gdy zeszli z przełęczy, zaświtał jasny i pogodny. Mniej więcej po dwóch godzinach jazdy Falk zatrzymał muła i spojrzał pytająco na Estrel.

— O co chodzi, Falk?

— Dotarliśmy… To jest Es Toch, prawda?

Wokół nich rozpościerała się równina, choć odległe szczyty zamykały horyzont z każdej strony. Pastwiska i pola, przez które dotychczas jechali, ustąpiły miejsca domom, całemu mrowiu domów. Były tam chaty, szałasy, piętrowe budynki, gospody, warsztaty i stragany, gdzie wytwarzano, sprzedawano i wymieniano towary. Wszędzie było pełno dzieci i dorosłych, tłoczących się na głównej ulicy i dochodzących do niej bocznych drogach; piesi, konni, na mułach i śmigaczach, wszyscy w bezustannym ruchu. Był to tłum — jednak rzadki, ospały i zaabsorbowany, brudny, ponury i jaskrawy, przewalający się pod błyszczącym ciemnym niebem górskiego poranka.

— Mamy jeszcze z górą milę do Es Toch.

— Więc czym jest to miasto?

— To peryferie miasta.

Falk rozglądał się dookoła, skonsternowany i podniecony. Droga, którą szedł tak długo od Domu we Wschodnim Lesie, zmieniła się teraz w ulicę, prowadzącą aż nadto szybko do swego końca. Gdy jechali na mułach środkiem ulicy, ludzie przyglądali się im, ale nikt nie zatrzymał się ani nie odezwał. Przechodzące kobiety odwracały twarze. Tylko nieliczne obdarte dzieci gapiły się na nich lub wytykały palcami, aby zaraz potem zniknąć z krzykiem w zawalonych odpadkami zaułkach czy za jakąś chatą. Nie tego spodziewał się Falk — lecz czegóż właściwie oczekiwał?

— Nie wiedziałem, że na świecie jest aż tyle ludzi — powiedział w końcu. — Roją się wokół Shinga jak muchy nad gnojem.

— Larwy much najlepiej rozwijają się na gnoju — odparła sucho Estrel. Potem, spoglądając mu w oczy, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego dłoni. — Ci tutaj to wyrzutki i pochlebcy, motłoch trzymany za murami. Wjedźmy tylko do miasta, do prawdziwego Miasta. Przebyliśmy długą drogę, żeby je zobaczyć…

Jechali dalej i wkrótce zobaczyli sterczące ponad dachami chat i błyszczące w słońcu, pozbawione okien mury wysokich wież.

Serce Falka biło ciężko; zauważył, że Estrel mówiła przez chwilę

do amuletu, który otrzymała w Besdio.

— Nie możemy wjechać do miasta na mułach — odezwała się. — Zostawimy je tutaj. — Zatrzymali się przy walącej się publicznej stajni. Estrel rozmawiała przez chwilę w języku Zachodu z jej właścicielem, w widoczny sposób do czegoś go nakłaniając. Kiedy Falk zapytał, o co prosiła, odparła:

— Żeby przyjął nasze muły w zastaw.

— Zastaw?

— Jeśli nie zapłacimy za ich przechowanie, zatrzyma je. Nie masz pieniędzy, prawda?

— Nie — odparł Falk pokornie. Nie tylko nie miał pieniędzy, nigdy ich nawet nie widział. Chociaż w lingalu istniało słowo oznaczające tę rzecz, to jego leśny dialekt nie znał takiego pojęcia.

Stajnia była ostatnim budynkiem na skraju pola zawalonego gruzem i odpadkami, oddzielającego miasto ruder od wysokiego, długiego muru z granitowych bloków. W murze znajdowało się jedno wejście dla pieszych. Wielkie stożkowate kolumny strzegły wrót prowadzącyeh do Es Toch. Na kolumnie po lewej stronie wejścia widniała wyryta w lingalu inskrypcja: CZE ŚĆ DLA ŻYCIA. Na prawej kolumnie wyryto dłuższą sentencję, lecz liter, z jakich składał się napis, Falk nigdy przedtem nie widział. Nikt nie przechodził przez wejście; nie było straży.

— Kolumna Kłamstwa i Kolumna Tajemnicy — powiedział głośno, kiedy przechodził pomiędzy nimi, zakazując sobie bać się. Wkroczył do Es Toch, zobaczył je i stanął bez ruchu, nie mogąc wykrztusić słowa.

Miasto Władców Ziemi zbudowane było na dwóch skrajach kanionu — niewiarygodnego urwiska przecinającego góry, wąskiego, fantastycznego, którego czarne, pocięte zielonymi żyłami ściany opadały straszliwą przepaścią pół mili w dół ku srebrnej, błyszczącej wstążce rzeki wijącej się wśród ciemnych głębi. Na brzegach przeciwległych urwisk wznosiły się wieże miasta, chyba w ogóle nie wspierając się na ziemi, spięte ponad otchłanią delikatnymi przęsłami mostów. Wieże, estakady i mosty kończyły się w miejscu, gdzie mur zamykał z drugiej strony miasto, tuż przed przyprawiającym o zawrót głowy zakrętem kanionu. Helikoptery na przezroczystych łopatkach wirników ślizgały się nad przepaścią, a śmigacze migotały wzdłuż ledwo widocznych ulic i smukłych mostów. Słońce wciąż niezbyt wysoko wzniesione nad wschodnimi szczytami, tu zdawało się zaledwie rzucać cienie; wysokie zielone wieże lśniły, jak gdyby były półprzezroczyste.

— Chodź — powiedziała Estrel wysuwając się przed niego z błyszczącymi oczyma. — Nie ma się czego bać. Ruszył za nią. Na ulicy, która opadała ku wznoszącym się na skraju urwiska wieżom, nie

było nikogo. Rzucił okiem za siebie, lecz nie dostrzegł już wejścia między kolumnami.

— Dokąd idziemy?

— Znam tu pewne miejsce, dom, gdzie przychodzą moi rodacy.

Ujęła go za rękę, pierwszy raz w ciągu tej całej długiej drogi, którą wspólnie przebyli, i przywarła do niego nie podnosząc oczu przez cały czas, kiedy szli w dół długiej, zygzakowatej ulicy. Po ich prawej stronie wyłaniały się budynki, coraz wyższe w miarę jak zbliżali się do śródmieścia, po lewej zaś, nie zabezpieczona żadnym murem czy barierą, opadała wśród cieni zawrotna przepaść; czarna otchłań pomiędzy świetlanymi, usadowionymi jak ptaki na grzędach wieżami.

— Ale jeśli będą nam tutaj potrzebne pieniądze…

— Zaopiekują się nami.

Dziwnie i bogato poubierani ludzie mijali ich na śmigaczach, wystające z pionowych ścian lądowiska migotały tnącymi światło wirnikami helikopterów. Wysoko ponad przepaścią zawarczał wzbijający się w niebo stratolot.

— Czy wszyscy oni to… Shinga?

— Niektórzy.

Nie mając o tym pojęcia, cały czas trzymał wolną rękę na rękojeści lasera. Nie spoglądając na niego, lecz uśmiechając się z lekka, Estrel powiedziała:

— Nie używaj tutaj miotacza, Falk. Przybyłeś tu, aby odzyskać swoją pamięć, a nie ją stracić.

— Dokąd idziemy, Estrel?

— Już jesteśmy. To tutaj.

— Tutaj? Przecież to pałac.

Świetlana, zielonkawa, pozbawiona okien gładka ściana wznosiła się prosto w niebo. Przed nimi widniał prostokąt otwartego wejścia.

— Znają mnie tutaj. Nie bój się. Chodź ze mną. Przywarła jeszcze mocniej do jego ramienia. Zawahał się. Spoglądając do tyłu, w górę ulicy, zauważył kilku mężczyzn, pierwszych pieszych w tym mieście, którzy obserwując ich, z wolna się do nich zbliżali. Widok ten wzbudził w nim panikę i razem z Estrel pospiesznie wszedł do budynku, przechodząc przez automatyczne wewnętrzne wejście, które rozwarło się przed nimi. Już w środku, opanowany poczuciem omyłki, wiedząc, że popełnił straszliwy błąd, zatrzymał się.

— Co to jest, Estrel?… Co to za miejsce?

Znajdowali się w wysokiej sali wypełnionej zawiesistym, zielonkawym światłem, przyćmionym jak światło podwodnej jaskini; prowadzącym do niej wejściem i korytarzami zbliżali się ludzie, spiesząc ku nim. Estrel odskoczyła od niego. W panice odwrócił się do drzwi, którymi wszedł — były zamknięte i pozbawione klamek.

Niewyraźne ludzkie postacie wpadły do sali, biegnąc ku niemu z krzykiem. Wsparł się o zamknięte drzwi i sięgnął po laser. Ale miotacz zniknął. Trzymała go Estrel. Stała za mężczyznami, którzy otaczali Falka. Kiedy usiłował przedrzeć się do niej i kiedy pochwycili go i bili, wówczas przez krótką chwilę słyszał coś, czego nigdy przedtem nie zdarzyło mu się słyszeć: jej śmiech.

Uszy rozsadzał mu nieznośny dźwięk, w ustach czuł metaliczny posmak. Głowa chwiała mu się, kiedy ją uniósł. Widział jak przez mgłę i nie bardzo mógł się swobodnie poruszyć. Wkrótce uświadomił sobie, że właśnie ocknął się z omdlenia i pomyślał, że nie może się poruszać, ponieważ jest ranny lub oszołomiony narkotykami. Potem zobaczył, że jego nadgarstki, tak samo jak i kostki, są skute krótkim łańcuchem. Zawroty głowy nasiliły się. Jakiś huczący głos grzmiał teraz w jego uszach, powtarzając bez końca to samo słowo: *ramarren-ramarren-ramarren.* Wytężył wszystkie siły i krzyknął, usiłując odegnać od siebie ów grzmiący głos, który napełniał go przerażeniem. Światło rozbłysło mu w oczach i przez ryczący w jego głowie głos usłyszał kogoś krzyczącego jego własnym głosem: „Nie jestem…”

Kiedy znowu doszedł do siebie, wszędzie panowała niczym nie zmącona cisza. Bolała go głowa i wciąż jeszcze widział nie całkiem wyraźnie, lecz na jego rękach i nogach nie było już kajdan — jeśli kiedykolwiek tam były — i wiedział, że ktoś go obronił, udzielił schronienia i opatrzył. Wiedzieli, kim był, i zapewnili mu gościnę. To jego ludzie przyszli po niego; był tu bezpieczny, pielęgnowany, kochany i wszystko, co musiał teraz zrobić, to odpoczywać i spać, spać i odpoczywać, podczas gdy miękka, głęboka cisza mruczała czule w jego głowie: marren-marren-marren…

Przebudził się. Zajęło mu to chwilę, lecz w końcu zbudził się i zebrał wszystkie siły, aby usiąść. Musiał na pewien czas objąć głowę rękoma, aby zdusić przeszywający ból i przeczekać zawroty głowy wywołane poruszeniem, tak że początkowo doszło do niego tylko tyle, że siedzi na podłodze w jakimś pokoju, podłodze, która zdawała się ciepła i ustępliwa, niemal miękka, jak bok jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Potem uniósł głowę, wytężył wzrok na tyle, aby widzieć ostro, i rozejrzał się wokół siebie.

Siedział sam na podłodze pośrodku pokoju tak niesamowitego, że przez chwilę na nowo poczuł zawroty głowy. Pokój był zupełnie pusty. Ściany, podłoga i sufit były całe z jakiegoś półprzezroczystego materiału, który sprawiał wrażenie miękkiego i falującego, jak gruby, wielowarstwowy, bladozielony welon, w dotyku jednak twardy i gładki. Dziwaczne ryty, fałdy i pręgi tworzyły na całej podłodze ozdobne wzory, niewyczuwalne dla przesuwającej się po nich ręki; były to albo łudzące wzrok obrazy, albo też pokrywała je gładka, przezroczysta powierzchnia. Jakieś mylące oczy, ukośne cieniowania i

quasi-równoległe linie użyte w charakterze ozdób powodowały, że kąty, pod którymi stykały się ściany, przeczyły zwykłej geometrii; uznanie ich za kąty proste wymagało wysiłku woli, który być może był skutkiem zhzdzenia, pomimo wszystko bowiem wcale nie musiały być kątami prostymi. Lecz żadna z tych dekoracyjnych sztuczek nie dezorientowała Falka tak, jak fakt, że cały pokój był półprzezroczysty. Niewyraźnie, jak gdyby patrzył w głąb sadzawki pełnej intensywnie zielonej wody, widział pod stopami inny pokój. Na suficie jaśniała plama światła, która mogła być księżycem, zamazanym i nasączonym zielenią przez jeden lub więcej leżących na górze stropów. Plamy i smugi światła przenikające przez jedną ze ścian pokoju były zupełnie inne, odnosił wrażenie, że rozpoznaje w nich poruszające się światła helikopterów i stratolotów. Światła za pozostałymi trzema ścianami były o wiele bardziej przyćmione i zamazane welonami dalszych ścian, korytarzy i pokoi. W tych pokojach poruszały się jakieś cienie. Widział je, lecz nie mógł rozpoznać szczegółów: rysy, stroje, kolory, rozmiary — wszystko było zamazane. Jakiś ciemny kleks gdzieś w zielonych głębiach niespodziewanie urósł, potem zmalał, zieleniejąc, ciemniejąc i przepadając w labiryncie szmaragdowej mgły. Widzialność bez możliwości rozpoznania, samotność bez prywatności. Niezwykle piękne było to ukryte migotanie światła i kształtów wśród półprzezroczystych płaszczyzn zieleni, i niezwykle denerwujące.

Nagle w jaśniejszej plamie na najbliższej ścianie Falk uchwycił kątem oka jakiś ruch. Odwrócił się szybko i wstrząśnięty strachem ujrzał wreszcie coś jasno i wyraźnie: twarz — dziką, pokrytą bliznami twarz z dwoma wytrzeszczonymi, nieludzkimi, żółtymi oczyma.

— Shinga — wyszeptał w ślepym przerażeniu. Jakby szydząc straszne usta wypowiedziały bezgłośnie „Shinga” i wtedy zrozumiał, że było to odbicie jego własnej twarzy.

Podniósł się sztywno, podszedł do lustra i przesunął po nim ręką, aby się upewnić. To było lustro, schowane w wypukłej ramie, tak pomalowanej, że wydawała się bardziej płaska niż w rzeczywistości była.

Odwrócił się, słysząc za sobą jakiś dźwięk. Po drugiej stronie pokoju, niezbyt wyraźna w przyćmionym, bezcieniowym świetle dobywającym się z ukrytych źródeł, lecz niewątpliwie tam obecna, stała jakaś postać. Nie było widać wejścia, lecz mężczyzna w jakiś sposób musiał wejść do pokoju i teraz stał przyglądając się Falkowi; bardzo wysoki, w białym płaszczu lub pelerynie opadającej z szerokich ramion, siwowłosy, o czystych, ciemnych, przenikliwych oczach. Kiedy odezwał się, jego głos był głęboki i łagodny:

— Witamy cię, Falk. Od dawna cię oczekiwaliśmy, od dawna prowadziliśmy i strzegliśmy. — Światło w pokoju zaczęło jaśnieć czystym, wzbierającym blaskiem. W głębokim głosie pojawiła się nuta

egzaltacji. — Odrzuć strach i witaj wśród nas, Wysłanniku. Pozostawiłeś za sobą ciemny gościniec i wkroczyłeś na drogę, która zaprowadzi cię do twego domu! — Światło jaśniało coraz bardziej, aż w końcu oślepiło Falka i zmusiło do mrugania. Kiedy wreszcie podniósł oczy, spoglądając z ukosa, mężczyzny już nie było.

Ni stąd, ni zowąd przyszły mu do głowy słowa wypowiedziane kilka miesięcy temu przedtem przez starego człowieka z Lasu: „Straszliwa ciemność jasnych świateł Es Toch".

Chociaż oszukany i oszołomiony narkotykami, nie pozwoli więcej bawić się sobą. Okazał się głupcem przychodząc tutaj i nigdy nie wydostanie się stąd żywy, ale nie pozwoli, aby się nim więcej zabawiano. Ruszył przed siebie chcąc odnaleźć ukryte drzwi i pójść za mężczyzną. Z lustra odezwał się głos:

— Poczekaj jeszcze chwilę, Falk. Iluzje nie zawsze są kłamstwami. A ty przecież szukasz prawdy.

Szczelina w ścianie rozsunęła się, rozwarła w drzwi i do pokoju weszły dwie osoby. Pierwsza, drobna i mała, ubrana w ozdobne, niezwykle obcisłe spodnie z bufami na biodrach, kurtkę i dopasowaną czapeczkę, stawiała długie kroki. Druga, wyższa, spowita była w ciężką szatę i drobiła nogami przybierając taneczne pozy; długie, purpurowoczarne włosy spływały jej aż do pasa — jego pasa, musiał to być mężczyzna, bo głos, choć miękki, był głęboki.

— Wiesz, Strella, że będziemy filmowani?

— Wiem — odparł mały człowiek głosem Estrel. Zaledwie przemknęli oczyma po Falku; zachowywali się tak, jak gdyby byli sami.

— Więc co chciałeś powiedzieć, Kradgy?

— Chciałem zapytać, dlaczego zabrało ci to tak wiele czasu.

— Tak wiele? Jesteś niesprawiedliwy, mój panie. Jak miałam wytropić go w lesie, na wschód od Shorg, przecież to zupełna dzicz. Te głupie zwierzęta nie były w niczym pomocne, przez cały czas tylko paplały o Prawie. Kiedy w końcu zrzuciłeś mi detektor, byłam dwieście mil na północ od niego. A kiedy wreszcie go zlokalizowałam, kierował się prosto na terytorium Basnasska. Wiesz, że Rada zaopatruje ich w latające bomby i inną broń; żeby mogli przerzedzać szeregi Wędrowców i Solia-pachimów: Więc musiałam przyłączyć się do tego plugawego plemienia. Czy nie słuchałeś moich raportów? Przesyłałam je przez cały czas, dopóki nie straciłam nadajnika podczas przeprawy przez rzekę na południe od Enklawy Kansas. Chyba nagrywali moje raporty?

— Nie słuchałem żadnych nagrań. W każdym razie wszystko poszło na nic, cały ten czas i ryzyko, ponieważ przez wszystkie te tygodnie nie potrafiłaś przekonać go, żeby przestał się nas bać.

— Estrel — powiedział Falk. — Estrel!

Groteskowa i jakaś krucha w swych szatach odmieńca Estrel nie odwróciła się, nie dała żadnego znaku świadczącego o tym, że go słyszy. Dalej mówiła do otulonego togą mężczyzny. Dławiąc się wstydem i gniewem Falk wykrzyczał jej imię, a potem podszedł i chwycił ją za ramię — nie było nic oprócz zamazanej plamy świateł w powietrzu, niknącego kolorowego błysku.

Rozsuwane drzwi w ścianie wciąż były otwarte i Falk zobaczył przez nie następny pokój. Stał tam przyobleczony w długą szatę mężczyzna wraz z Estrel, oboje zwróceni doń plecami. Wyszeptał jej imię, a ona odwróciła się i spojrzała na niego. W jej wzroku nie było ani triumfu, ani wstydu; patrzyła spokojnie, śmiało, obojętnie i lekceważąco — jak zawsze.

— Dlaczego… dlaczego mnie okłamałaś? — zapytał. — Dlaczego mnie tu sprowadziłaś? — Wiedział dlaczego, wiedział, kim jest i kim zawsze był dla Estrel. To nie rozum mówił przez niego, lecz jego szacunek dla siebie samego i jego wierność, które w pierwszej chwili nie mogły dopuścić do świadomości i znieść takiej prawdy.

— Wysłano mnie, żebym cię tutaj sprowadziła. Sam chciałeś tu przyjść.

Usiłował zebrać myśli. Cały spięty, nie próbując zbliżyć się do niej, zapytał:

— Czy jesteś Shingą?

— Ja jestem — odezwał się ubrany w grube szaty mężczyzna, uśmiechając się uprzejmie. — Jestem Shingą. Wszyscy Shinga kłamią. Jeśli więc nim jestem, to kłamię, i w takim razie nie jestem Shingą, lecz nie-Shingą, który kłamie mówiąc, że nim jest. A może kłamstwem jest to, że wszyscy Shinga kłamią. Lecz ja naprawdę jestem Shingą i naprawdę kłamię. Ziemianie i inne zwierzęta również wiedzą, co to kłamstwo: jaszczurki zmieniają barwę, owady naśladują patyki, a flądry kłamią leżąc nieruchomo na piasku i upodabniając się do niego. Strella, ten tu jest głupszy od dziecka.

— O nie, Lordzie Kradgy, jest bardzo inteligentny — odparła Estrel jak zwykle cichym i uległym głosem. Mówiła o Falku tak, jak człowiek mówi o zwierzęciu.

Wędrowała z nim. jadła z nim, spała z nim. Spała w jego ramionach… Falk milczał, obserwując ją. A ona i wysoki obcy również stali bez słowa, nieporuszeni, jak gdyby oczekując znaku od niego, by dalej ciągnąć swoje przedstawienie.

Nie czuł do niej urazy. Niczego do niej nie czuł. Zwrócony był ku sobie: czuł się chory, fizycznie chory z upokorzenia. „Idź sam, Opalooki” — powiedział Książę Kansas. „Idź sam” — mówił Hiardan Pszczelarz. „Idź sam” — mówił Stary Słuchacz w lesie. „Idź sam, mój synu” — powiedział Zove. Kto wskazałby mu drogę, pomógł w jego poszukiwaniach, uzbroiłby w wiedzę, gdyby szedł przez prerie sam?

Jak wiele mógłby się dowiedzieć, gdyby nie zaufał dobrej woli i przewodnictwu Estrel?

Nie wiedział nic oprócz tego, że jest bezgranicznie otępiały i że Estrel go okłamała. Okłamywała go od początku, bez żadnych skrupułów, od chwili kiedy powiedziała mu, że jest Wędrowcem — nie, jeszcze przedtem: od momentu kiedy pierwszy raz go ujrzała i udawała, że nie wie, kim lub czym jest. Cały czas wiedziała i wysłano ją po to, aby upewnić się, że dotrze do Es Toch, i być może, aby przeciwdziałać wpływowi, jaki mogli wywrzeć na niego ci, którzy nienawidzą Shinga. Lecz dlaczego, myślał z bólem patrząc na nią, jak stała bez ruchu w drugim pokoju, dlaczego teraz nie kłamie?

— To bez znaczenia, co teraz mówię do ciebie — powiedziała jak gdyby czytając w jego myślach.

I być może czytała. Nigdy nie używali myślomowy, lecz jeśli była Shingą i posiadała mentalną moc Shinga, której zakres był dla ludzi jedynie przedmiotem przypuszczeń i domysłów, wówczas przez wszystkie tygodnie ich wspólnej wędrówki mogła być dostrojona do jego umysłu. Skąd miał wiedzieć? Nie było sensu jej pytać…

Z tyłu rozległ się jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył dwie osoby stojące w drugim końcu pokoju, niedaleko lustra. Mieli na sobie czarne togi z białymi kapturami i dwukrotnie przewyższali wzrostem człowieka.

— Bardzo łatwo cię oszukać — odezwał się pierwszy olbrzym.

— Musisz wiedzieć, że zostałeś oszukany — powiedział drugi.

— Jesteś tylko półczłowiekiem.

— Półczłowiek nie może poznać całej prawdy.

— Ten, kto nienawidzi, godzien jest, aby go okpić i ośmieszyć.

— Ten, kto zabija, godzien jest, aby go wytrzeć i zniewolić.

— Skąd przybyłeś, Falk?

— Czym jesteś, Falk?

— Gdzie jesteś, Falk?

— Kim jesteś, Falk?

Obaj giganci podnieśli kaptury pokazując, że nie było pod nimi nic oprócz cienia, cofnęli się do ściany, weszli w nią i zniknęli.

Estrel podbiegła do niego z drugiego pokoju, objęła go przyciskając się do niego i całując z rozpaczliwą pożądliwością.

— Kocham cię, pokochałam cię, jak tylko cię zobaczyłam. Zaufaj mi, Falk, zaufaj! — Potem oderwała się od niego jęcząc: — Zaufaj mi! — i oddaliła się jak gdyby ciągnięta przez jakąś potężną, niewidzialną siłę, wirującą trąbę powietrzną, która wessała ją i przyciągnęła przez rozsunięte drzwi. Drzwi zamknęły się za nią tak cicho jak zamykane usta.

— Rozumiesz oczywiście — odezwał się wysoki mężczyzna z drugiego pokoju — że jesteś pod działaniem środków

halucynogennych. — W jego szepczącym, precyzyjnie wymawiającym słowa głosie pobrzmiewała nuta sarkazmu i znudzenia. — Zwłaszcza sobie nie ufasz, co? — Uniósł długie szaty i obfitą strugą oddał mocz, po czym wyszedł z pokoju poprawiając ubranie i przygładzając długie, falujące włosy.

Falk stał, obserwując zielonkawą podłogę drugiego pokoju, która stopniowo wchłaniała mocz, aż w końcu nie pozostało po nim ani śladu.

Skrzydła drzwi zaczęły wolno zbliżać się do siebie, zwężając szczelinę wejścia. Wyrwał się z letargu i przebiegł przez drzwi, zanim się zamknęły. Pokój, w którym stali Estrel i obcy, był dokładnie taki sam jak ten, który przed chwilą opuścił, być może nieco mniejszy i ciemniejszy. Rozsuwane drzwi w jego przeciwległej ścianie były jeszcze otwarte, lecz z wolna zamykały się. Przebiegł przez pokój i przez drzwi i znalazł się w trzecim pokoju, takim samym jak tamte, tylko być może odrobinę mniejszym i ciemniejszym. Szczelina w przeciwległej ścianie zamykała się powoli, więc przedostał się przez nią do jeszcze jednego pokoju, mniejszego i ciemniejszego niż ostatni, a z niego przecisnął się do innego małego, ciemnego pokoju, a stąd wpełzł w małe, ciemne lustro i upadł wrzeszcząc w obezwładniającym przerażeniu do białego, porytego bliznami, gapiącego się nań księżyca.

Zbudził się wypoczęty, rześki i nieco zakłopotany w wygodnym łóżku, stojącym w jasnym, pozbawionym okien pokoju. Usiadł i wówczas jak na jakiś znak zza przepierzenia wybiegło dwóch mężczyzn, dwóch dużych mężczyzn o rzucającym się w oczy ociężałym wyglądzie.

— Witamy, Lordzie Agad! Witamy, Lordzie Agad! — mówili na przemian, a potem: — Chodź z nami, chodź z nami. — Falk wstał, zupełnie nagi, gotów do walki — w tej chwili jedyną jego myślą było wspomnienie walki i pojmania w wejściu do sali pałacu — lecz ci dwaj nie mieli zamiaru użyć siły. — Chodź, chodź — powtarzali po kolei, dopóki nie poszedł z nimi. Wyprowadzili go, wciąż nagiego, z pokoju, a potem wiedli długim, czystym korytarzem i dalej przez salę o lustrzanych ścianach, po schodach, które okazały się rampą, pomalowaną tak, aby wyglądała na schody, przez inny korytarz i po innych rampach, aż w końcu weszli do obszernego, umeblowanego pokoju o niebieskozielonych ścianach, jedynego pomieszczenia, które jarzyło się słonecznym światłem. Jeden z mężczyzn zatrzymał się przed wejściem, a drugi wszedł do środka razem z Falkiem. — Tu jest ubranie, jedzenie i picie. Teraz… teraz jedz, pij. Teraz… teraz proś, o co chcesz.

W porządku? — Wpatrywał się w Falka uporczywie, lecz bez jakiegoś szczególnego zainteresowania.

Na stole stał dzban z wodą i Falk przede wszystkim napił się, gdyż

męczyło go pragnienie. Rozejrzał się po dziwnym, przyjemnym pokoju, umeblowanym sprzętami z ciężkiego, przezroczystego jak szkło plastyku, po jego pozbawionych okien, przeświecających ścianach, a potem przyjrzał się uważnie i z ciekawością swej straży czy też świcie. Był to duży mężczyzna o obojętnej twarzy, z bronią u pasa.

— Jak brzmi Prawo? — zapytał odruchowo. Wpatrzony w niego mężczyzna odpowiedział posłusznie i bez zdziwienia:

— Nie zabijaj.

— Ale ty nosisz broń.

— Och, ta broń tylko obezwładnia, nie zabija — odparł strażnik i roześmiał się. Modulacja jego głosu była dziwnie dowolna, nie powiązana ze znaczeniem wypowiadanych słów, a między słowami i śmiechem była mała pauza. — Teraz jedz, pij, oczyść się. Tu są rzeczy. Widzisz, są rzeczy.

— Czy jesteś Wytartym?

— Nie. Jestem Kapitanem Straży Przybocznej Prawdziwych Władców i jestem podłączony do komputera Numer Osiem. Teraz jedz, pij, oczyść się.

— Dopiero jak opuścisz pokój. Znowu pauza.

— Och, tak, dobrze, Lordzie Agad — powiedział duży mężczyzna i znowu roześmiał się jak połaskotany. Być może łaskotało go, gdy komputer odezwał się w jego mózgu. Wycofał się. Falk widział niewyraźne, ciężkie cienie dwóch strażników przez wewnętrzną ścianę pokoju; czekali na korytarzu po obu stronach drzwi. Odnalazł łazienkę i wykąpał się. Czyste ubranie leżało na wielkim łożu zajmującym cały jeden koniec pokoju; były to długie, luźne szaty ozdobione czerwonymi, karmazynowymi i fioletowymi wymyślnymi wzorami. Falk przyjrzał im się z odrazą, mimo to wciągnął je na siebie. Jego sponiewierany plecak leżał na stole z przezroczystego, oblanego złotem plastyku.

Zawartość wydawała się pozornie nietknięta, jednak jego rzeczy i broń zniknęły. Stół zastawiono jedzeniem, a on był głodny. Ile czasu minęło od chwili, kiedy przekroczył drzwi, które się za nim zamknęły? Nie miał pojęcia, lecz głód mówił mu, że sporo, więc zabrał się do jedzenia. Jedzenie było dziwaczne, mocno przyprawione, przetworzone, obficie polane sosem, nie do rozpoznania, zjadł jednak wszystko, a mógłby jeszcze więcej. Ale nie było więcej, a ponieważ zrobił wszystko, o co go proszono, uważniej rozejrzał się po pokoju. Nie widział już niewyraźnych cieni strażników za półprzezroczystymi niebieskozielonymi ścianami, zaczął więc dokładnie przeszukiwać pokój, kiedy nagle zatrzymał się w miejscu. Ledwie widoczna szczelina drzwi zaczęła się rozwierać, a za nimi poruszył się jakiś cień. Drzwi rozwarły się w wysoki owal i ktoś wszedł do pokoju.

Dziewczyna, pomyślał początkowo Falk, a potem zobaczył, że był to chłopiec w wieku około szesnastu lat, ubrany w takie same jak i on luźne szaty. Nie zbliżył się do Falka, lecz zatrzymał za progiem i wyciągnął przed siebie ręce z dłońmi skierowanymi ku górze, jednocześnie wyrzucając z ust potok niezrozumiałego szwargotu.

— Kim jesteś?

— Orry — odparł młodzieniec. — Orry! — I znowu niezrozumiałe szwargotanie. Był wątły i podniecony, a kiedy mówił, jego głos drżał ze wzruszenia. Potem uklęknął na obu kolanach i nisko skłonił głowę w geście, jakiego Falk nigdy przedtem nie widział, choć jego znaczenie było jasne: była to pełna, pierwotna forma gestu stosowanego w szczątkowej postaci przez Pszczelarzy i poddanych Księcia Kansas.

— Używaj lingalu — odezwał się gwałtownie Falk, zszokowany i zażenowany. — Kim jesteś?

— Jestem Har-Orry-Prech-Ramarren — wyszeptał chłopiec.

— Wstań. Podnieś się. Ja nie… Czy mnie znasz?

— Prech Ramarren, nie pamiętasz mxiie? Jestem Orry, syn Har Wedena…

— Jak mam na imię?

Chłopiec uniósł głowę i Falk wbił w niego wzrok — w jego oczy, które spoglądały prosto w jego własne. Były bladobursztynowe, z wyjątkiem dużych, ciemnych źrenic; same tęczówki bez widocznych białek, jak oczy kota lub jelenia, oczy, jakich Falk nigdy przedtem nie widział, wyjąwszy odbicie własnych w lustrze ostatniej nocy.

— Nazywasz się Agad Ramarren — odparł chłopiec, przestraszony i posłuszny.

— Skąd wiesz?

— Ja… ja zawsze to wiedziałem, prech Ramarren.

— Należysz do tej samej rasy co ja? Jesteśmy rodakami?

— Jestem synem Har Wedena, prech Ramarren! Przysięgam, że jestem!

Przez chwilę w bladożółtych oczach zabłysły łzy. Falk zawsze skłonny był reagować na stres krótkim, oślepiającym oczy płaczem; Buckeye zganiła go kiedyś za to, że kłopotał się tą cechą, powiedziała, że z pewnością jest to czysto fizjologiczna reakcja, prawdopodobnie właściwa jego rasie.

Zmieszanie, oszołomienie i dezorientacja, jakie odczuwał od czasu, kiedy znalazł się w Es Toch, spowodowały, że nie był w stanie właściwie osądzić i ocenić tego, co właśnie widział. Część jego umysłu powiedziała: Tego właśnie chcą, chcą cię oszołomić aż do zupełnej łatwowierności. Z tego właśnie powodu nie wiedział, czy Estrel — Estrel, którą znał tak dobrze i kochał tak wiernie — była przyjacielem, Shingą, czy też narzędziem Shinga, czy kiedykolwiek mówiła rnu

prawdę, czy zawsze kłamała, czy została wraz z nim pochwycona, czy też zwabiła go w pułapkę. Pamiętał śmiech. Lecz pamiętał również rozpaczliwy uścisk i szept… Cóż więc ma myśleć o tym chłopcu, który patrzy na niego z bólem i strachem nieziemskimi oczyma, takimi samymi, jak jego własne-czy zmieni się w plamę światła, jeśli go dotknie? Czy odpowiadając na pytania będzie mówił prawdę, czy też będzie kłamał?

Pośród wszystkich tych złudzeń, omyłek i oszustw pozostała do obrania, jak wydawało się Falkowi, tylko jedna droga; droga, którą podążał od Domu Zove. Jeszcze raz spojrzał na chłopca i powiedział mu prawdę.

— Nie znam cię. Nawet jeśli powinienem, to nie mogę cię znać, ponieważ nie pamiętam niczego, co działo się wcześniej niż cztery czy pięć lat temu. — Odchrząknął, odwrócił się i usiadł na jednym z wysokich, wrzecionowatych krzeseł, skinąwszy na chłopca, aby zrobił to samo.

— Nie… nie pamiętasz Werel?

— Kim jest Werel?

— To nasz dom. Nasz świat.

To bolało. Falk nic nie odpowiedział.

— Nie pamiętasz… nie pamiętasz podróży, prech Ramarren? — zapytał chłopiec, zacinając się. W jego głosie słychać było niedowierzanie; zdawał się nie wierzyć w to, co mu Falk powiedział. Była też tam inna, drżąca, tęskna nuta., tłumiona przez szacunek lub strach.

Falk potrząsnął głową.

Orry powtórzył pytanie, nieco je zmieniając.

— Nie pamiętasz naszej podróży na Ziemię, prech Ramarren?

— Nie. Kiedy dobiegła końca?

— Sześć ziemskich lat temu… Wybacz mi, proszę, prech Ramarren. Nie wiedziałem… Byłem właśnie nad Morzem Kalifornijskim, kiedy przysłali po mnie automatyczny stratolot. Nie powiedziano mi, po co jestem potrzebny. Potem Lord Kradgy powiedział, że został odnaleziony jeden z członków Ekspedycji, i myślałem… Lecz nic mi nie mówił o twojej pamięci. Więc… więc pamiętasz… tylko Ziemię?

Wydawało się, że błaga o zaprzeczenie.

— Pamiętam tylko Ziemię — powiedział Falk postanowiwszy nie poddawać się wzruszeniu chłopca, jego naiwności i dziecięcej szczerości jego twarzy i głosu. Musiał zakładać, że Orry nie był tym, kim wydawał się być.

A jeśli był?

Nie dam się więcej oszukać, pomyślał Falk z gorzką zawziętością.

Oczywiście, że się dasz, odparła inna część jego umysłu. Dasz się

oszukać, jeśli tak będą chcieli, i nie ma sposobu, żeby się temu przeciwstawić. Jeśli nie zadasz żadnego pytania temu chłopcu, aby nie słyszeć w odpowiedzi kłamstwa, wówczas kłamstwo zwycięży całkowicie, a cała twoja podróż nie przyniesie nic oprócz milczenia, kpin i wstrętu. Chciałeś poznać swoje imię. Ten chłopiec je tobie dał: przyjmij je.

— Czy możesz mi powiedzieć, kim… kim jesteśmy? Chłopiec ochoczo podjął swój niezrozumiały bełkot i zaraz zamilkł pod niepojmującym spojrzeniem Falka.

— Nie pamiętasz języka kelshak, prech Ramarren? — Był bliski płaczu.

Falk potrząsnął głową.

— Kelshak jest twoim ojczystym językiem?

— Tak — odparł chłopiec. — I twoim — dodał nieśmiało.

— Jak w tym języku brzmi słowo „ojciec”?

— Hiowech. Lub wawa, tak mówią dzieci. — Błysk szczerego smutku przemknął po twarzy Orry’ego.

— Jak zwracałbyś się do starego człowieka, którego szanujesz?

— Jest wiele słów bliskoznacznych, takich jak: prevwa, kioinap, ska n-gehoy… Niech pomyślę, prechno. Tak długo nie mówiłem w kelshak… Prechnoweg… można też użyć równoznacznych: tiokioi lub previotio…

— Tiokioi. Powiedziałem kiedyś to słowo, nie… nie wiedziałem, skąd je znam.

To nie był wiarygodny test. Nie było takiego. Nigdy nie mówił wiele Estrel o swoim pobycie u starego Słuchacza w Lesie, lecz przecież mogli poznać każde jego wspomnienie — wszystko, co kiedykolwiek powiedział — kiedy mieli go w swych rękach oszołomionego narkotykami podczas ostatniej nocy lub przez kilka nocy. Nie wiedział, co zrobili, nie wiedział, co sam może zrobić lub co powinien. A już absolutnie nie wiedział, czego chcieli. Wszystko, co mu zostało, to iść przed siebie próbując dowiedzieć się, czego sam chce.

— Możesz poruszać się tu swobodnie?

— O tak, prech Ramarren. Władcy są bardzo dobrzy. Bardzo długo szukali innych członków Ekspedycji, tych, którzy mogli pozostać przy życiu… Może wiesz, prechno, czy ktoś jeszcze?

— Nie wiem.

— Wszystko, co Kradgy zdążył mi powiedzieć, kiedy przybyłem tu kilka minut temu, to to, że żyłeś w lesie we wschodniej części kontynentu wśród jakiegoś dzikiego plemienia.

— Opowiem ci o tym, jeśli będziesz chciał. Ale najpierw ty mi coś powiedz. Nie wiem, kim jestem, nie wiem, kim ty jesteś, co to była za Ekspedycja, czym jest Werel?

— Jesteśmy Kelshyanami — zaczął chłopiec ze skrępowaniem, w widoczny sposób zakłopotany wyjaśnianiem czegoś tak oczywistego komuś, kogo uważał za przewyższającego go nie tylko pod względem wieku — z Narodu Kelshak na Werel, przybyliśmy tutaj na statku o nazwie „Alterra”…

— Po co tu przybyliśmy? — zapytał Falk pochylając się do przodu.

Powoli, co jakiś czas cofając się i uzupełniając, odpowiadając na setki pytań, Orry ciągnął opowieść, dopóki nie zmęczył się mówieniem, a Falk słuchaniem, a podobne do welonów ściany nie rozjarzyły się światłem zachodzącego słońca; milczeli potem przez jakiś czas, aż niemi słudzy przynieśli im jedzenie i picie. Przez cały czas, kiedy jedli, Falk uporczywie wpatrywał się oczyma duszy w klejnot, który mógł być fałszywy lub bezcenny, w uchwycony w przelocie — prawdziwy lub nie — obraz świata, który utracił.

VII

Słońce podobne do smoczego oka, pomarańczowożółte, jak ognisty opal otoczony siedmioma błyszczącymi wisiorkami kołyszącymi się z wolna na swych wydłużonych elipsach. Zielona, trzecia planeta potrzebowała sześćdziesięciu ziemskich lat, aby wypełnić swój jeden Rok. „Szczęśliwy ten, kto widzi drugą wiosnę" — przetłumaczył Orry przysłowie tego świata. Zimy północnej półkuli, nachylonej pod znacznym kątem do płaszczyzny ekliptyki, kiedy planeta zataczała najbardziej oddalony od Słońca łuk swej orbity, były mroźne, mroczne, straszne; lata, ciągnące się przez pół człowieczego życia, eksplodowały niepomierną wręcz obfitością wszystkiego, co żyje. Gigantyczne pływy głębokich mórz planety posłuszne były ogromnemu Księżycowi, którego fazy powtarzały się co czterysta dni; świat obfitował w trzęsienia ziemi, wulkany, wędrujące rośliny, śpiewające zwierzęta, inteligentnych mieszkańców budujących miasta, cały katalog cudów. Na ten wspaniały, choć niezwykły świat, dwadzieścia lat temu z zewnętrznej przestrzeni kosmicznej przyleciał statek. Dwadzieścia Wielkich Lat to, jak sądził Orry, nieco ponad tysiąc dwieście lat ziemskich.

Koloniści Ligi Wszystkich Światów, którzy przybyli na tym statku, poświęcili swą pracę i życie dla nowo odkrytej planety, położonej z dala od starych, centralnych światów Ligi, w nadziei przyłączenia jej rodzimych inteligentnych mieszkańców do Ligi jako sojuszników w Wojnie, Która Miała Nadejść. Taka była polityka Ligi już od dawna, wiele pokoleń przedtem bowiem nadeszły zza Hiad ostrzeżenia o wielkiej fali najeźdźców ogarniającej światy, przemierzającej stulecia, coraz bliższej wielkiego grona osiemdziesięciu światów, które tak dumnie nazywały same siebie Ligą Wszystkich Światów. Terra, peryferyjny świat Ligi, położony najbliżej nowo odkrytej planety, Werel, wysłała wszystkich swoich kolonistów na tym pierwszym statku. Miały przybyć następne statki z innych światów Ligi, ale żaden się nie zjawił — wyprzedziła je wojna.

Jedynym środkiem łączności kolonistów z Ziemią, z Pierwszym Światem Davenantu i resztą Ligi, był ansibl, natychmiastowy przekaźnik, zainstalowany na pokładzie statku. Żaden statek, powiedział Orry, nigdy nie przekroczył prędkości światła — i tutaj Falk poprawił go. Statki wojenne budowane były na zasadzie, na jakiej działał ansibl, lecz były tylko siejącymi śmierć automatycznymi maszynami, niezwykle kosztownymi, które nie mogły przewozić żywych istot. Prędkość światła, ze swym efektem skracania czasu dla podróżujących, stanowiła granicę ludzkich wypraw, wtedy i teraz. Tak więc koloniści na Werel znaleźli się bardzo daleko od domu i aktualne

wieści z zewnątrz mogli uzyskać tylko za pomocą transmitera. Minęło zaledwie pięć lat ich pobytu na Werel, kiedy otrzymali wiadomość, że przybył Wróg, a zaraz potem informacje stały się sprzeczne i pogmatwane, przedzielane coraz dłuższymi przerwami, aby wkrótce ustać zupełnie. Z górą trzecia część kolonistów postanowiła wziąć statek i przez otchłań lat powrócić na Ziemię, aby połączyć się ze swymi rodakami. Reszta pozostała na Werel, wybierając wygnanie. Za swego życia nigdy nie uzyskali wiadomości o tym, co stało się z ich ojczystym światem i Ligą, której służyli, kim był Wróg, czy opanował Ligę, czy też został pokonany. Pozbawieni statku i przekaźnika pozostali osamotnieni w swej małej kolonii, otoczeni zewsząd przez niezwykłe i wrogie Wysoko Inteligentne Formy Życia, o niższej od nich kulturze, lecz dorównujące im inteligencją. I czekali, a po nich czekali synowie ich synów, a gwiazdy ponad nimi wciąż pogrążone były w milczeniu. Nie przybył żaden statek, nie otrzymali żadnej wieści. Ich własny statek najprawdopodobniej został zniszczony, a współrzędne planety przepadły. Pośród wszystkich tych gwiazd maleńki, pomarańczowożółty opal stoczył się w przepaść zapomnienia. Kolonia rozkwitała, rozprzestrzeniając się od pierwszego miasta, któremu nadano nazwę Alterra, wzdłuż przyjaznego morskiego wybrzeża. Potem, po kilku latach… Orry przerwał i poprawił się: — Po blisko sześciu stuleciach, licząc według kalendarza ziemskiego, a był to Dziewiąty Rok Kolonii, tak sądzę. Dopiero zaczynałem uczyć się historii, lecz ojciec i… i ty, prech Ramarren, często przed Wyprawą opowiadaliście mi o tych sprawach, aby mi wszystko wyjaśnić… To znaczy… po kilku stuleciach nadeszły dla Kolonii ciężkie czasy. Niewiele dzieci zostało poczętych, jeszcze mniej urodziło się żywych… — W tym miejscu chłopiec znowu przerwał, aby ostatecznie wyjaśnić: — Pamiętam, jak mówiłeś, że Alterranie nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, sądzili, że jest to jakiś niepożądany efekt kojarzenia małżeństw wśród tak małej populacji, ale wy uważaliście to za skutek naturalnej selekcji. Tutaj Władcy twierdzą, że to nie jest możliwe, że bez względu na to, jak długo obca kolonia pozostaje na planecie, zawsze pozostanie obcą. Stosując techniki inżynierii genetycznej można płodzić potomstwo z tubylczymi rasami, ale dzieci pozostaną bezpłodne. Tak że w końcu nie wiem, co się stało z Alterranami, byłem zaledwie dzieckiem, kiedy ty i ojciec próbowaliście mi to wyjaśnić… Pamiętam, że mówiłeś o doborze preferującym osobniki zdolne do życia. Tak czy inaczej koloniści byli niemal na wymarciu, kiedy ich resztki zmuszone zostały do zawarcia przymierza z tubylczym narodem z Werel, Tevarianami. Razem przetrwali Zimę i kiedy nadszedł czas Wiosennych rozpłodów okazało się, że Tevarianie i Alterranie mogą mieć dzieci. Przynajmniej tylu z nich, że mogła powstać nowa mieszana rasa. Władcy mówią, że to niemożliwe. Lecz

ja pamiętam, jak opowiadałeś mi o tym.

— I my wywodzimy się z tej rasy?

— Ty pochodzisz w prostej linii od Agata Alterry, który wiódł Kolonię przez Zimę Dziesiątego Roku! Uczyliśmy się o Agacie w naszej szkole. To twoje imię, prech Ramarren — Agad z Charen. Ja nie pochodzę z tego rodu, lecz moja prababka należała do rodziny Esmy Kiow — to stare alterrańskie imię. Oczywiście w takim demokratycznym społeczeństwie jak ziemskie, te wyróżnienia genealogiczne są bez znaczenia, prawda?… — Orry wyglądał znowu na strapionego, jak gdyby naszły go jakieś niesprecyzowane, ale wzajemnie wykluczające się myśli. Falk skłonił go do kontynuowania opowieści o historii Werel, starając się uzupełnić domysłami i przypuszczeniami dziecięce opowiadanie, które było wszystkim, co mógł mu przekazać Orry.

Mieszana rasa i kultura Tevaru i Alterry rozkwitała w następnych latach, które nastały po straszliwej Dziesiątej Zimie. Maleńkie miasta rozrastały się, kultura kupiecka umacniała się na jedynym kontynencie północnej półkuli. W przeciągu kilku pokoleń wchłonęła prymitywne ludy południowych kontynentów, gdzie przeżycie zimy nie stanowiło takiego problemu. Przybywało ludności, wraz z nią rozwijała się nauka i technologia, przez cały czas wspomagane i kierowane Księgami Alterry — księgozbiorem statku, którego tajemnice stopniowo rozwiązywano, w miarę jak dalecy potomkowie kolonistów odkrywali na nowo zapomnianą wiedzę. Przechowywali i kopiowali te księgi, pokolenie po pokoleniu, i uczyli się języka, w którym były napisane — oczywiście lingalu. W końcu zbadano Księżyc i wszystkie siostrzane planety, a waśnie pomiędzy miastami i rywalizacje między narodami zostały opanowane i wygaszone przez potężne Imperium Kelshak, wyrosłe na starym Północnym Kontynencie. Ono to właśnie w szczycie wieku pokoju i potęgi zbudowało i wysłało światłowiec, statek osiągający prędkość światła.

Statek, nazwany „Alterra”, opuścił Werel w osiemnaście i pół roku po tym, jak wylądował na niej statek z ziemskimi kolonistami; tysiąc dwieście lat temu, według czasu Ziemi. Jego załoga nie miała pojęcia, co zastanie na Ziemi. Werelianie nie odkryli jeszcze zasady, na jakiej działał ansibl, natychmiastowy przekaźnik, a bali się wysyłać sygnały radiowe, które mogłyby zdradzić ich położenie najprawdopodobniej wrogiej planecie, opanowanej przez Wroga Ligi. Informacje musieli zdobyć sami ludzie, przemierzając długą noc, dzielącą ich od starego domu Alterran, i powrócić z nimi.

— Jak długo trwała podróż?

— Ponad dwa wereliańskie lata, może sto trzydzieści, sto czterdzieści lat świetlnych… byłem tylko chłopcem, dzieckiem, prech Ramarren, i niektórych spraw nie rozumiałem, o wielu nie

wiedziałem…

Falk nie pojmował, dlaczego ta niewiedza wprawiała chłopca w zakłopotanie. O wiele bardziej poruszony był faktem, że Orry, wyglądający na piętnaście czy szesnaście lat, przeżył już, być może, sto pięćdziesiąt lat. A on sam?

„Alterra", jak to opowiadał dalej Orry, wystartowała z bazy położonej przy starym, przybrzeżnym mieście, Tevara, zaprogramowana na osiągnięcie Ziemi. Statek niósł na pokładzie dziewiętnaścioro członków załogi — mężczyzn, kobiet, dzieci, obywateli Kelshak, wszystkich niemal bez wyjątku w prostej linii potomków Kolonistów, wybranych przez Wspólną Radę Imperium według kryterium wyszkolenia, inteligencji, odwagi, wielkoduszności i arleshu.

— Nie znam odpowiednika tego słowa w lingalu. To po prostu arlesh. — Orry uśmiechnął się swym szczerym uśmiechem. — To… to jest jak coś dobrego, co można zrobić, jak przedmiot, którego można i należy nauczyć się w szkole, albo jak rzeka podążająca swym korytem, tak chyba można określić arlesh.

— Tao? — zapytał Falk, lecz Orry nigdy nie słyszał o Starym Kanonie Ludzi.

— Co się stało ze statkiem? Co się stało z pozostałą siedemnastką?

— Zostaliśmy zaatakowani przy Barierze. Shinga przybyli tuż po zniszczeniu „Alterry", ale napastnicy zdołali już pierzchnąć. To byli buntownicy na statkach międzyplanetarnych. Shinga uratowali mnie jednego. Nie wiedzieli, czy reszta została zabita, czy też porwana przez buntowników.

Nieustannie przeszukiwali całą planetę i jakiś rok temu doszły ich pogłoski o człowieku żyjącym we Wschodnim Lesie. Niektóre z nich wskazywały, że może to być ktoś z nas.

— Co pamiętasz z tego wszystkiego? Ataku i tego, co działo się potem?

— Nic. Wiesz, jak na człowieka wpływa lot z prędkością światła…

— Wiem, że dla tych na statku czas nie płynie. Ale nie mam pojęcia, jak się to odczuwa.

— Cóż, naprawdę nie pamiętam tego zbyt dobrze. Byłem dzieckiem, miałem dziewięć lat… ziemskich lat. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek może to dobrze pamiętać. Nie ma słów, żeby opisać jak… jak wszystko się zmienia. Widzi się i słyszy, ale jak gdyby osobno… nic oznacza wszystko, nie umiem tego wyjaśnić. To jest straszne, ale odczuwa się to tylko jak okropny sen. Wchodząc w przestrzeń okołoplanetarną przechodzi się przez coś, co Władcy nazywają Barierą, i to powoduje, że ludzie na statku tracą przytomność, o ile nie przygotują się do tego. Nikt z nas nie był przygotowany, kiedy nas zaatakowano, i dlatego nie pamiętam z tego

nic… nic, tak samo jak ty, prech Ramarren. Kiedy oprzytomniałem, byłem już na statku Shinga.

— Dlaczego ciebie, małego chłopca, zabrano w tę podróż?

— Mój ojciec był dowódcą wyprawy. Moja matka była również na statku. W przeciwnym razie, prech Ramarren… cóż, jeśli ktoś powróciłby z takiej wyprawy, wszyscy jego bliscy od dawna by już nie żyli. Teraz to i tak nie ma znaczenia, tak czy inaczej moi rodzice już nie żyją. A może zrobiono z nimi to, co z tobą, i… i nie rozpoznaliby mnie, gdybyśmy się spotkali…

— Jaka była moja rola w wyprawie?

— Byłeś naszym nawigatorem.

Ironia tego stwierdzenia sprawiła, że Falk skrzywił się, lecz Orry ciągnął dalej, prostoduszny i pełen szacunku:

— To oznacza, że zaprogramowałeś kurs statku, współrzędne docelowe, byłeś największym prosteną, takim matematyko-astronomem, w całym Kelshy. Byłeś prechnową dla wszystkich na statku, z wyjątkiem mojego ojca, Har Wedena. Jesteś z Ósmego Rzędu, prech Ramarren! Czy… czy pamiętasz coś z tego?

Falk potrząsnął głową.

Chłopiec wyglądał, jak gdyby uszło z niego powietrze. W końcu, ze smutkiem w głosie, odezwał się:

— Naprawdę nie mogę uwierzyć, że niczego nie pamiętasz, z wyjątkiem tych chwil, kiedy tak robisz.

— Kiedy potrząsam głową?

— Na Werel, kiedy mówimy „nie”, wzruszamy ramionami, o tak.

Prostota Orry’ego była nie do odparcia. Falk spróbował wzruszyć ramionami i ruch ten wydał mu się tak właściwy i stosowny dla wyrażenia przeczenia, że poczuł się niemal przekonany, iż był starym nawykiem. Uśmiechnął się i Orry natychmiast poweselał.

— Jesteś tak podobny do siebie, prech Ramarren, i tak różny zarazem. Wybacz mi. Lecz co oni zrobili, co z tobą zrobili, że zapomniałeś tego wszystkiego?

— Zniszczyli mnie. Z pewnością jestem podobny do siebie. Jestem sobą. Jestem Falkiem… — Wsparł głowę na rękach. Orry, zmieszany, milczał. Nieruchome, chłodne powietrze pokoju jarzyło się wokół nich jak niebieskozielony klejnot. Zachodnia ściana migotała blaskiem zachodzącego słońca. — Czy bardzo cię tutaj pilnują?

— Władcy chcą, żebym nosił komunikator, jeśli wylatuję gdzieś stratolotem. — Orry dotknął bransolety na lewym nadgarstku, zwykłego złotego łańcuszka. — Ostatecznie tubylcy nie są całkiem niegroźni.

— Lecz możesz chodzić, dokąd chcesz?

— Tak, oczywiście. Mam taki sam pokój jak twój, po drugiej stronie kanionu. — Orry znowu zdawał się zakłopotany. — Nie mamy

tutaj żadnych wrogów, prech Ramarren — odważył się w końcu.

— Nie? Więc gdzie są nasi wrogowie?

— Cóż, tam skąd przybyłeś… na zewnątrz… Patrzyli na siebie nie rozumiejąc się nawzajem.

— Myślisz, że to ludzie są naszymi wrogami, Terranie, istoty ludzkie? Myślisz, że to oni zniszczyli moją osobowość?

— A któż inny? — powiedział Orry, przestraszony, wpatrując się w niego z otwartymi ustami.

— Obcy, Wróg, Shinga!

— Ale — odezwał się chłopiec z bojaźliwą łagodnością, jak gdyby w końcu uświadomił sobie, jak bardzo jego były pan i nauczyciel jest zagubiony i nieświadomy niczego — nigdy nie było żadnego Wroga. Nigdy nie było Wojny.

Pokój zadygotał łagodnie, jak gong, który z lekka dotknięty emanuje bezdźwięczną wibracją, i zaraz potem odezwał się bezcielesny głos: — Wzywam na Radę. — Szczelina drzwi rozwarła się i do pokoju wkroczyła majestatycznie wysoka postać, przybrana w białą szatę i ozdobną czarną perukę. Wygolone i wymalowane wyżej brwi ozdabiały twarz o gładkości kamienia pod grubą warstwą makijażu; twarz silnego mężczyzny w średnim wieku. Orry poderwał się od stołu, pokłonił i wyszeptał:

— Lordzie Abundibot.

— Har Orry — odwzajemnił się mężczyzna głosem stłumionym do zgrzytliwego szeptu, a potem odwrócił się do Falka. — Agad Ramarren. Witaj. Zebrała się Rada Ziemi, by odpowiedzieć na twoje pytania i rozważyć twoje życzenia. Zobaczmy…

Jego oczy tylko na chwilę spoczęły na Falku i nie zbliżył się już bardziej do żadnego z Werelian. Cały jego dziwaczny wygląd i postawa wyrażały siłę i poczucie własnej ważności i godności. Był odległy i nieprzystępny. Przez chwilę wszyscy trzej stali bez ruchu i Falk podążając za wzrokiem obcego zobaczył, że wewnętrzna ściana pokoju zaczyna zamazywać się i zmieniać, wydając się teraz głębią przezroczystej, szarawej galarety, wśród której migotały i drgały jakieś linie i kształty. Potem obraz wyostrzył się i Falkowi zaparło dech w piersiach. To była twarz Estrel, powiększona dziesięciokrotnie. Jej oczy spoglądały na niego z zimną obojętnością elektronicznego obrazu.

— Jestem Strella Siobelbel. — Usta obrazu poruszały się, lecz głos nie dochodził z nich; zimny, oderwany szept drżący w nieruchomym powietrzu pokoju. — Wysłano mnie, żebym bezpiecznie doprowadziła do Miasta członka Ekspedycji z Werel, który miał przebywać na wschodzie Pierwszego Kontynentu. Jestem pewna, że to właśnie ten człowiek.

Jej twarz zniknęła zastąpiona przez własną twarz Falka.

Bezcielesny, syczący głos zapytał:

— Czy Har Orry rozpoznaje tę osobę?

Kiedy Orry odpowiadał, jego twarz ukazała się na ekranie.

— To jest Agad Ramarren; o Władcy, Nawigator „Alterry".

Twarz chłopca zniknęła i ekran pozostał pusty, drżący, podczas gdy mnóstwo głosów szeptało i szeleściło w przestrzeni, jak rozpisana na wiele głosów dyskusja między duchami, prowadzona w nieznanym języku. Tak właśnie radzili Shinga: każdy w swoim pokoju, sam, mający za całe towarzystwo szepczące głosy. Gdy niezrozumiałe pytania i odpowiedzi przedłużały się, Falk wyszeptał do Orry'ego: — Czy znasz ten język?

— Nie, prech Ramarren. Rozmawiając ze mną zawsze używają lingalu.

— Dlaczego rozmawiają w ten sposób zamiast spotkać się osobiście.

— Jest ich tak wielu… Rada Ziemi gromadzi wiele, wiele tysięcy, tak mi powiedział Lord Abundibot. I przebywają w wielu miejscach, rozrzuconych po całej planecie, chociaż Es Toch jest jedynym miastem. O, to jest Ken Kenyek.

Bzyczące, bezcielesne głosy zamarły i nowa twarz pojawiła się na ekranie. Była to twarz mężczyzny o trupio bladej skórze, czarnych włosach i wyblakłych oczach.

— Agadzie Ramarren, zebraliśmy się na Radę, a ty zostałeś na nią zaproszony, abyś mógł zakończyć swoją misję na Ziemi i jeśli tego pragniesz, powrócić do domu. Lord Pelleu Abundibot przemówi do ciebie.

Ściana nagle zgasła, powracając do swej zwykłej, półprzezroczystej zieleni. Wysoki mężczyzna po drugiej stronie pokoju przypatrywał się uważnie Falkowi. Jego usta nie poruszały się, lecz Falk słyszał go mówiącego, już teraz nie szeptem, ale wyraźnie, nadzwyczaj wyraźnie. Nie mógł uwierzyć, że jest to myślomowa, jednak nie mogło to być nic innego. Głos, wyzbyty dźwięku i barwy, które czyniłyby go realnym, był czysty i zrozumiały do samego końca — rozum zwracający się bezpośrednio do innego rozumu.

„Rozmawiamy ze sobą w ten sposób, abyś był pewien, że słyszysz jedynie prawdę. Gdyż nie jest prawdą, że my, którzy sami siebie nazywamy Shinga — lub ktokolwiek inny — potrafimy wypaczyć lub ukryć prawdę w mowie myśli. Kłamstwo, które ludzie nam przypisują, samo jest kłamstwem. Lecz jeśli chcesz, możesz mówić zwyczajnie, a my uczynimy tak samo".

— Nie jestem biegły w posługiwaniu się myślomową — powiedział po chwili Falk. Jego głos zabrzmiał głośno i grubiańsko po subtelnym, bezgłośnym kontakcie umysłów. — Ale słyszę cię zupełnie dobrze. Nie prosiłem o prawdę. Kim jestem, żeby żądać prawdy?

Powinienem jednak wysłuchać tego, co chcesz mi powiedzieć.

Orry wyglądał na wstrząśniętego. Twarz Abundibota nie wyrażała niczego. Najwyraźniej nastrojony był na nich obu, Falka i Orry'ego — rzadka umiejętność, z tego co wiedział Falk — gdyż oczywiste było, że chłopiec słyszy zupełnie wyraźnie, kiedy znowu zaczął się telepatyczny przekaz.

„Ludzie wytarli twój umysł, a potem nauczyli cię tego, co sami chcieli, abyś wiedział, w co sami chcą wierzyć. Tak przygotowany, nie ufasz nam. Obawialiśmy się, że tak właśnie będzie. Lecz pytaj, o co chcesz, Agadzie Ramarren z Werel. W odpowiedzi usłyszysz jedynie prawdę".

— Jak długo tu jestem?

— Sześć dni.

— Dlaczego najpierw zostałem oszukany i znarkotyzowany?

— Próbowaliśmy przywrócić ci pamięć. Nie powiodło się nam.

Nie ufaj mu, nie wierz mu, powiedział Falk do siebie z taką mocą, że Shinga bez wątpienia musiał — jeśli choć trochę był empatą — odebrać wyraźnie owo przesłanie. Ale to nie miało znaczenia. Gra musi być kontynuowana, i to wedle ich reguł, choć to oni tworzą wszystkie prawa i mają w ręku wszystkie atuty. To, że on ich nie ma, nic nie znaczy. Ważna jest jego uczciwość. Był teraz całkowicie przekonany, że uczciwego człowieka nie można oszukać, że prawda, jeśli gra prowadzona będzie do końca, doprowadzi do prawdy.

— Powiedz, dlaczego miałbym wam ufać? — zapytał. Przekaz myślowy, czysty i wyraźny jak ton dobyty z elektronicznego instrumentu, popłynął znowu, podczas gdy wysyłający go Abundibot, Orry i Falk stali bez ruchu. jak figury na szachownicy.

„My, których znasz jako Shinga, jesteśmy ludźmi. Jesteśmy Ziemianami, zrodzonymi na Ziemi z rasy ludzkiej, tej samej, do której należał twój przodek, Jacob Agat z Pierwszej Kolonii na Werel. Ludzie nauczyli cię tego, co w ich mniemaniu działo się na Ziemi w przeciągu tych dwunastu stuleci od czasu założenia Kolonii na Werel. Teraz my — również ludzie — przekażemy ci to, co sami wiemy.

Żaden Wróg nie przybył nigdy z odległych gwiazd, aby zaatakować Ligę Wszystkich Swiatów. Liga została zniszczona przez rewolucję, wojnę domową, przez własną korupcję, militaryzm, despotyzm. Na wszystkich światach rozgorzały powstania, bunty, przejmowano rządy. Pierwszy Świat ruszył z odwetem, który spalał planety na czarny piasek. Żadne statki nie wyruszały w tak niepewną przyszł~ść z wyjątkiem statków bomb, burzycieli światów. Ziemia nie zastała zniszczona, ale połowa jej mieszkańców zginęła, zniszczeniu uległy miasta, statki, natychmiastowe przekaźniki, archiwa, cała kultura — wszystko przepadło w ciągu dwóch strasznych lat wojny domowej prowadzonej przez Lojalistów i Rebeliantów; jedni i drudzy

uzbrojeni byli w straszliwą broń stworzoną przez Ligę do walki z Wrogiem, który miał przybyć z zewnątrz.

Część doprowadzonych do rozpaczy ludzi na Ziemi, tych, którzy na krótko zdobyli przewagę, lecz wiedzieli, że przeciwuderzenie, całkowita zagłada i zniszczenie są nieuniknione, zastosowała nową broń. Kłamstwo. Wymyślili sobie nazwę, język, niejasne opowieści o odległym świecie, z którego przybyli, i zaczęli rozpuszczać pogłoski po całej Ziemi, zarówno w swych własnych szeregach, jak i obozach Lojalistów, że przybył Wróg. Że to on wywołał wojnę domową. Wróg przenikał wszędzie, zniszczył Ligę i doprowadził do ruiny Ziemię, a teraz okrzepł i zamierza zakończyć wojnę. A wszystko to osiągnął, ponieważ posiadł nieoczekiwaną, złowrogą moc: umiejętność kłamania w myślomowie.

Ludzie uwierzyli w te opowieści. Odpowiadały ich panice, przerażeniu i zmęczeniu. Otoczeni ruinami swego świata poddali się Wrogowi, chętnie dając wiarę temu, że jest nadprzyrodzony, niezwyciężony.

I od tego-czasu żyli w pokoju.

Wśród nas, tu w Es Toch, rozpowszechniony jest mit, który mówi, że na samym początku Stworzyciel wypowiedział wielkie kłamstwo. Gdyż nie było absolutnie niczego, lecz Stworzyciel odezwał się, mówiąc: To istnieje. I oto, aby Kłamstwo Boga mogło stać się Bożą Prawdą, od razu zaistniał cały wszechświat.

Jeśli pokój uzależniony był od kłamstwa, znaleźli się tacy, którzy gotowi byli je podtrzymać. Ponieważ ludzie twierdzili, że Wróg przybył i opanował Ziemię, nazwaliśmy się Wrogami i przejęliśmy władzę. Nikt nie podważał naszego kłamstwa, nikt nie naruszał naszego pokoju; światy Ligi straciły ze sobą kontakt, czas międzygwiezdnych lotów minął. Może raz na stulecie jakiś statek z odległego świata, tak jak twój, zabłądzi tutaj. Niektórzy buntują się przeciwko naszej władzy, i to oni właśnie zaatakowali wasz statek przy Barierze. Staramy się trzymać w ryzach takich buntowników, gdyż — lepiej czy gorzej — przez tysiąclecie torowaliśmy drogę i dźwigaliśmy ciężar ludzkiego pokoju. Posługując się bowiem tak wielkim kłamstwem musimy jednocześnie stać na straży równie wielkiego prawa. Znasz to prawo, którego przestrzegania my — ludzie wśród ludzi — domagamy się: to jedyne Prawo, wyrosłe w najstraszliwszej godzinie ludzkości”.

Olśniewający, bezdźwięczny strumień myśli skończył się, tak jakby nagle zgasło światło. W ciszy podobnej do zapadającej ciemności Orry wyszeptał:

— Cześć dla Ziemi.

I znowu zapadła cisza. Falk stał bez ruchu, starając się, aby jego twarz lub myśli — być może podsłuchiwane — nie zdradziły

zmieszania i niepewności, jakie odczuwał. Czy wszystko to, czego się nauczył, było fałszem? Czy rodzajowi ludzkiemu nigdy naprawdę nie zagrażał Wróg?

— Jeśli ta historia jest prawdziwa — odezwał się w końcu — dlaczego tej prawdy nie ogłosicie ludziom i nie przekonacie ich do niej?

„My jesteśmy ludźmi — nadeszła telepatyczna odpowiedź. — Jest nas wiele tysięcy, tych, którzy znają prawdę. Jesteśmy tymi, którzy posiadają władzę i wiedzę i używamy ich do utrzymania pokoju. Były takie mroczne czasy w dziejach ludzkości, i teraz też tak jest, kiedy ludzie wierzyli, że świat jest opanowany przez demony. Gramy role demonów w ich wierzeniach. Kiedy mity zaczną ustępować miejsca rozumowi, powiemy im i wówczas poznają prawdę".

— Dlaczego mi to wszystko mówisz?

— Dla samej prawdy i po to, abyś ty ją poznał.

— Kim jestem, że zasłużyłem na prawdę? — zapytał zimno Falk, spoglądając przez pokój na podobną do maski twarz Abundibota.

„Jesteś posłańcem z zagubionego świata, kolonii, której wszystkie dane przepadły w Latach Chaosu. Przybyłeś na Ziemię, a my, Władcy Ziemi, nie potrafiliśmy cię ochronić. To napełnia nas wstydem i żalem. Ci, którzy was zaatakowali, byli mieszkańcami Ziemi. To oni zabili wszystkich twoich towarzyszy lub starli ich umysły — ludzie z Ziemi, planety, na którą po tak wielu stuleciach powróciliście. To byli buntownicy z Trzeciego Kontynentu; nie są oni tak prymitywni ani tak nieliczni, jak ci, którzy zamieszkują Pierwszy Kontynent. Używają kradzionych pojazdów międzyplanetarnych. Zakładają, że każdy światłowiec musi należeć do Shinga, więc zaatakowali wasz statek bez ostrzeżenia. Moglibyśmy temu zapobiec, gdybyśmy byli bardziej czujni. Dlatego właśnie uczynimy wszystko, aby zadośćuczynić ci to, czemu zawiniliśmy".

— Szukali ciebie i innych przez te wszystkie lata — wtrącił Orry z przejęciem i jakby błagalnie; oczywiste było, że z całych sił pragnie, aby Falk uwierzył w to wszystko, zaakceptował to i… i co jeszcze?

— Usiłowaliście przywrócić mi pamięć — powiedział w końcu Falk. — Dlaczego?

— Czy nie po to przybyłeś tutaj? Aby odzyskać swą utraconą osobowość?

— Tak, właśnie po to. Ale… — Nie wiedział nawet, jakie pytanie ma zadać, nie miał pojęcia, czy wierzyć w to, co mu powiedziano, czy nie. Wydawało się, że nie ma żadnego kryterium, na podstawie którego mógłby odróżnić prawdę od kłamstwa. Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby Zove i inni okłamali go, lecz nie można było wykluczyć, że sami zostali wprowadzeni w błąd lub że po prostu byli nieświadomi pewnych spraw. Nie dowierzał temu wszystkiemu, co z

takim przekonaniem przekazał mu Abundibot, był to jednak przekaz telepatyczny, wyraźna, bezpośrednia myślomowa, w której nie było miejsca na kłamstwo — a może jednak było? Jeśli kłamca mówi, że nie kłamie… Falk dał na razie temu spokój. Spoglądając jeszcze raz na Abundibota powiedział: — Wolałbym… wolałbym raczej słyszeć twój głos. Stwierdziłeś, że nie mogliście przywrócić mi pamięci…

Stłumiony, skrzypiący szept Abundibota, mówiącego lingalem, zabrzmiał dziwnie obco po niezwykłej płynności jego myślowego przekazu.

— Nie tymi sposobami, jakich użyliśmy.

— A stosując inne?

— Być może. Sądzimy, że założono ci blokadę parahipnotyczną. Albo zamiast tego starto ci umysł. Nie wiemy, gdzie nauczyli się tych technik, które utrzymujemy w ścisłej tajemnicy. Równie ścisłą tajemnicą jest fakt, że wytartą osobowość można odtworzyć. — Na nieruchomej, podobnej do maski twarzy Abundibota pojawił się uśmiech, aby niemal natychmiast zniknąć. — Sądzimy, że nasze psycho komputerowe techniki mogłyby być skuteczne w twoim przypadku. Jednak spowodują całkowitą i trwałą blokadę zastępczej osobowości i w związku z tym nie chcemy się tego podjąć bez twojej zgody.

Zastępcza osobowość… Co to miało znaczyć?

Falk poczuł zimny dreszcz i rzekł ostrożnie:

— Czy to znaczy, że aby przypomnieć sobie, kim byłem, muszę… muszę zapomnieć, kim jestem?

— Niestety, tak właśnie jest w twoim przypadku. Bardzo nad tym bolejemy. Jednak utrata zastępczej osobowości wyrosłej w przeciągu kilku lat, choć godna pożałowania, nie jest chyba zbyt wysoką ceną za odzyskanie tak wybitnej osobowości, jaką była twoja, i oczywiście, uzyskanie szansy spełnienia twej wielkiej misji, a wreszcie możliwości powrotu do domu z wiedzą, której z taką odwagą szukałeś.

Pomimo swego zardzewiałego, z dawna nie używanego szeptu, Abundibot posługiwał się zwyczajną mową tak samo biegle, jak przekazem telepatycznym: słowa lały się potokiem i Falk rozumiał, jeśli w ogóle, co trzecie czy czwarte słowo…

— Szansy… spełnienia? — powtórzył, czując się jak głupiec i spoglądając na Orry'ego, jak gdyby szukał u niego pomocy. — Mówisz, że możecie wysłać mnie… nas… na tę planetę, z której podobno pochodzę?

— Poczytywalibyśmy to sobie za zaszczyt i początek zadośćuczynienia wobec ciebie, gdybyś zechciał przyjąć światłowiec, który zaniósłby was do domu, na Werel.

— Ziemia jest moim domem — rzucił Falk z niespodziewaną gwałtownością.

Abundibot milczał. Dopiero po chwili odezwał się chłopiec:

— A Werel moim, prech Ramarren — powiedział ze smutkiem. — I nigdy nie będę mógł tam wrócić bez ciebie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie wiem, gdzie ona jest. Byłem dzieckiem. Nasz statek został zniszczony, komputery nawigacyjne i wszystkie inne przepaliły się, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Nie potrafię odtworzyć kursu!

— Ale przecież ci ludzie mają światłowce i komputery nawigacyjne! O co ci chodzi? Przecież wszystko, co ci potrzeba, to wiedzieć wokół jakiej gwiazdy krąży Werel.

— Ale tego właśnie nie wiem!

— Przecież to nonsens — zaczął Falk poruszony przechodzącym w gniew niedowierzaniem.

Abundibot uniósł rękę w dziwnie emanującym siłą geście.

— Pozwól chłopcu wyjaśnić, Agadzie Ramarren — wyszeptał.

— Wyjaśnić, że nie zna nazwy słońca, wokół którego krąży jego własny świat?

— To prawda, prech Ramarren. — Głos Orry'ego drżał, twarz okrywał rumieniec. — Jeśli… jeśli byłbyś sobą, nikt nie musiałby ci tego mówić. Ja nie przeżyłem jeszcze dziewięciu faz Księżyca, wciąż byłem na Pierwszym Poziomie… Cóż, myślę, że nasza cywilizacja, tam w domu, różni się od tej tutaj. Teraz, w świetle tego, co Władcy usiłują tutaj dokonać, ich demokratycznych idei, zdaję sobie sprawę, że w wielu dziedzinach jest bardzo zacofana. W każdym razie opiera się na Poziomach, które przebiegają przez wszystkie Rzędy i Szeregi i tworzą Podstawową Wspólnotę… prechnoi. Nie wiem, jak to powiedzieć w lingalu. Sądzę, że najbliższe temu pojęciu będzie słowo „wiedza". Tak czy inaczej, ja, będąc dzieckiem, osiągnąłem tylko Pierwszy Poziom, a ty byłeś na Ósmym Poziomie i w Ósmym Rzędzie. Każdy Poziom ma swoje własne sprawy, których się nie naucza, o których się nie mówi i które nie mogą być wypowiedziane lub zrozumiane, dopóki się go nie osiągnie. A jak mi się wydaje, poniżej Siódmego Poziomu nie naucza się Prawdziwej Nazwy Świata i Prawdziwej Nazwy Słońca — one są po prostu światem, Werel, i słońcem, prahan. Prawdziwe Nazwy są bardzo stare, zawarte są w Ósmym Wyborze Ksiąg Alterry, Ksiąg Kolonii. Zapisane są w lingalu, tak że znaczenie tych nazw nie byłoby obce Władcom. Lecz ja nie mogę im ich powiedzieć, bo ich nie znam! Wszystko, co wiem, to słońce i świat, a to nie doprowadzi mnie do domu, ani też ciebie, jeśli nie przypomnisz sobie tego, co wiesz! Jakie słońce? Który świat? Och, powinieneś im pozwolić, żeby przywrócili twoją pamięć, prech Ramarren! Widzisz teraz?

— Jak przez szkło — rzekł Falk — niewyraźnie.

I wraz z tymi słowami Kanonu Yaweh przypomniał sobie nagle, jasno i wyraźnie pomimo ogarniającego go oszołomienia, słońce

świecące nad Polaną, błyszczące jasno na przemiatanych wiatrem, ukrytych w zieleni gałęzi balkonach Leśnego Domu. Więc przybył tutaj nie po to, by poznać swoje imię, lecz nazwę słońca, Prawdziwą Nazwę Słońca.

VIII

Dziwna, niewidzialna Rada Władców Ziemi skończyła się. Przy rozstaniu Abundibot rzekł do Falka:

— Wybór należy do ciebie, możesz albo pozostać Falkiem, naszym gościem na Ziemi, albo odzyskać swe dziedzictwo i spełnić swe przeznaczenie jako Agad Ramarren z Werel. Chcemy, abyś rozważył wybór i dokonał go wówczas, kiedy będziesz pewien jego słuszności. Oczekujemy twej decyzji i podporządkujemy się jej. — Potem zwrócił się do Orry'ego: — Oprowadź swego rodaka po mieście i niech wszystkie wasze pragnienia będą nam znane, abyśmy mogli je spełnić.

Drzwi rozwarły się za Abundibotem, a on cofnął się i kiedy jego wysoka, otyła postać znalazła się za nimi, zniknęła tak nagle, jak zdmuchnięty płomień świecy. Czy był tutaj naprawdę we własnej osobie, czy była to tylko projekcja? Falk nie miał pewności. Zastanawiał się, czy kiedyś zobaczy Shinga naprawdę, czy też zawsze będzie widział tylko cienie i obrazy Shinga.

— Czy możemy pójść stąd… gdziekolwiek na zewnątrz? — zapytał z nagła chłopca. Czuł się niedobrze wśród krętych i bezpostaciowych ścian i korytarzy tego miejsca, zastanawiał się też, jak daleko sięga teraz ich wolność.

— Gdziekolwiek chcesz, prech Ramarren. Na ulice? Czy weźmiemy śmigacz? W Pałacu jest też ogród.

— Niech będzie ogród.

Orry poprowadził go szerokim, pustym, błyszczącym korytarzem i przez rozsuwane drzwi wprowadził do małego pokoju. — Ogród — powiedział głośno i skrzydła drzwi zamknęły się. Nie czuło się żadnego ruchu, lecz kiedy otwarły się ponownie, wyszli z nich prosto w ogród. Chyba nie opuścili budynku: ściany pod nimi, daleko w dole, migotały światłami miasta, księżyc, niemal w pełni, przeświecał zamglony i wykoślawiony przez szklany dach. Miejsce pełne było poruszających się łagodnie świateł i cieni, tropikalnych krzewów i pnączy wspinających się po drabinkach altanek i zwisających z drzew; ich niezliczone kremowe i karmazynowe kwiaty napełniały aromatem wilgotne powietrze, a bujne listowie ograniczało pole widzenia do kilku stóp. Falk odwrócił się gwałtownie i upewnił, że ścieżka prowadząca do wejścia, wciąż wyraźna, leży za nim. Niesamowita była ta gorąca, ciężka, przesycona zapachami cisza; przez chwilę miał wrażenie, że zagadkowe głębie ogrodu zawierają w sobie cień czegoś obcego i niezmiernie odległego — barwę, nastrój, całą zawiłość utraconego świata, planety zapachów i złudzeń, bagien i przeobrażeń.

Na ścieżce, wśród pogrążonych w cieniach kwiatów, Orry

zatrzymał się i wyjął z futerału niewielką, białą tubę. Włożył ją do ust i zaczął chciwie pociągać. Falk był zbyt zajęty coraz to nowymi doznaniami, aby zwrócić na to uwagę, jednak chłopiec sam, jak gdyby z lekka zakłopotany, wyjaśnił:

— To pariitha, trankwilizator, wszyscy Władcy jej używają… Jednocześnie ma bardzo dobre właściwości stymulujące. Jeśli masz ochotę…

— Nie, dziękuję. Chciałbym cię jeszcze zapytać o parę rzeczy. — Zawahał się jednak. Te pytania nie mogą być zadane wprost. Przez cały czas trwania Rady i wyjaśnień Abundibota miał, wciąż powracające i nie dające spokoju wrażenie, że wszystko to jest przedstawieniem, sztuką graną dla kogoś, taką jak te, które widział na starych taśmach w bibliotece Księcia Kansas: Gra Snów z Hain lub stary, szalony król Lir, bredzący na smaganym burzą wrzosowisku. Dziwne było jego nieodparte wrażenie, że ta sztuka była przeznaczona nie dla niego, lecz dla Orry'ego. Nie rozumiał dlaczego, ale czuł coraz mocniej, że wszystko, co Abundibot powiedział, mówił po to, żeby coś chłopcu udowodnić.

I chłopiec uwierzył. Ta sztuka wcale nie była wyreżyserowana dla niego, Falka; co najwyżej brał w niej udział jako aktor.

— Jedna rzecz mnie w tym wszystkim zastanawia — rzekł ostrożnie Falk. — Powiedziałeś, że Werel leży w odległości stu trzydziestu lub stu czterdziestu lat świetlnych od Ziemi. W takiej odległości nie może być zbyt wielu gwiazd.

— Władcy mówią, że w odległości od stu piętnastu do stu pięćdziesięciu lat świetlnych znajdują się cztery Słońca z układami planetarnymi i każde z nich może być naszym Słońcem. Lecz leżą w czterech różnych kierunkach i jeśli Shinga wysłaliby statek na poszukiwania, mogłoby minąć z górą trzynaście stuleci czasu rzeczywistego, zanim krążąc wśród gwiazd odnalazłby to właściwe.

— Chociaż byłeś dzieckiem, wydaje mi się nieco dziwne, że nie wiedziałeś, jak długo miała trwać podróż, ile czasu minęłoby na Werel od startu do powrotu, gdyby wszystko odbyło się tak, jak zaplanowano.

— Mówiono o dwóch Latach, prech Ramarren, to stanowi około stu dwudziestu ziemskich lat. Wiedziałem jednak, że to nie jest dokładny czas i że nie mam prawa o to pytać. — Wspomnienie o Werel spowodowało, że przez chwilę w głosie chłopca zabrzmiał ton spokojnej stanowczości, jakiej Falk nigdy przedtem u niego nie słyszał. — Sądzę, że dorośli członkowie Ekspedycji nie wiedząc, co lub kogo zastaną na Ziemi, chcieli być pewni, że my, dzieci, nie znający technik chroniących przed mentalną penetracją, nie będziemy mogli zdradzić Wrogowi położenia Werel. Być może bezpieczniej dla nas było pozostać nieświadomymi.

— Czy pamiętasz, jakie gwiazdy widać z Werel, jakie konstelacje?

Orry wzruszył ramionami, że nie, i uśmiechnął się:

— Władcy również o to pytali. Jestem dzieckiem Zimy, prech Ramarren. Właśnie zaczynała się Wiosna, kiedy startowaliśmy. Chyba nigdy nie widziałem bezchmurnego nieba.

Jeśli to wszystko było prawdą, wówczas rzeczywiście wydawało się, że tylko on — jego ukryta jaźń, Ramarren — może powiedzieć, skąd on i Orry przybyli. Czyżby to właśnie miało stanowić wyjaśnienie tego, co było tak bardzo zagadkowe: zainteresowania Shinga jego osobą, sprowadzenia go tutaj pod opieką Estrel, ofertę przywrócenia pamięci? Istniał świat nie podlegający ich władzy, świat, który posiadł jeszcze raz zapomnianą sztukę lotów z prędkością światła; z pewnością chcieliby wiedzieć, gdzie się znajduje. A jeśli przywrócą mu pamięć, będzie mógł im to powiedzieć. Jeśli w ogóle cokolwiek, co mu powiedziano, było prawdą.

Westchnął. Męczyła go ta gmatwanina podejrzeń, ten nadmiar niesprawdzalnych cudów. Momentami zastanawiał się, czy przypadkiem wciąż nie jest pod działaniem jakiegoś narkotyku. Nie miał najmniejszego pojęcia, co powinien zrobić. On, i być może ten chłopiec, byli bezwolnymi zabawkami w rękach obcych, zdradzieckich graczy.

— Czy on… ten o imieniu Abundibot, czy on był z nami w pokoju, czy też była to tylko projekcja, złudzenie?

— Nie wiem, prech Ramarren — odparł Orry. Środek, który wdychał z tuby, zdawał się wpływać dobrze na jego samopoczucie i uspokajać; zawsze raczej dziecinny, mówił teraz radośnie, bez jakichkolwiek oporów: — Sądzę, że tam był. Ale oni nigdy się do nikogo nie zbliżają. Mówię ci, to bardzo dziwne, ale przez cały ten czas, jaki tu spędziłem, nigdy nie dotknąłem żadnego z nich. Zawsze trzymają się z dala, osobno. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że są niedobrzy — dodał pospiesznie, spoglądając swymi jasnymi oczyma na Falka, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie został źle zrozumiany. — Są bardzo dobrzy. Bardzo lubię Lorda Abundibota i Ken Kenyeka, i Parlę. Ale są tak daleko, tak bardzo mnie przewyższają, wiedzą tak wiele. Tyle na siebie wzięli. Rozwijają wiedzę, utrzymują pokój, dźwigają taki ciężar i robią to od tysiąca lat, podczas gdy reszta ludzi na Ziemi nie odpowiada za nic, żyjąc zwierzęcą wolnością. Nienawidzą Władców i nic nie chcą słyszeć o prawdzie, jaką ci im oferują. Dlatego wciąż muszą trzymać się z dala, wciąż sami, żeby utrzymać i ochronić pokój, umiejętności i wiedzę, które bez nich zostałyby w ciągu kilku lat zaprzepaszczone przez te wszystkie wojownicze szczepy, Domy, Wędrowców i grasujących ludożerców.

— Nie wszyscy oni są ludożercami — rzekł sucho Falk. Wydawało

się, że Orry kończy dobrze wyuczaną lekcję:

— Tak — zgodził się. — Przypuszczam; że nie wszyscy są ludożercami.

— Niektórzy z nich twierdzą, że stoczyli się tak nisko, ponieważ Shinga zmusili ich do tego, że jeśli szukają wiedzy, przeszkadzają im w tym, że jeśli usiłują stworzyć swoje własne Miasto, wówczas Shinga niszczą je i ich również.

Zapadło milczenie. Orry skończył wciągać pariithę z tuby, którą pieczołowicie zakopał wśród korzeni krzewu o długich, zwisających, krwistoczerwonych kwiatach. Falk czekał na odpowiedź i powoli zaczął sobie uświadamiać, że żadnej nie będzie. To, co powiedział, po prostu nie dotarło do chłopca, nie miało dlań żadnego sensu.

Przeszli kawałek wśród poruszających się świateł i wilgotnych zapachów pod rozmazaną plamą księżyca.

— Ta, której wizerunek pojawił się na początku, tam w pokoju… znasz ją?

— To Strella Siobelbel — odparł od razu chłopiec. — Tak, widywałem ją już na zebraniach Rady.

— Czy ona jest Shingą?

— Nie, nie należy do Władców. Sądzę, że jej rodacy są góralami, ale ona została wychowana w Es Toch. Wiele ludzi przyprowadza lub przysyła tutaj swoje dzieci, żeby wychowały się w służbie dla Władców. Sprowadza się tu również niedorozwinięte dzieci i podłącza do psychokomputerów, tak że nawet one mogą brać udział w wielkim dziele Władców. To są ci, których ciemni ludzie nazywają wykonawcami. Przybyłeś tutaj ze Strellą Siobelbel, prech Ramarren?

— Przyszedłem z nią, razem wędrowaliśmy, jedliśmy, spaliśmy. Powiedziała, że ma na imię Estrel i że jest Wędrowcem.

— Powinieneś się domyślić, że nie jest Shingą — powiedział chłopiec, potem zaczerwienił się, wyciągnął następną tubę i zaczął wciągać pariithę.

— Shinga nie spałaby ze mną? — zapytał Falk. Chłopiec wzruszył ramionami w swym wereliańskim przeczeniu, wciąż spłoniony. W końcu narkotyk dodał mu odwagi i powiedział:

— Oni nie dotykają zwykłych ludzi, prech Ramarren, oni są jak bogowie, zimni, dobrzy i mądrzy. Trzymają się z dala…

Był ambiwalentny, chaotyczny, dziecinny. Czy rozumiał swą samotność, osierocony i sam, przeżywszy swe dzieciństwo i rozpoczynający swą młodość pomiędzy tymi ludźmi, którzy zawsze byli daleko i nie pozwalali mu się dotknąć, którzy wypełniali go słowami, lecz w rzeczywistości pozostawiali tak pustym, że w wieku piętnastu lat musiał szukać pociechy w narkotykach? Z pewnością nie był świadom swego osamotnienia — w ogóle wydawał się nie mieć o niczym jasnego wyobrażenia — ale wyglądało z jego oczu,

spoglądających czasami tęsknie wprost na Falka. Było to spojrzenie kogoś, kto powalony pragnieniem na bezwodnej słonej pustyni wpatruje się tęsknym i niemal pozbawionym nadziei wzrokiem w miraż. Falk miał ochotę zapytać jeszcze o wiele innych spraw, ale dalsze indagowanie nie miało większego sensu. Ogarnięty współczuciem, położył rękę na ramieniu chłopca. Orry wzdrygnął się pod dotknięciem, nieśmiało i niepewnie uśmiechnął się i znowu pociągnął ze swej tuby.

Powróciwszy do swego pokoju, gdzie wszystko było z takim przepychem urządzone ku jego wygodzie — a może aby wywrzeć wrażenie na Orrym? — Falk chodził przez chwilę tam i z powrotem, jak zamknięty w klatce niedźwiedź, i w końcu ułożył się do snu. Śnił, że znalazł się w domu podobnym do Leśnego Domu, lecz mieszkańcy tego domu ze snu mieli oczy koloru agatu i bursztynu. Usiłował powiedzieć im, że jest jednym z nich, ich rodakiem, ale oni nie rozumieli tego, co mówił, i patrzyli na niego dziwnym, obcym wzrokiem, podczas gdy on jąkał się i szukał właściwych słów, prawdziwych słów, prawdziwych nazw.

Kiedy się obudził, wykonawcy czekali już, gotowi mu służyć. Odprawił ich, a oni posłusznie odeszli. Sam udał się do wielkiej sali. Nikt nie zagrodził mu drogi; nikogo też nie spotkał. Wszystko zdawało się opuszczone, nikt nie poruszał się po długich, mglistych korytarzach i po krętych estakadach czy wewnątrz półprzezroczystych, zamglonych ścian pokoi, których drzwi nie mógł dostrzec. Jednak przez cały czas czuł, że jest obserwowany, że każdy jego ruch jest rejestrowany.

Kiedy odnalazł drogę z povurotem do pokoju, zastał już tam Orry'ego, który chciał pokazać mu miasto. Zwiedzali całe popołudnie, pieszo i na śmigaczu — ulice, ogrody na tarasach, mosty, pałace i mieszkania Es Toch. Orry miał ze sobą dużo irydowyeh pasków, które spełniały tutaj rolę pieniądza, i kiedy Falk stwierdził, że nie podobają mu się szaty, jakich dostarczyli mu ich gospodarze, chłopiec zaczął nalegać, aby poszli do sklepu z odzieżą, gdzie będzie mógł wybrać sobie to, co zechce. Stał wśród wieszaków i lad zapełnionych wspaniałymi materiałami, naturalnymi i sztucznymi, o lśniących, różnobarwnych wzorach. Pomyślał o Parth tkającej w słońcu na swym małym warsztacie białe żurawie na szarej osnowie. Utkam dla siebie czarny materiał, powiedziała, i mając to w pamięci spośród wszystkich tych ślicznych sukien, szat i ubrań wybrał czarne spodnie, ciemną koszulę i krótki, czarny płaszcz z zimowego materiału.

— Te rzeczy są trochę podobne do tych, jakie nosimy w domu, na Werel — stwierdził Orry spoglądając przez chwilę z powątpiewaniem na swoją jaskrawoczerwoną tunikę. — Tylko nie mamy tam zimowego sukna. Och, tak wiele moglibyśmy zabrać z Ziemi na Werel, tyle

opowiedzieć i nauczyć, gdyby tylko udało nam się wrócić!

Doszli do jadłodajni położonej na przezroczystym tarasie wystającym nad przepaścią. Gdy chłodny, jasny zmierzch wypełnił cieniami otchłań pod nimi, wystrzelające znad jej krawędzi budynki zaczęły opalizować zimnym blaskiem — ulice i wiszące mosty rozjarzyły się światłami. W powietrzu wokół nich falowała muzyka, kiedy jedli pozbawione naturalnego smaku nadmiarem przypraw jedzenie i przyglądali się krążącym po mieście tłumom.

Niektórzy z tych, co wędrowali po Es Toch, ubrani byli biednie, inni bogato, wielu nosiło nie przystające do płci szaty, podobne do tych, jakie — jak sobie Falk niewyraźnie przypominał — miała na sobie Estrel, kiedy zobaczył ją w półprzezroczystych pokojach. Było tam wiele typów ludzkich, niektóre różne od wszystkiego, co dotychczas widział. Jedna z grup składała się z białoskórych osobników o błękitnych oczach i włosach koloru słomy. Falk był przekonany, że sami się tak wybielili, lecz Orry wyjaśnił, że są to członkowie jednego ze szczepów z obszaru Drugiego Kontynentu, którego kultura popierana była przez Shinga. Przywozili tutaj stratolotami ich przywódców i młodzież, aby zobaczyli Es Toch i nauczyli się zwyczajów Shinga.

— Widzisz teraz, prech Ramarren, że to nieprawda, iż Władcy wzbraniają tubylcom uczyć się. To właśnie tubylcy są tymi, którzy zakazują się uczyć. Ci biali korzystają z wiedzy Władców.

— A cóż takiego musieli zapomnieć, żeby na to zasłużyć? — zapytał Falk, lecz pytanie to nic dla Orry'ego nie znaczyło. Nie wiedział prawie nic o żadnym z tych „tubylczych szczepów", jak żyli lub co wiedzieli. Sklepikarzy i kelnerów traktował z uprzejmą protekcjonalnością, jak istoty niższe. Tę wyniosłość mógł przywieźć ze sobą z Werel, gdyż opisał społeczeństwo Kelshak jako hierarchicznie podporządkowane, gdzie niezwykłą wagę przywiązywano do pozycji zajmowanej przez poszczególnych członków społeczności na określonych szczeblach drabiny społecznej, chociaż Falk nie rozumiał, jakie kryteria lub wartości decydują o przynależności do danej klasy. Z pewnością nie chodziło tu o pozycję wynikającą z samego faktu urodzenia się w tej czy innej klasie, lecz dziecięce wspomnienia Orry'ego nie wystarczały do uzyskania jasnego obrazu. Jakkolwiek wyniosłość Orry'ego mogła brać się właśnie stąd, niemniej jednak Falka irytował sposób, w jaki wypowiadał słowo „tubylcy", i w końcu zapytał z wyraźną ironią:

— Skąd wiesz, komu masz się kłaniać, a kto ma się kłaniać tobie? Bo ja nie umiem odróżnić Władców od tubylców. Przecież Władcy s ą tubylcami, prawda?

— O, tak. Tubylcy sami tak się nazywają, ponieważ są przekonani, że Władcy to obcy najeźdźcy. Ja też nie zawsze potrafię

odróżnić ich od siebie — odparł Orry z nieśmiałym; ujmującym, szczerym uśmiechem.

— Czy wielu z tych na ulicach to Shinga?

— Sądzę, że tak. Oczywiście tylko niektórych znam z widzenia.

— Nie rozumiem, co powoduje, że Władcy, Shinga, trzymają się z dala od tubylców, jeśli wszyscy oni są Ziemianami?

— Cóż, wiedza, władza… Władcy władają Ziemią dłużej niż achinowao włada Kelshy!

— A jednak wciąż tworzą odrębną kastę? Powiedziałeś, że Władcy są zwolennikami demokraji. — Było to starożytne słowo i zwróciło jego uwagę, kiedy Orry pierwszy raz go użył; nie był pewien jego znaczenia, lecz wiedział, że wiąże się z powszechnym udziałem w rządzie.

— Tak, z pewnością, prech Ramarren. Rada sprawuje rządy demokratycznie, dla dobra ogółu, i nie ma tam miejsca na króla czy dyktatora. Może pójdziemy do salonu pariithy? Mają tam też psychostymulatory, jeśli nie odpowiada ci pariitha, są też tancerze i muzycy grający na tëanbach…

— Lubisz muzykę?

— Nie — odparł otwarcie chłopiec, jak gdyby przepraszając. — Sprawia, że chce mi się płakać albo krzyczeć.

Na Werel śpiewają tylko zwierzęta i małe dzieci. To jest… to wydaje się niestosowne, żeby słuchać, jak śpiewają dorośli. Ale Władcy chętnie popierają tubylcze sztuki. A taniec, czasami, jest bardzo przyjemny…

— Nie. — Falka ogarniało coraz większe zniecierpliwienie, chęć zrozumienia tego wszystkiego i skończenia z tym. — Mam kilka pytań do tego, które nazywa się Abundibot, o ile zechce się z nami zobaczyć.

— Z, pewnością. Przez długi czas był moim nauczycielem, mogę się z nim skontaktować za pomocą tego. — Orry uniósł do ust obejmujące nadgarstek złote ogniwa. Gdy mówił do bransolety, Falk siedział wspominając szeptane modlitwy Estrel, kierowane do amuletu, i dziwił się bezmiarowi własnej tępoty. Każdy głupiec domyśliłby się, że ta rzecz jest nadajnikiem; każdy z wyjątkiem tego jednego…

— Lord Abundibot mówi, że możemy przyjść, kiedy tylko chcemy. Jest we Wschodnim Pałacu — oznajmił Orry. Wychodząc z jadłodajni chłopiec rzucił metalowy pieniądz zgiętemu w ukłonie kelnerowi, który odprowadził ich do drzwi.

Wiosenne chmury burzowe zakrywały księżyc i gwiazdy, lecz ulice płonęły światłami. Falk przemierzał je z ciężkim sercem. Wbrew wszystkim swym obawom pragnął ujrzeć miasto, *elonaae,* Siedzibę Ludzi, lecz Es Toch tylko dręczyło go i nużyło. To nie tłumy niepokoiły go, choć w swym życiu, tym, które pamiętał, widział nie

więcej niż dziesięć domów czy stu ludzi naraz. To nie rzeczywistość tego miasta była tak przygniatająca, lecz jego nierzeczywistość. To nie była Siedziba Ludzi. Es Toch nie dawało poczucia historii, sięgania wstecz w czasie i osiągania nowych przestrzeni, choć już od tysiąclecia panowało nad światem. Nie było tam żadnej biblioteki, szkoły czy muzeum, których szukał, pamiętając stare taśmy, jakie oglądał w Domu Zove. Nie było pomników ani pamiątek ze Złotego Wieku Człowieka, nie było nowych źródeł zasilających naukę czy rzemiosło. Używano pieniędzy tylko dlatego, że Shinga je rozdawali, gdyż nie było systemu ekonomicznego, który zastąpiłby je własnymi, o realnej sile nabywczej. Chociaż powiadano, że Władców jest tak wielu, to jednak na Ziemi zamieszkiwali tylko jedno, odcięte od reszty świata miejsce, tak jak sama Ziemia odcięta była od innych światów, które niegdyś tworzyły Ligę. Es Toch było samowystarczalne pod każdym względem, pozbawione korzeni; cały blask jego świateł, doskonałość konstrukcji i maszyn, luksusowa gmatwanina jego ulic wypełniona różnorodnym tłumem przybyszów — wszystko to wznosiło się nad otchłanią, pustką. To była Siedziba Kłamstwa. A jednak była cudowna, jak oszlifowany klejnot przepadły w bezmiernej dziczy Ziemi; cudowny, bezwieczny, obcy.

Śmigacz niósł ich ponad jednym ze spajających krawędzie przepaści, pozbawionych balustrad mostów ku świecącej wieży. Rzeka, daleko w dole, płynęła niewidoczna w ciemności, góry skrywały noc, burza i blask miasta. Przy wejściu do wieży wyszedł im na spotkanie wykonawca i zaprowadził do zabezpieczonej śluzą windy, a stamtąd do pokoju, którego pozbawione okien przezroczyste jak wszędzie ściany zdawały się utkane z błękitnawej, skrzącej się mgły. Poproszono ich, aby usiedli, a następnie podano im jakiś napój w wysokich, srebrnych pucharach. Falk skosztował go ostrożnie i ze zdziwieniem stwierdził, że jest to ten sam pachnący jałowcem trunek, jakim poczęstowano go kiedyś w Enklawie Kansas. Wiedział już, że jest to mocny napój alkoholowy i nie pił więcej, za to Orry wypił ochoczo, wielkimi łykami. Wszedł Abundibot, wysoki, w białych szatach, z twarzą jak maska, i odprawił wykonawcę ledwo dostrzegalnym gestem. Zatrzymał się w pewnej odległości od Falka i Orry'ego. Wykonawca pozostawił trzeci srebrny puchar na maleńkim stoliku. Abundibot uniósł go jak gdyby w geście pozdrowienia, wypił duszkiem, a potem odezwał się swym oschłym, szepczącym głosem.

— Widzę, że nie pijesz, Lordzie Ramarren. Na Ziemi znane jest stare, bardzo stare powiedzenie: w winie prawda. — Uśmiechnął się i zaraz zgasił swój uśmiech. — Lecz być może twoje pragnienie ugasi prawda, nie wino.

— Chciałbym zadać ci pytanie.

— Tylko jedno? — Brzmiąca w jego głosie nuta szyderstwa

wydała się Falkowi tak wyraźna — wyraźna do tego stopnia, że spojrzał na Orry'ego, aby zobaczyć, czy ją uchwycił. Lecz chłopiec, ze spuszczonymi oczami, pociągając pariithę z następnej tuby, nie słyszał niczego.

— Chciałbym przez chwilę porozmawiać z tobą sam na sam — rzekł szorstko Falk.

Słysząc to Orry, zaintrygowany, uniósł wzrok. Shinga powiedział:

— Oczywiście możesz. Tak czy inaczej moja odpowiedź będzie taka sama, bez względu na to; czy Har Orry będzie przy tym obecny, czy nie. Nie ma niczego, co chcielibyśmy ukryć przed nim, a powiedzieć tobie, jak również niczego, co chcielibyśmy ukryć przed tobą, a powiedzieć jemu. Niemniej jednak jeśli chcesz, aby wyszedł, niech tak będzie.

— Poczekaj na mnie w sali, Orry — powiedział Falk i chłopiec, jak zawsze uległy, wyszedł. Kiedy pionowe krawędzie drzwi zamknęły się za nim, Falk — szepcząc raczej, gdyż wszyscy tutaj szeptali — powiedział: — Chcę powtórzyć to, o co pytałem cię już wcześniej. Nie jestem jednak pewien, czy dobrze zrozumiałem. Możecie przywrócić moją wcześniejszą pamięć tylko kosztem obecnej, czy to prawda?

— Dlaczego pytasz mnie, co jest prawdą? Czy uwierzysz w to, co ci powiem?

— Dlaczego… dlaczego miałbym nie wierzyć? — odparł Falk, lecz serce w nim zamarło, gdyż czuł, że Shinga bawi się z nim jak z nieświadomą i bezsilną istotą.

— Czyż nie jesteśmy Kłamcami? Nie wierzysz w nic, co ci mówimy. Tego właśnie nauczono cię w Domu Zove, tak właśnie myślisz. Wiemy, co myślisz.

— Odpowiedz na moje pytanie — powiedział Falk, zdając sobie sprawę z daremności swego uporu.

— Powiem ci to, co już powiedziałem wcześniej, i najjaśniej, jak potrafię, chociaż to Ken Kenyek jest tym, który wie o tych sprawach najwięcej. On jest naszym najzdolniejszym mentalistą. Czy chcesz, abym go wezwał? Niewątpliwie chętnie prześle tu swój obraz. Nie? Oczywiście, to bez znaczenia. Z grubsza rzecz biorąc, odpowiedź na twoje pytanie wygląda następująco: twój umysł został, tak jak powiedzieliśmy, wytarty. Wytarcie umysłu jest operacją — oczywiście nie chirurgiczną, lecz oddziaływającą na neuronalne struktury mózgu i wymagającą skomplikowanego wyposażenia psychoelektronicznego — której efekty są nieodwracalne w stopniu nieosiągalnym dla tych, będących wynikiem jakiejkolwiek zwykłej blokady hipnotycznej. Przeto, choć odtworzenie wytartej osobowości jest możliwe, jest to proces o wiele bardziej drastyczny niż zdjęcie blokady hipnotycznej. Problemem jest w tej chwili zastępcza, dodatkowa, częściowa pamięć i struktura osobowości, które ty nazywasz „sobą". Oczywiście, w

rzeczywistości tak nie jest. Patrząc na to bezstronnie, ta wtórnie wyrosła jaźń jest zaledwie szczątkiem, emocjonalnie skołowaciałym i intelektualnie nieudolnym, w porównaniu z twoją prawdziwą, tak głęboko ukrytą osobowością. Tak jak i my nie możemy, tak i nie spodziewamy się, abyś i ty mógł patrzeć na ta bezstronnie, niemniej mieliśmy ochotę zapewnić cię, że odtworzony Ramarren będzie zawierał kontynuację Falka. I kusiło nas, aby cię okłamać po to, żeby zaoszczędzić ci strachu i wątpliwości i uczynić twą decyzję łatwiejszą. Lecz lepiej, że znasz prawdę, nie mogliśmy postąpić inaczej i jak sądzę, ty też nie mógłbyś. Prawda wygląda tak: jeśli przywrócimy normalny stan i funkcjonowanie całości połączeń synaptycznych twego pierwotnego umysłu — jeśli mogę tak uprościć tę niewiarygodnie skomplikowaną operację, którą Ken Kenyek ze swoimi psychokomputerami gotów jest przeprowadzić — to rekonstrukcja spowoduje całkowitą blokadę zastępczych połączeń synaptycznych, które teraz uważasz za swój umysł i jaźń. Zastępcza osobowość zostanie bezpowrotnie usunięta: teraz ona z kolei zostanie wytarta.

— Zatem, aby Ramarren mógł zmartwychwstać, musicie zabić Falka.

— Nie zabijamy — odezwał się Shinga ochrypłym szeptem, a potem powtórzył z porażającą umysł intensywnością w myślomowie: „Nie zabijamy”.

Zapadło milczenie.

— Niekiedy trzeba zrezygnować z czegoś mniejszego, aby uzyskać coś większego. Zawsze tak było — wyszeptał Shinga.

— Ktoś, kto żyje, musi godzić się ze śmiercią — rzekł Falk i zobaczył, jak podobna do maski twarz skrzywiła się. — Dobrze. Zgadzam się. Pozwalam wam mnie zabić. Moja zgoda tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, prawda?… A jednak potrzebujecie jej.

— Nie zabijemy cię — szept był teraz głośniejszy. — My nie zabijamy. Nikomu nie odbieramy życia. Przywrócimy cię twemu prawdziwemu życiu i naturze. Jednak musisz zapomnieć. Taka jest cena, nie ma żadnej innej możliwości: jeśli chcesz być Ramarrenem, musisz zapomnieć Falka. Tak, na to musisz się zgodzić, lecz to jest wszystko, o co prosimy.

— Daj mi jeszcze jeden dzień — powiedział Falk i podniósł się, kończąc rozmowę. Był zgubiony i nic nie mógł zrobić. A jednak spowodował, że maska skrzywiła się — dotknął, na ułamek chwili, samej istoty kłamstwa i w tym momencie czuł, że gdyby wiedział dostatecznie wiele i był wystarczająco silny, dotarłby do prawdy, która leżała w zasięgu ręki.

Falk opuścił budynek razem z Orrym i kiedy znaleźli się na ulicy, powiedział:

— Przejdź się ze mną kawałek. Chcę porozmawiać z tobą poza

tymi murami. — Przeszli przez jasną ulicę do krawędzi urwiska i stanęli obok siebie owiewani podmuchami zimnego wiatru wiosennej nocy, a obok nich światła mostu pędziły ponad czarną otchłanią, która opadała od skraju ulicy pionowo w dół.

— Czy miałem prawo — zaczął z wolna Falk — wydawać ci polecenia, kiedy byłem Ramarrenem?

— Jakiekolwiek — odparł chłopiec z gotowością i rozwagą, która zdawała się wynikiem wychowania, jakie otrzymał na Werel.

Falk spojrzał mu prosto w twarz i przez chwilę nie spuszczał zeń wzroku. Wskazał na złote ogniwa bransolety na nadgarstku chłopca i gestem polecił, aby ją ściągnął i wyrzucił w przepaść.

Orry zaczął coś mówić i Falk położył palec na jego ustach.

Oczy chłopca zabłysły, zawahał się, a potem zsunął łańcuszek i cisnął go w ciemność. Kiedy znów odwrócił się do Falka, na jego twarzy wyraźnie widać było strach, zmieszanie i pragnienie pochwały.

Wówczas Falk po raz pierwszy odezwał się do niego w myślomowie: „Czy masz jeszcze jakieś urządzenia lub ozdoby, Orry?”

W pierwszej chwili chłopiec nie zrozumiał. Przekaz Falka nie był tak skoncentrowany i o wiele słabszy w porównaniu z tym, jakim posługiwali się Shinga. Kiedy w końcu zrozumiał, odpowiedział wyraźnie i czysto w ten sam sposób: „Nie. Tylko komunikator. Dlaczego kazałeś mi go wyrzucić?”

„Nie chcę, żeby słyszał mnie ktokolwiek inny oprócz ciebie, Orry”.

Chłopiec wyglądał na przestraszonego i zdenerwowanego. — Władcy słyszą — wyszeptał. — Mogą słyszeć myślomowę gdziekolwiek, prech Ramarren. A ja dopiero zacząłem ćwiczyć techniki ochronne.

— Więc będziemy mówić — powiedział Falk, chociaż wątpił, aby Shinga mogli podsłuchiwać myślomowę „gdziekolwiek” bez pomocy jakichś mechanicznych urządzeń. — Jest coś, o co chcę cię prosić. Ci władcy Es Toch sprowadzili mnie tutaj, aby jak się wydaje, przywrócić moją dawną pamięć, pamięć Ramarrena. Lecz mogą to uczynić, lub chcą to uczynić, tylko kosztem mojej obecnej pamięci, pamięci tego, kim jestem i wszystkiego, czego dowiedziałem się o Ziemi. Tak twierdzą. A ja nie chcę, żeby tak się stało. Nie chcę zapomnieć tego, co wiem i czego się domyślam, nie chcę stać się nieświadomym narzędziem w ich rękach. Nie chcę jeszcze raz umrzeć przed swoją śmiercią! Nie sądzę, żebym mógł się im przeciwstawić, ale spróbuję i dlatego właśnie chcę cię prosić… — przerwał wahając się po między różnymi możliwościami, gdyż tak naprawdę nie opracował jeszcze żadnego planu.

Orry, dotychczas podniecony, znowu spochmurniał, zmieszany, i w końcu zapytał:

— Ale dlaczego…

— Tak? — powiedział Falk widząc, jak autorytet, który na tak krótko pozyskał u Orry'ego, ulatnia się. Wstrząsnął Orrym do tego stopnia, że chłopiec ośmielił się zadać pytanie „dlaczego" i jeśli kiedykolwiek miał do niego dotrzeć, musiał to uczynić zaraz.

— Dlaczego nie ufasz Władcom? Dlaczego sądzisz, że chcą zetrzeć twoją pamięć o Ziemi?

— Ponieważ Ramarren nie wie tego, co ja wiem. I ty też tego nie wiesz. A nasza niewiedza może zdradzić świat, z którego przybyliśmy.

— Ale… ale ty przecież wcale nie pamiętasz naszego świata…

— Nie. Lecz nie chcę służyć Kłamcom, którzy władają tym. Słuchaj. Myślę, że wiem, czego chcą. Chcą przywrócić moją poprzednią pamięć, żeby poznać prawdziwą nazwę a tym samym położenie naszego świata. Jeśli dowiedzą się tego podczas operacji na moim umyśle, wówczas, jak sądzę, zabiją mnie od razu, a tobie powiedzą, że operacja zakończyła się tragicznie, albo jeszcze raz wymażą moją pamięć, a tobie powiedzą, że operacja się nie powiodła. Jeśli zaś nie dowiedzą się, pozostawią mnie przy życiu, przynajmniej dopóki nie powiem im tego, co chcą wiedzieć. A ja, jako Ramarren, nie będę wiedział wystarczająco wiele, żeby im nie powiedzieć. Wówczas może wyślą nas z powrotem na Werel, jedynych pozostałych przy życiu członków wyprawy, powracających po stuleciach do domu, żeby opowiedzieć swym rodakom, jak na ciemnej, barbarzyńskiej Ziemi Shinga, nie zważając na żadne przeciwności, podtrzymują płomień cywilizacji. Shinga, którzy nie są wrogami ludzkości, tylko poświęcającymi się dla innych Władcami, mądrymi Władcami, prawdziwymi synami Ziemi, a nie jakimiś obcymi najeźdźcami. I opowiemy na Werel wszystko, co wiemy o przyjaznych Shinga. A oni uwierzą nam. Uwierzą w kłamstwa, w które my będziemy wierzyć. Więc nie będą obawiać się ataku ze strony Shinga ani też nie będą uważali za konieczne pomóc mieszkańcom Ziemi, prawdziwym ludziom, oczekującym wyzwolenia od kłamstwa.

— Ale, prech Ramarren, to nie są kłamstwa — powiedział Orry.

Falk przyglądał mu się przez chwilę wśród rozmazanych, jasnych, ruchomych świateł. Serce w nim zamarło, lecz w końcu zapytał:

— Czy zrobisz to, o co cię poproszę?

— Tak — wyszeptał chłopiec.

— I nie zdradzisz tego żadnej innej żywej istocie?

— Tak.

— To bardzo proste. Kiedy zobaczysz mnie pierwszy raz jako Ramarrena… jeśli kiedykolwiek tak się stanie… zwróć się do mnie tymi słowami: przeczytaj pierwszą stronę książki.

— Przeczytaj pierwszą stronę książki — powtórzył posłusznie Orry.

Przez chwilę milczeli. Falka wypełniało poczucie daremności wszelkich poczynań, czuł się jak mucha uwięziona w pajęczej sieci.

— To wszystko, prech Ramarren?

— Wszystko.

Chłopiec skłonił głowę i wyszeptał kilka słów w swym ojczystym języku, niewątpliwie jakąś Formułkę przyrzeczenia. Potem zapytał:

— Co mam powiedzieć o komunikatorze, prech Ramarren`?

— Prawdę. Nie ma znaczenia, co powiesz, jeśli zachowasz w tajemnicy to, o co cię prosiłem — odparł Falk. Wydawało się, że przynajmniej nie nauczyli chłopca kłamać. Ale też nie nauczyli go odróżniać prawdy od kłamstwa.

Orry przewiózł ich na swym śmigaczu przez most i Falk znowu znalazł się wśród lśniących, zamglonych ścian pałacu, tam gdzie na samym początku zaprowadziła go Estrel. Gdy tylko znalazł się sam w pokoju, opanowały go strach i wściekłość, wiedział bowiem, jak bardzo dał się oszukać i jak beznadziejne jest jego położenie. I kiedy w końcu opanował już swój gniew, wciąż chodził po pokoju jak niedźwiedź po klatce, walcząc ze strachem przed śmiercią.

Może zdołałby ich ubłagać, by pozwolili mu dalej żyć z pamięcią Falka, który był dla nich bezużyteczny, ale i nieszkodliwy.

Nie. Nie zdołałby. To było oczywiste i tylko tchórzostwo mogło spowodować, że przyszło mu to do głowy. Nie było żadnej nadziei.

Może udałoby mu się uciec?

Może. Pozorna pustka tego wielkiego budynku mogła być pułapką albo jak wiele innych rzeczy tutaj, złudzeniem. Czuł i domyślał się, że jest nieustannie śledzony, że niewidoczni szpiedzy lub urządzenia rejestrują każdy jego gest i słowo. Wszystkie drzwi strzeżone były przez wykonawców lub elektroniczne urządzenia kontrolne. Lecz gdyby nawet uciekł z Es Toch, to co dalej?

Czy zdołałby powrócić przez góry, równiny, las i dotrzeć w końcu do Polany, gdzie Parth… Nie, rzucił sam sobie w gniewie. Nie może wrócić. Tak daleko zaszedł podążając za swym przeznaczeniem, że musi podążyć za nim do końca: przez śmierć, jeśli tak już musi być, do odrodzenia — odrodzenia nieznanego człowieka, obcej duszy.

Nie było tu jednak nikogo, kto powiedziałby prawdę temu nieznanemu i obcemu człowiekowi. Nie było tu nikogo, z wyjątkiem jego samego, komu Falk mógłby zaufać, i dlatego Falk nie tylko musi umrzeć, lecz jeszcze jego śmierć posłuży woli Wroga. Z tym właśnie nie mógł się pogodzić, to było nie do zniesienia. Chodził tam i z powrotem wśród zielonkawego półmroku swego pokoju. Rozmazane, bezdźwięczne błyskawice łyskały nad sufitem. Nie będzie służył Kłamcom, nie powie im tego, co chcą wiedzieć. To nie o Werel się martwił — gdyż wszystko, co wiedział, wszystkie jego domysły były nic niewarte i sama Werel była kłamstwem, a Orry był bardziej

niezgłębiony niż Estrel; nic nie było pewne. Lecz kochał Ziemię, chociaż był tu obcy. A Ziemia oznaczała dla niego ten dom w Lesie, słoneczne światło na Polanie, Parth. I tego nie zdradzi. Musi wierzyć, że jest jakiś sposób, by się powstrzymać — pomimo wszystkich złych mocy i oszustw — od zdradzenia tego, co pokochał.

Wciąż i wciąż usiłował wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby mu — Falkowi — pozostawić wiadomość sobie samemu, przyszłemu Ramarrenowi — zadanie samo w sobie tak groteskowe, że niemal niewyobrażalne, a poza tym nie do rozwiązania. Gdyby nawet Shinga nie zauważyli, że pisze wiadomość, z pewnością odnaleźliby ją, kiedy już zostałaby sporządzona. Początkowo zamierzał użyć Orry'ego jako pośrednika, polecając mu, by powiedział Ramarrenowi: „Nie odpowiadaj na pytania Shinga", ale nie miał żadnej pewności, czy Orry go posłucha i czy utrzyma polecenie w tajemnicy. Shinga tak manipulowali umysłem chłopca, że był właściwie ich narzędziem; nawet ta bezsensowna wiadomość, którą mu niedawno przekazał, mogła już być znana jego Władcom.

Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, żaden podstęp, środek czy sposób, aby przerwać to błędne koło. Była tylko jedna szansa, a właściwie cień szansy, że pozostanie sobą, że pomimo tego wszystkiego, co będą z nim robili, pozostanie sobą i nie zapomni, nie umrze. Jedyną myślą, jaka dawała mu podstawę do nadziei, była ta, że możliwe jest to, o czym Shinga mówili, że jest niemożliwe.

Chcieli, by uwierzył, że jest to niemożliwe.

Zatem złudzenia, widziadła i halucynacje, jakich doświadczył w pierwszych godzinach czy dniach pobytu w Es Toch, miały na celu oszołomienie go i osłabienie jego wiary w siebie, tego właśnie chcieli. Chcieli, żeby stracił zaufanie do siebie, swych przekonań, wiedzy i siły. Wszystkie opowieści o wytarciu umysłu miały przestraszyć go i zarazem przekonać, że nie jest w stanie przeciwstawić się ich parahipnotycznym operacjom.

Ramarren nie zdołał się im oprzeć.

Lecz Ramarren w przeciwieństwie do Falka nie żywił żadnych podejrzeń ani też nikt go nie ostrzegł przed ich możliwościami czy przed tym, co będą usiłowali z nim zrobić. A to mogło mieć znaczenie. Poza tym pamięć Ramarrena nie mogła zostać nieodwracalnie zniszczona, choć twierdzili, że tak stanie się z pamięcią Falka, czego dowodem było to, że zamierzali ją odtworzyć.

To była szansa, niezwykle nikła szansa. Wszystko, co mógł zrobić, to powiedzieć p r z e ż y j ę, w nadziei, że to może być prawda i jeśli będzie miał szczęście, tak się stanie. A jeśli nie będzie miał szczęścia?…

Nadzieja jest bardziej niepewna, ale i silniejsza od wiary, myślał chodząc po pokoju, podczas gdy w górze błyskały bezdźwięczne

pioruny. W szczęśliwszych czasach pokłada się ufność w życiu, w złych pozostaje już tylko nadzieja. Ale ufność i nadzieja sprowadzają się do tego samego: stanowią niezbędne powiązanie umysłu z innymi umysłami, ze światem i czasem. Bez zaufania może istnieć człowiek, ale nie ludzkie życie: bez nadziei człowiek umiera. Tam, gdzie nie ma tego związku, gdzie dłonie nie splatają się, tam uczucia zanikają w pustce, a inteligencja staje się bezpłodna i szalona. Wówczas pomiędzy ludźmi jedyną więzią pozostaje ta, która łączy właściciela z niewolnikiem lub mordercę z ofiarą.

Prawa tworzone są przeciwko tym popędom, których ludzie najbardziej się boją. „Nie zabijaj" — brzmiało jedyne prawo Shinga, którym tak się chełpili. Wszystko inne było dozwolone, co być może w rzeczywistości oznaczało, że nic więcej ich nie obchodziło… Obawiając się swego pociągu do śmierci, głosili Cześć dla Życia, oszukując się swym własnym kłamstwem.

Nigdy nie zdobędzie nad nimi przewagi, chyba że dzięki wartości, jakiej żaden kłamiący nie stawi czoła — uczciwości. Być może nie przyjdzie im do głowy, że człowiek może tak bardzo chcieć być sobą, żyć swoim życiem, że może oprzeć się im nawet wówczas, kiedy jest całkowicie bezradny i uzależniony od nich.

Być może. Być może.

W końcu zakazał sobie o tym myśleć, wziął książkę, którą podarował mu Książę Kansas i której wbrew przepowiedni Księcia jeszcze nie stracił, po czym czytał ją przez pewien czas, bardzo uważnie, zanim zasnął.

Następnego poranka — być może ostatniego w tym życiu — Orry zaproponował wycieczkę stratolotem i Falk zgodził się, wyrażając chęć zobaczenia Zachodniego Oceanu. Z wyszukaną grzecznością dwóch Shinga zapytało, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, aby towarzyszyli swemu szanownemu gościowi i odpowiedzieli na pytania, jakie może pragnąłby zadać o ich Ziemskim Dominium lub o planowanej na następny dzień operacji. Istotnie, Falk żywił nieokreśloną nadzieję, że dowie się czegoś więcej o tym, co mają zamiar zrobić z jego umysłem, po to, żeby stawić jak największy opór ich mentalnym manipulacjom. Ale niczego się nie dowiedział. Ken Kenyek zarzucił go mnóstwem szczegółów dotyczących neuronów, połączeń międzysynaptycznych, odtworzeń, blokad, uwolnień, środków psychotropowych, hipnozy, parahipnozy, sprzężeń mózg-komputer… z których żaden nie oznaczał niczego konkretnego, wszystkie zaś napawały lękiem. Falk wkrótce zaniechał wysiłków, aby cokolwiek zrozumieć.

Stratolot, pilotowany przez niemego wykonawcę, który zdawał się czymś niewiele więcej niż przedłużeniem tablicy kontrolnej, przeskoczył góry i wystrzelił na zachód ponad pustkowiami,

jaskrawymi od krótkotrwałego rozkwitu wiosny. W ciągu kilku minut zbliżyli się do granitowej ściany Zachodniego Pasma. Wciąż jeszcze strome, strzaskane i nie tknięte erozją od czasu kataklizmu sprzed dwóch tysięcy lat krawędzie Sierry wznosiły się wypiętrzając poszarpane szczyty z otchłani śniegu. Po drugiej stronie grani leżał błyszczący w świetle słońca ocean, a pod morskimi falami ciemniały połacie zatopionego lądu.

Tam niegdyś wznosiły się starte z powierzchni ziemi miasta — tak jak w jego umyśle trwały zapomniane miasta, stracone siedziby, przepadłe imiona. Kiedy stratolot zataczał łuk zawracając na wschód, powiedział:

— Jutro nastąpi trzęsienie ziemi, które pochłonie Falka…

— Niestety, tak właśnie musi być, Lordzie Ramarren — odezwał się Abundibot z satysfakcją. A może Falkowi wydawało się tylko, że słyszy w jego głosie zadowolenie. Ilekroć słowa Abundibota wyrażały jakieś uczucie, brzmiały tak fałszywie, że zdawały się wyrażać coś zupełnie przeciwnego; lecz być może tym, co zawierały w rzeczywistości, był całkowity brak jakiegokolwiek uczucia czy emocji. Ken Kenyek, białoskóry i bladooki, o regularnych, ukrywających wiek rysach twarzy, ani nie okazywał, ani nie udawał żadnych uczuć, kiedy mówił lub kiedy, tak jak teraz, siedział nieporuszony, obojętny, ani pogodny, ani bierny, lecz całkowicie zamknięty w sobie, samowystarczalny, odległy.

Stratolot przemknął ponad milami pustyni dzielącej Es Toch od morza — na całym tym wielkim obszarze nie było śladu ludzkiej bytności. Wylądowali na dachu budynku, w którym znajdował się pokój Falka. Po kilku godzinach spędzonych w obojętnym, przygnębiającym towarzystwie Shinga nawet jego iluzoryczna samotność wydała mu się godna pożądania. Pozwolili mu się nią nacieszyć; resztę popołudnia i wieczór spędził sam pośród zamglonych ścian swego pokoju. Bał się, że Shinga mogą znowu oszołomić go narkotykami lub otoczyć złudzeniami, aby zdezorientować go i osłabić jego wolę, lecz najwidoczniej czuli, że nie muszą już więcej stosować wobec niego takich środków ostrożności. Dali mu spokój, więc mógł chodzić po przezroczystej podłodze, siedzieć bez ruchu i czytać swoją książkę. Cóż innego mógł przeciwstawić ich woli?

Wciąż i wciąż w ciągu tych długich godzin powracał do książki, do Starego Kanonu. Nie ośmielił się nawet naznaczyć jej paznokciem, czytał ją tylko, zmagając się ze zmienionymi literami, całkowicie pochłonięty, oddając się słowom, powtarzając je sobie, gdy chodził, siedział czy leżał, powracając wciąż i znowu, i jeszcze raz do początku, do pierwszych słów pierwszej strony:

Droga, którą zdążasz
nie jest Drogą wieczną

Imię, które rzeczy dajesz
Nie jest Nazwą wieczną.

Głęboką nocą, słaniając się z umęczenia i głodu pod naporem myśli, których nie chciał do siebie dopuścić, i strachu przed śmiercią, którego nie chciał czuć, jego umysł w końcu znalazł się w stanie, do którego dążył. Ściany runęły, jaźń zniknęła i stał się nicością. Był słowami — był słowem, słowem wypowiedzianym w ciemności, którego nikt nie słyszał od samego początku, był pierwszą stroną czasu. Jego jaźń odpadła od niego i był całkowicie i niezmiennie sobą — bezimiennym, samotnym, jedynym.

Stopniowo powracały znaczenia, rzeczy odzyskały nazwy, a ściany odbudowały się. Przeczytał jeszcze raz pierwszą stronę książki i położył się spać.

Wschodnia ściana pokoju jarzyła się jasnoszmaragdowo w promieniach wschodzącego słońca, kiedy przyszło po niego dwóch wykonawców. Wyprowadzili go przez zamglone sale i korytarze na zewnątrz, a potem przewieźli śmigaczem przez pogrążone w cieniach ulice na drugą stronę przepaści, do jeszcze jednej wieży. Ci, którzy się nim teraz zajęli, nie byli służącymi, lecz parą wielkich, niemych strażników. Pamiętając metodyczną brutalność, z jaką zbili go, kiedy po raz pierwszy wkroczył do Es Toch — pierwszą lekcję, jaką otrzymał od Shinga, mającą podkopać jego wiarę w siebie — domyślił się, iż obawiają się, że mógłby spróbować uciec w tych ostatnich chwiłach i widok strażników miał mu wybić takie pomysły z głowy.

Wprowadzono go w labirynt pokoi, który kończył się jasno oświetlonymi, podziemnymi kabinami, otoczonymi murem ekranów i pulpitów ogromnego zespołu komputerów. Był tam tylko Ken Kenyek, który podniósł się od jednego z pulpitów i zbliżył, aby go powitać. Zastanawiające było, że widywał Shinga tylko pojedynczo lub co najwyżej po dwóch naraz, a w sumie widział ich tylko kilku. Lecz nie było teraz czasu, by się nad tym zastanawiać, chociaż niewyraźne wspomnienie czy wyjaśnienie tego faktu błąkało się przez chwilę po obrzeżach jego umysłu, dopóki nie odezwał się Ken Kenyek:

— Ostatniej nocy nie próbowałeś popełnić samobójstwa — powiedział swym bezdźwięcznym szeptem. Rzeczywiście. Było to jedyne wyjście, o którym Falk nigdy nie pomyślał.

— Stwierdziłem, że pozwolę, żebyś ty to zrobił — odparł. Ken Kenyek nie zwrócił na to uwagi, choć sprawiał wrażenie, że słucha uważnie.

— Wszystko gotowe — powiedział. — To są takie same układy i dokładnie takie same połączenia, jakich użyto sześć lat temu do zablokowania struktur twej pierwotnej świadomości i podświadomości. Z twoją zgodą usunięcie blokady nie będzie trudne

ani nie spowoduje żadnego urazu. Zgoda ma podstawowe znaczenie dla odbudowy struktur, chociaż jest całkowicie nieistotna przy ich blokadzie. Czy jesteś już gotów? — Niemal równocześnie z tymi słowami do Falka dotarł oślepiająco jasny przekaz myślowy: „Jesteś już gotów?”

Przysłuchiwał się uważnie, kiedy Falk odpowiedział w ten sam sposób.

Jak gdyby usatysfakcjonowany odpowiedzią lub jej empatyczną aurą, Shinga skinął głową i odezwał się swym monotonnym szeptem:

— Zatem zacznę bez narkotyków. Narkotyki zacierają ostrość procesu parahipnotycznego. Łatwiej pracować bez nich. Usiądź tam.

Falk usłuchał, milcząc i usiłując utrzymać w milczeniu również swój umysł.

Na jakiś niewidoczny znak do pomieszczenia wszedł pomocnik i podszedł do Falka, gdy tymczasem Ken Kenyek usiadł przed klawiaturą komputera, tak jak muzyk zasiada przy swoim instrumencie. Przez chwilę Falk wspomniał wielki wzorzec w sali tronowej Księcia Kansas, szybkie, ciemne dłonie przesuwające się nad nim, tworzące i burzące pełne znaczenia zmienne wzory z kamieni, gwiazd, myśli… Nieprzenikniona czerń opadła na niego jak kurtyna zakrywająca oczy i umysł. Był świadom tego, że nałożono mu coś na głowę, kaptur lub jakiś hełm, a potem nie docierało do niego już nic oprócz czerni, bezkresnej czerni, ciemności. W tej ciemności jakiś głos wypowiadał słowo rozbrzmiewające w jego umyśle, słowo, które niemal rozumiał. Bez końca to samo słowo, słowo, słowo, nazwa… Jego wola przetrwania błysnęła jak wybuchający płomień i w straszliwym wysiłku, krzycząc bezgłośnie, oznajmił: „Jestem Falkiem”.

A potem była już tylko ciemność.

IX

Miejsce było ciche i mrocznawe, jak polana położona głęboko w lesie. Osłabiony, leżał przez długi czas na granicy snu i czuwania. Niekiedy śnił lub wspominał fragmenty snów z wcześniejszego, głębszego snu. Potem znowu zasypiał i znowu budził się w mrocznawym, zielonym świetle i ciszy.

Coś poruszyło się koło niego. Odwracając głowę zobaczył młodego mężczyznę, którego nie znał.

— Kim jesteś?

— Jestem Har Orry.

Imię stoczyło się jak kamień w senną otępiałość jego umysłu i przepadło. Pozostały po nim tylko koła, rozchodzące się coraz szerzej i szerzej, miękko i powoli, aż w końcu pierwsze z nich dotknęło brzegu i załamało się na nim. Orry, syn Har Wedena, jeden z członków Wyprawy… chłopiec, dziecko urodzone w czasie zimowego połogu.

Nieruchoma powierzchnia sadzawki snu pokryła się drobnymi falami. Zamknął oczy pragnąc się w niej zanurzyć.

— Śniłem — wyszeptał z zamkniętymś oczami. — Miałem wiele snów…

Lccz teraz nie spał i znowu patrzył w tę przestraszoną, niepewną, chłopięcą twarz. To był Orry, syn Wedena, Orry, tak jak wyglądałby za pięć lub sześć faz księżyca, jeśli przeżyli Podróż.

Jak to się stało, że nic nie pamięta'?

— Gdzie jestem?

— Proszę, połóż się, prech Ramarren… nic nie mów, proszę, połóż się.

— Co się ze mną stało? — Zawroty głowy zmusiły go do posłuchania chłopca i wyciągnięcia się nieruchomo na łóżku. Jego ciało, a kiedy mówił nawet mięśnie warg i języka, nie było mu całkiem posłuszne. I nie było to zmęczenie, lecz jakiś dziwny brak kontroli. Aby unieść rękę, musiał myśleć o tym, w pełni świadomości, jak gdyby ta ręka, którą podnosił, była czyjąś inną ręką.

Ręka kogoś innego… Przez długą chwilę przyglądał się swojej dłoni i ręce. Skóra przybrała dziwnie ciemny kolor, podobny do koloru wygarbowanej skóry haynn. Wzdłuż przedramienia aż do nadgarstka biegły równoległe szeregi błękitnawych znamion, drobnych punkcików, jak gdyby od powtarzających się nakłuć igły. Nawet wewnętrzna powierzchnia dłoni była stwardniała i zniszczona, jak gdyby przez dłuższy czas przebywał na otwartym terenie, a nie w laboratoriach i ośrodku obliczeniowym Centrum Wyprawy i Salach Rady czy w Miejscach Odosobnienia w Wegest…

Tknięty nagłym impulsem rozejrzał się wokoło. Pokój pozbawiony

był okien, lecz co zadziwiające, widział światło słońca przenikające przez zielonkawe ściany.

— Wydarzyła się katastrofa — powiedział w końcu. — Przy starcie lub gdy… Lecz przecież osiągnęliśmy cel Podróży. Dokonaliśmy tego. Czy też może śniło mi się to?

— Nie, prech Ramarren. Dotarliśmy do celu.

Znowu zapadło milczenie. Odezwał się dopiero po chwili. — Pamiętam tylko Podróż, jak gdyby to była noc, jedna długa noc, ostatnia noc… Lecz ty wyrosłeś z dziecka niemal na mężczyznę. Zatem myliliśmy się co do tego…

— Nie… Podróż nie postarzyła mnie… — przerwał Orry. — Co z innymi?

— Zginęli.

— Nie żyją? Mów wszystko, vesprech Orry.

— Najprawdopodobniej nie żyją, prech Ramarren.

— Gdzie jestem, co to za miejsce?

— Proszę, odpocznij teraz.

— Odpowiedz.

— To jest pokój w mieście zwanym Es Toch na planecie Ziemi — odparł chłopiec posłusznie, lecz zaraz wybuchnął, wykrzykując żałośnie: — Nie wiesz tego? Nie pamiętasz tego, nic nie pamiętasz. To jeszcze gorzej niż przedtem…

— Dlaczego miałbym pamiętać Ziemię? — wyszeptał Ramarren.

— Miałem… miałem ci powiedzieć: przeczytaj pierwszą stronę książki.

Ramarren nie zwrócił uwagi na lamenty chłopca. Wiedział teraz, że wszystko skończyło się niepomyślnie i że minął czas, o którym nic nie wiedział. Lecz dopóki nie opanuje dziwnej słabości ciała, nie będzie mógł nic zrobić, więc leżał spokojnie, aż nie minęły zawroty głowy. Potem zamknąwszy się przed światem zewnętrznym powtórzył niektóre Mantry Piątego Poziomu i kiedy uspokoił także swój umysł, przywołał sen.

Jeszcze raz osaczyły go sny, pogmatwane i przerażające, a jednak przebijała przez nie jakaś słodycz i świeżość, jak promienie słońca przełamujące ciemność starego lasu. Im głębiej zapadał w sen, tym szybciej dziwne fantasmagorie rozpraszały się, aż w końcu marzenie senne stało się pojedynczym jasnym wspomnieniem: siedział za sterami samolotu, czekając na ojca, aby mu towarzyszyć w drodze do miasta. Lasy u podnóża wzgórz Charn były już na wpół ogołocone z liści w swym długim umieraniu, lecz powietrze jeszcze ciepłe, przezroczyste i nieruchome. Jego ojciec, Agad Karsen, gibki, szczupły starzec w ceremonialnym stroju i hełmie, trzymając swój obrzędowy kamień, nadchodził wolno przez trawnik wraz z córką i oboje śmiali się, gdy czynił docinki na temat jej pierwszego konkurenta:

„Wystrzegaj się tego młodzieńca, Parth, nie da ci chwili spokoju, jeśli tylko na to pozwolisz”. Beztroskie słowa, wypowiedziane dawno temu w słońcu długiej, złotej jesieni jego młodości, słyszał teraz znowu wraz z odpowiadającym im śmiechem dziewczyny. Siostra, siostrzyczka, ukochana Arnan… Jak nazwał ją ojciec? Nie użył jej prawdziwego imienia, lecz jakiegoś innego, obcego…

Ramarren przebudził się. Usiadł, z wyraźnym wysiłkiem opanowując swe ciało, tak, jego — wciąż niepewne, drżące, lecz z pewnością jego własne. Budząc się, przez chwilę czuł się jak duch w obcym ciele, przesiedlony, zagubiony.

Był sobą. Był Agadem Ramarrenem, urodzonym w domu ze srebrzystych kamieni, pośród rozległych, trawiastych równin u stóp białego szczytu Charn, Samotnej Góry. Urodzony jesienią był spadkobiercą Agada, tak że całe jego życie przypadło na jesień i zimę. Nigdy nie widział wiosny — nie mógł widzieć, gdyż „Alterra” rozpoczęła swoją podróż na Ziemię pierwszego dnia wiosny. Lecz cała długa zima i jesień — cały wiek męski, chłopięcy i dzieciństwo — rozciągały się wstecz za nim jasnym, nieprzerwanym kalejdoskopem wspomnień, jak rzeka sięgająca swego źródła.

Chłopca nie było w pokoju.

— Orry! — zawołał głośno, gdyż teraz już mógł i był zdecydowany dowiedzieć się wszystkiego, co stało się z nim, jego towarzyszami, z ;,Alterrą” i z ich misją. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi ani znaku. Pokój zdawał się pozbawiony nie tylko okien, ale i drzwi. Powstrzymał nagły impuls, aby przywołać chłopca sygnałem telepatycznym — nie wiedział, czy Orry jest wciąż dostrojony do niego, a nadto dlatego, że jego umysł został najwidoczniej uszkodzony albo poddany podglądowi, uznał więc, że lepiej być ostrożnym i nie dopuszczać do kontaktu z innym umysłem, dopóki nie dowie się, czy nie zagraża mu poddanie się obcej woli.

Wstał, pokonując nawroty głowy i krótkotrwały, lecz ostry ból w potylicy i przeszedł się kilka razy po pokoju wprawiając się w posługiwaniu mięśniami, badając jednocześnie obce ubranie, jakie miał na sobie, i dziwne pomieszczenie, w którym się znajdował. Było przeładowane meblami: łóżko, stoły, krzesła, sofy, wszystko ustawione na długich, cienkich podnóżkach. Przezroczyste, ciemnozielone ściany pokryte były oszukującymi i mamiącymi wzrok wzorami — jedne z nich maskowały tęczowe drzwi, inne lustro. Zatrzymał się przed nim i przyglądał się sobie przez chwilę. Zdawał się szczuplejszy, bardziej spalony słońcem, wysmagany deszczem i wiatrem i być może starszy; trudno było powiedzieć. Czuł dziwne zakłopotanie spoglądając na siebie. Czym był ten niepokój, ten brak koncentracji? Co się zdarzyło, co utracił? Odwrócił się od lustra i zabrał znowu do badania pokoju. Znajdowało się tam wiele różnych zagadkowych przedmiotów i dwa

znane, choć obce w szczegółach: kielich stojący na jednym ze stołów i leżąca obok książka zawierająca kartki papieru. Wziął ją do ręki. Coś, co powiedział Orry, poruszyło jego myśli, lecz zaraz zniknęło. Tytuł nic mu nie mówił, chociaż pismo było wyraźnie spokrewnione z alfabetem Języka Ksiąg. Otworzył książkę i przekartkował ją. Kartki z lewej strony były zapisane — jak się wydawało ręcznym pismem — kolumnami zdumiewająco skomplikowanych wzorów, które mogły być holistycznymi symbolami, ideogramami, technologiczną stenografią. Strony z prawej również zapisane były ręcznie, lecz pismem, które przypominało język Ksiąg — lingal. Książka-szyfr? Lecz zdążył odcyfrować nie więcej niż jedno czy dwa słowa, gdy szczelina w drzwiach rozwarła się bezszelestnie i do pokoju weszła jakaś osoba: była to kobieta.

Ramarren przyglądał się jej z zaciekawieniem, zaskoczony, lecz bez obawy, może tylko, czując się bezbronnym, nadał swemu spojrzeniu nieco bardziej oficjalny, autorytatywny, wyraz, do czego upoważniały go jego urodzenie, osiągnięty Poziom i arlesh. Zupełnie nie speszona odwzajemniła jego spojrzenie. Stali tak przez chwilę w milczeniu.

Była piękna i subtelna, dziwacznie ubrana, z włosami ufarbowanymi na jasnokasztanowy kolor lub naturalnie rudawymi. Jej oczy były ciemnymi krążkami umieszczonymi w białym owalu. To były takie same oczy jak oczy na twarzach ciemnoskórych postaci przedstawionych na freskach w Sali Ligi w Starym Mieście, wysokich ludzi, budowniczych miasta, walczących z Koczownikami, obserwujących gwiazdy — Kolonistów, Terran z Alterry…

Teraz Ramarren nie miał już wątpliwości, że naprawdę jest na Ziemi, że dotarł do celu Podróży. Odrzucił dumę i nieufność i ukląkł przed nią z wdzięcznością. Dla niego, dla tych wszystkich, którzy wysłali go przez osiemset dwadzieścia pięć trylionów mil nicości, była potomkiem rasy, z której czas, pamięć i zapomnienie uczyniły legendę. Jedyna, samotna, stojąc tak przed nim, była jednak częścią Rodu Ludzi i spoglądała na niego oczyma tej Rasy, a on klęcząc i skłaniając przed nią głowę oddawał cześć mitowi, historii i długiemu wygnaniu jego przodków.

Powstał i wyciągnął rozwarte ręce w geście powitania Narodu Kelshak, a ona zaczęła mówić do niego. Jej mowa była dziwna, bardzo dziwna, gdyż nigdy przedtem jej nie widział, a mimo to głos brzmiał w jego uszach przedziwnie znajomo i choć nie znał języka, jakim się posługiwała, zrozumiał Słowo, a potem jeszcze jedno. Przez moment niesamowitość tego uczucia przestraszyła go i ogarnął go lęk, że dziewczyna stosuje jakąś odmianę myślomowy, która może przeniknąć nawet zasłonę wyłączonego umysłu, lecz już w następnej chwili uświadomił sobie, że rozumie ją, ponieważ mówi Językiem Ksiąg,

lingalem. Jedynie jej akcent i potoczystość wymowy uniemożliwiy mu natychmiastowe rozpoznanie.

Zdążyła już powiedzieć kilka szybkich zdań w lingalu, mówiąc dziwnie zimnym, martwym głosem.

…nie wiem, po co tu przyszłam — ciągnęła. — Powiedz mi, które z nas jest kłamcą, które z nas zdradziło? Przeszłam z tobą całą tę bezkresną drogę, przespałam z tobą setkę nocy, a teraz nie znasz nawet mego imienia. Prawda, Falk? Czy znasz moje imię? Czy znasz swoje własne?

— Jestem Agad Ramarren — powiedział, a jego własne imię, wypowiedziane jego własnym głosem, dla niego samego zabrzmiało obco.

— Kto ci to powiedział? Jesteś Falk. Czy nie znasz człowieka o imieniu Falk? Miał zwyczaj nosić twoje ciało. Ken Kenyek i Kradgy zakazali mi wspominać tego imienia przy tobie. Lecz ja mam dosyć ich knowań i nie chcę brać w nich udziału. Sama chcę stanowić o sobie. Czy naprawdę nie pamiętasz swego imienia, Falk? Falk! Falk! Nie pamiętasz swego imienia? Och, jesteś głupi jak zawsze, wytrzeszczasz oczy jak wyrzucona na brzeg ryba!

Natychmiast opuścił wzrok. Spoglądanie prosto w oczy innej osobie było na Werel sprawą obraźliwą i ściśle regulowaną przez tabu i zwyczaje. Była to tylko pierwotna i zewnętrzna reakcja na jej słowa, choć wewnętrznie zareagował natychmiast, biorąc pod uwagę różne możliwości. Po pierwsze, była pod lekkim działaniem jakiejś odmiany wywołującego halucynacje narkotyku — jego wyszkolone postrzeganie określiło to jako pewnik, bez względu na to, czy implikacje tego dotyczące Rodu Człowieka podobały mu się czy nie. Po drugie, nie był pewien, czy zrozumiał dokładnie to, co mówiła, a na pewno nie miał pojęcia, o czym mówiła, w każdym razie była nastawiona nieprzyjaźnie i napastliwie. I napaść okazała się skuteczna. Pomimo nierozumienia tego wszystkiego jej dziwaczne szyderstwa i imię, które nieustannie powtarzała, poruszyły go i zmartwiły, wstrząsnęły i zszokowały.

Odwrócił się nieco od niej, dając do zrozumienia, że nie spojrzy jej ponownie w oczy, chyba że ona sama sobie tego zażyczy, i wreszcie odezwał się cicho w prastarym języku swego ludu, znanym jedynie ze starożytnych Ksiąg Kolonii:

— Czy jesteś z Rodu Człowieka czy Wroga?

Jej odpowiedzi towarzyszył wymuszony, konwulsyjny śmiech:

— Z obu, Falk. Nie ma Wrogów i ja pracuję dla nich. Słuchaj! Powiedz Abundibotowi, że masz na imię Falk. Powiedz to Ken Kenyekowi. Powiedz wszystkim Władcom, że masz na imię Falk, przynajmniej będą mieli się czym martwić! Falk…

— Dosyć.

Jego głos był tak samo cichy jak przedtem, lecz przemówił wkładając w to jedno słowo cały swój autorytet. Zamilkła z otwartymi ustami, wytrzeszczając na niego oczy. Kiedy odezwała się ponownie, zrobiła to tylko po to, aby powtórzyć imię, jakim nazwała go przedtem, a jej głos stał się drżący i niemal błagalny. Sprawiała żałosne wrażenie, lecz Ramarren nie odpowiadał. Znajdowała się w stałym lub przejściowym stanie psychotycznym, a on sam czuł się zbyt niepewnie, zbyt mocno wystawiony na ciosy, aby w tych okolicznościach pozwolić jej na dalszy kontakt. Czuł się tak słabo, że odsunął się od niej, koncentrując na sobie, aż jej obecność i głos wtopiły się w tło. Musiał się opanować; działo się z nim coś dziwnego. Nie były to narkotyki, a przynajmniej nie takie, jakie znał. Było to jak całkowite przemieszczenie i brak kontroli, gorsze niż wszelkie indukowane obłędy Siódmego Poziomu umysłowej kontroli. Lecz nie dano mu wiele czasu. Głos za nim urósł do przenikliwego krzyku wyrażającego złość, a potem uchwycił, jak zmienia się w furię, i jednocześnie wyczuł w pokoju obecność jeszcze jednej osoby. Odwrócił się gwałtownie. Właśnie zaczynała wyciągać spod swego dziwacznego ubrania coś, co niewątpliwie było bronią, ale zatrzymała się w pół ruchu, jak skamieniała wpatrując się nie w niego, lecz w wysokiego mężczyznę stojącego w wejściu.

Nie padło ani jedno słowo, przybysz zniewolił kobietę przekazem telepatycznym o tak straszliwej sile, że Ramarren aż się skrzywił. Broń upadła na podłogę, a kobieta wydając cienki, przeszywający pisk wybiegła pochylona z pokoju, usiłując uciec przed niszczycielskim naleganiem tego psychicznego rozkazu. Jej rozmazany cień chwiał się przez chwilę wśród przezroczystych ścian, aż zniknął.

Wysoki mężczyzna zwrócił swe obwiedzione białkiem źrenice ku Ramarrenowi i przemówił do niego, używając już przekazu o normalnej mocy: „Kim jesteś?”

Ramarren odpowiedział w ten sam sposób: „Agad Ramarren”, lecz nie dodał nic więcej ani nawet nie skłonił głowy. Sprawy miały się jeszcze gorzej, niż to sobie początkowo wyobrażał. Kim są ci ludzie? Już pierwsza konfrontacja ujawniła mu ich szaleństwo, okrucieństwo i strach; z pewnością nic, co skłaniałoby go do szacunku lub zaufania.

Lecz wysoki mężczyzna zbliżył się nieco, z uśmiechem na poważnej, surowej twarzy, i odezwał uprzejmie w języku Ksiąg:

— Jestem Pelleu Abundibot i witam cię serdecznie na — Ziemi, krewniaku, potomku wygnańców, wysłanniku Zaginionej Kolonii!

W odpowiedzi na te słowa Ramarren skłonił się lekko i stał przez chwilę w milczeniu.

— Zdaje się — powiedział w końcu — że przebywałem przez jakiś czas na Ziemi i stałem się wrogiem tej kobiety oraz dorobiłem się kilku blizn. Czy możesz mi wyjaśnić, jak do tego doszło i w jaki

sposób zginęli moi towarzysze? Jeśli chcesz, użyj myślomowy, nie posługuję się lingalem tak dobrze jak ty.

— Prech Ramarren — odezwał się obcy; niewątpliwie przejął to od Orry'ego i użył tak, jak gdyby był to zwykły zwrot grzecznościowy, nie mając pojęcia o tym, co tworzyło związek prechnoi — przede wszystkim wybacz mi, że zwracam się do ciebie w zwykłej mowie. Nie mamy zwyczaju używać myślomowy, chyba że w nagłej potrzebie lub zwracając się do naszych podwładnych. Wybacz mi również wtargnięcie tej kreatury, której szaleństwo postawiło ją poza Prawem. Zajmiemy się jej umysłem. Nie sprawi ci już więcej kłopotu. Jeśli chodzi o twoje pytania, na wszystkie otrzymasz odpowiedź. W każdym razie, mówiąc krótko, jest to nieszczęśliwa historia, która w końcu doczekała się szczęśliwego zakończenia. Twój statek, „Alterra", kiedy wchodził w przestrzeń okołoziemską, został zaatakowany przez naszych wrogów, rebeliantów wyjętych spod Prawa. Zanim przybył nasz statek patrolowy, zdążyli zabrać was dwóch, a może jeszcze kogoś, na swe małe planetarne pojazdy. Przechwyciliśmy jeden, na którym był uwięziony Har Orry, lecz ten, na którym byłeś ty, zdołał uciec. Nie wiem, po co byłeś im potrzebny. Nie zabili cię, lecz wymazali twoją pamięć aż do fazy przedwerbalnej i pozostawili w dzikim lesie, byś znalazł tam śmierć. Przeżyłeś i przygarnęli cię barbarzyńcy z tamtych lasów; w końcu odnaleźliśmy cię i sprowadziliśmy tutaj. Używając technik parahipnotycznych udało nam się przywrócić twoją pamięć. To było wszystko, co mogliśmy uczynić. Rzeczywiście niewiele, lecz naprawdę wszystko.

Ramarren słuchał uważnie. Opowieść wstrząsnęła nim i nie uczynił nic, aby ukryć swoje uczucia, jednocześnie czuł też jakiś niepokój, coś budziło w nim nieokreślone podejrzenia — tego też nie okazał. Wysoki mężczyzna zwrócił się do niego, choć bardzo krótko, w myślomowie i w ten sposób dał mu możliwość dostrojenia się do jego umysłu. Potem Abundibot wstrzymał wszelkie telepatyczne przesłania i wzniósł empatyczną osłonę, lecz nie całkiem szczelną. Ramarren, wysoce wyczulony i doskonale wyszkolony, odbierał niewyraźne empatyczne wrażenia, tak bardzo rozbieżne z tym, co mężczyzna mówił, że aż sprawiało wrażenie przemilczenia lub kłamstwa. A może sam był rozstrojony tak bardzo — co przecież mogło być skutkiem parahipnozy — że wrażenia odbierane przez jego receptory empatyczne były nierzetelne?

— Jak długo… — zapytał w końcu, spoglądając przez chwilę w te obce oczy.

— Sześć ziemskich lat, prech Ramarren.

Ziemski rok był niemal tak długi jak księżycowy miesiąc. — Tak długo — powiedział. Nie mógł w to uwierzyć. Jego przyjaciele, jego towarzysze Podróży od dawna nie żyli, a on był sam na Ziemi… —

Sześć lat?

— Nic nie pamiętasz z tych lat?

— Nic.

— Aby odtworzyć twoją prawdziwą pamięć i osobowość, zmuszeni byliśmy wymazać to, co zawierała twoja szczątkowa pamięć obejmująca ten okres. Niezwykle bolejemy nad stratą sześciu lat twego życia. Ale nie byłyby to godne uwagi lub miłe wspomnienia. Wyjęte spod prawa zwierzęta uczyniły z ciebie stworzenie jeszcze bardziej zezwierzęciałe niż oni sami. Jestem zadowolony, że tego nie pamiętasz, prech Ramarren.

Był nie tylko zadowolony, wręcz cieszył się z tego. Ten mężczyzna musiał posiadać bardzo małe zdolności empatyczne — albo był słabo przeszkolony, albo też powinien wznieść lepszą osłonę; natomiast jego osłona telepatyczna była bez skazy. Coraz mocniej i mocniej oszołomiony tymi mentalnymi dysonansami, które wskazywały na fałsz lub niejasność tego, co Abundibot mówił, oraz przeciągającym się brakiem spoistości własnego umysłu, uwidaczniającym się nawet przy prostych reakcjach fizycznych, które wciąż były powolne i niepewne, Ramarren musiał się opanować, aby nie udzielić żadnej odpowiedzi. Wspomnienia — jak mogło minąć sześć lat nie pozostawiając po sobie żadnego śladu? Lecz minęło sto czterdzieści lat, podczas których jego światłowiec przemknął z Werel na Ziemię, i z tych lat pamiętał tylko jedną chwilę, naprawdę tylko jedną, straszną, wieczną chwilę… Jak nazwała go ta kobieta, wykrzykując do niego w obłąkanym, bolesnym żalu?

— Jak mnie nazywano przez tych sześć lat?

— Nazywano? Wśród tubylców, o to ci chodzi, prech Ramarren? Nie jestem pewien, jakie dali ci imię, jeśli w ogóle zawracali sobie tym głowę…

Falk. Ta kobieta nazwała go Falkiem.

— Gospodarzu — odezwał się nagle, przekładając sposób tytułowania z języka Kelshak na lingal — jeśli będziesz tak dobry, reszty chciałbym dowiedzieć się później. To, co powiedziałeś, oszołomiło mnie. Pozwól, żebym pozostał z tym na jakiś czas sam.

— Oczywiście, oczywiście, prech Ramarren. Twój młody przyjaciel Orry pragnie być z tobą, czy mam go przysłać? — Lecz Ramarren, usłyszawszy zgodę na swą prośbę, zachował się jak ktoś, kto z jego Poziomu odprawia innego: wyłączył go, odbierając to wszystko, co tamten mówił, jak zwykły hałas. — My też pragniemy dowiedzieć się od ciebie wielu rzeczy, oczywiście, kiedy poczujesz się już zupełnie dobrze. — Milczenie. Potem znowu hałas: — Nasi słudzy oczekują na twe polecenia, jeśli pragnąłbyś posilić się lub porozmawiać, wystarczy, że podejdziesz do drzwi i to powiesz. — Znowu milczenie i w końcu ta źle wychowana osoba wycofała się.

Ramarren nie zastanawiał się nad tym w ogóle. Zbyt był zaabsorbowany sobą, aby martwić się swymi dziwnymi gospodarzami. Oszołomienie, w jakim znajdował się jego umysł, gwałtownie narastało, dochodząc do jakiegoś punktu zwrotnego. Czuł się jak zmuszony stawić czoło czemuś, czemu nie śmiał stawić czoła, a jednocześnie pragnął stanąć z tym twarzą w twarz po to, aby się odnaleźć. Najgorsze chwile jego treningu z Siódmego Poziomu były zaledwie słabym odbiciem obecnego rozpadu uczuć i poczucia tożsamości; tamte stanowiły bowiem jedynie sztucznie wywołane psychozy, kontrolowane z całą ostrożnością, a nad tym czymś tutaj nie miał żadnej kontroli. A może miał? Może mógł przebyć przez to, zmusić się do osiągnięcia przesilenia? Lecz kim był „on", który zmuszał się i był zmuszany? Został zabity i przywrócony do życia. Czym zatem była śmierć, śmierć, której nie pamiętał?

Aby uciec przed wypełniającą go zupełną paniką, rozejrzał się wokół za jakimkolwiek przedmiotem, na którym mógłby się skoncentrować, zatapiając w pierwotnym stanie transu, jednej w Wyzwalających technik, polegającej na skupieniu się na konkretnej rzeczy, i zbudować wokół niego jeszcze raz cały świat. Lecz wszystko było obce, złudne, nieznane, nawet podłoga była przyćmiona taflą mgły. Była tam książka, przeglądał ją, kiedy weszła ta kobieta wołając go imieniem, którego nie zapamiętał. Nie zapamiętał… Książka: trzymał ją w dłoniach, była tam, całkowicie realna. Wziął ją niezwykle ostrożnie i wbił wzrok w stronę, na której była otwarta. Kolumny pięknych, nic nie znaczących wzorów, linie na wpół zrozumiałego ręcznego pisma, składającego się z liter nieco zmienionych, lecz podobnych do tych, jakich uczył się dawno temu, czytając Pierwszy Wybór. Wpatrywał się w nie nie mogąc ich odczytać i nagle wyrosło z nich słowo, którego znaczenia nie znał, pierwsze słowo:

Droga…

Przeniósł wzrok z książki na własną rękę, która ją trzymała. Czyja to ręka, spalona obcym słońcem i pokryta bliznami? Czyja ręka?

Droga, którą zdążasz
nie jest Drogą wieczną
Imię…

Nie mógł pamiętać imienia; nie odczytałby go. We śnie czytał te słowa, w długim śnie, śmierci… śnie…

Imię, które rzeczy dajesz

nie jest Nazwą wieczną

Wraz z tymi słowami sen zaczął wzbierać w nim, przygniatając go jak wznosząca się fala — i wyrwał się z niego.

Był Falkiem. I był Ramarrenem. Był głupcem i mędrcem: człowiekiem, który dwukrotnie się urodził.

W tych pierwszych straszliwych godzinach żebrał i błagał o uwolnienie raz od jednej, raz od drugiej jaźni. Kiedy krzyczał w udręce w swym ojczystym języku, nie rozumiał wykrzykiwanych słów, i to było tak straszne, że w najgłębszym cierpieniu zapłakał: to Falk nie rozumiał, a Ramarren płakał.

I w owym właśnie momencie po raz pierwszy, na bardzo krótko, osiągnął punkt równowagi, centrum, i przez ułamek chwili był s o b ą, a potem znów się zatracił, ale już na tyle silny, aby mieć nadzieję na następną chwilę harmonii. Harmonia: kiedy był Ramarrenem, kurczowo chwytał się tej myśli i idei i być może jego własne mistrzostwo w opanowaniu owej podstawowej doktryny Kelshak było tym, co nie pozwoliło mu przekroczyć granicy szaleństwa.

Lecz daleko jeszcze było do zjednoczenia lub równowagi pomiędzy tymi dwoma umysłami i osobowościami, które zamieszkiwały jego czaszkę: musiał nieustannie balansować pomiędzy nimi, wyciszając jedną dla drugiej, aby zaraz potem wycofywać się i czynić odwrotnie. Zaledwie mógł się poruszyć trapiony złudzeniem posiadania dwóch ciał, bycia dwiema różnymi osobami. Nie ośmielił się nawet zasnąć, choć był wyczerpany — tak bardzo bał się przebudzenia.

Była noc i był sam ze sobą. *Z nami* — zauważył Falk. Od początku był silniejszy, będąc w jakiś sposób przygotowany do tej ciężkiej próby. I to właśnie Falk był tym, który rozpoczął dialog: *Muszę się trochę przespać, Ramarren* — powiedział, a Ramarren odebrał te słowa jak gdyby przekazane myślomową i bez zastanowienia odpowiedział w ten sam sposób: *Boję się zasnąć*. Potem nasłuchiwał przez pewien czas, aż rozpoznał sny Falka podobne do cieni i ech rozprzestrzeniających się w jego umyśle.

Udało mu się jakoś przeżyć bez szwanku te pierwsze, najgorsze godziny i kiedy zielone, podobne do zasłon z welonu ściany rozbłysły przyćmionym światłem porannego słońca, wyzbył się strachu i zaczął zdobywać pełniejszą kontrolę nad działaniem i myślami obu swych osobowości.

Oczywiście, w rzeczywistości nie miało miejsca nakładanie się na siebie dwóch struktur jego pamięci. Osobowość Falka została utworzona i mieściła się w nadmiarowej puli neuronów, które w mózgu o tak wysokiej inteligencji pozostawały bezużyteczne — leżące

odłogiem pola umysłu Ramarrena. Podstawowe węzły motoryczne i czuciowe nigdy nie zostały zablokowane i w pewnym sensie przez cały czas były użytkowane wspólnie przez obie osobowości, chociaż z trudnościami wynikającymi z dublowania się dwóch różnych zespołów nawyków ruchowych i sposobów postrzegania. Każdy przedmiot miał dwa różne oblicza, w zależności, czy patrzył nań oczami Falka, czy też Ramarrena, i chociaż ostatecznie te rozdwojenia obrazów powinny zostać ujednolicone zwiększeniem możliwości percepcyjnych, to jednak w tej chwili oszałamiały go aż do zawrotu głowy. Występowała również znaczna dysharmonia emocjonalna, tak że jego uczucia dotyczące niektórych spraw były diametralnie różne. I ponieważ wspomnienia Falka wypełniały jego „życie" od chwili, kiedy przestał być Ramarrenem, dwa ciągi wspomnień zmierzały do tego, aby stać się równoczesnymi, zamiast występować we właściwej kolejności. Było to szczególnie trudne dla Ramarrena, ze względu na dziurę w czasie, kiedy jego świadomość była wyłączona. Gdzie był dziesięć dni temu? Podskakiwał na grzbiecie muła pośród okrytych śniegiem gór Ziemi — to pamiętał Falk; Ramarren z kolei wiedział, że w tym czasie żegnał się ze swoją żoną w domu na zielonych wyżynach Werel… Również to, czego Ramarren domyślał się o Ziemi, było zazwyczaj sprzeczne z tym, co Falk o niej wiedział, a niewiedza Falka o Werel rzucała dziwny czar legendy na własną przeszłość Ramarrena. Jednak nawet w tym zamęcie kiełkowało współdziałanie zmierzające do zgody, której tak pragnął. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że cieleśnie i chronologicznie był jednym człowiekiem: w rzeczywistości jego problem polegał nie na stworzeniu jedności, lecz na zrozumieniu jej.

Do osiągnięcia zgody było jednak jeszcze daleko. Jedna z dwóch struktur pamięciowych wciąż brała górę, jeśli tylko pomyślał lub poruszył się bez dostatecznej kontroli. Teraz najczęściej przeważał Ramarren, gdyż nawigator „Alterry" był stanowczym i silnym człowiekiem. W porównaniu z nim Falk czuł się dziecinny i jakby tymczasowy; mógł zaoferować wiedzę, jaką posiadł, lecz polegać musiał na sile i doświadczeniu Ramarrena. Obaj siebie potrzebowali, gdyż sytuacja, w jakiej znalazł się człowiek o dwóch umysłach, była niebezpieczna i wyjątkowo niejasna.

Odpowiedź na jedno pytanie warunkowała wszystkie pozostałe. Było bardzo proste: można czy też nie można zaufać Shinga? Jeśli bowiem Falkowi wpojono jedynie bezpodstawny strach do Władców Ziemi, wówczas wszystkie niebezpieczeństwa i niejasności stawały się po prostu bezpodstawne. Początkowo Ramarren sądził, że tak właśnie może być, lecz szybko porzucił tę myśl.

Jego podwójna pamięć zdążyła już bowiem wychwycić oczywiste kłamstwa i rozbieżności. Abundibot odmówił zwracania się do

Ramarrena w myślomowie, twierdząc, że Shinga unikają parawerbalnego przekazu; Falk wiedział, żc było to kłamstwo. Dlaczego jednak Abundibot to powiedział? Oczywiście dlatego, że chciał skłamać — opowiedzieć nieprawdziwą historię o tym, co stało się z „Alterrą" i jej załogą — i nie mógł lub nie ośmielił się przekazać tego Ramarrenowi w myślomowie.

Lecz Falkowi opowiedział taką samą historię właśnie w myślomowie.

Jeśli to była nieprawdziwa opowieść, wówczas wynikało z tego, że Shinga mogą i rzeczywiście kłamią w myślomowie. Czy zatem ta opowieść była nieprawdziwa?

Ramarren odwołał się do pamięci Falka. Początkowo wydawało się, że wysiłek konieczny do osiągnięcia zjednoczenia przekracza jego siły, lecz w miarę jak walczył o to, chodząc tam i z powrotem po pogrążonym w ciszy pokoju, stawało się to coraz łatwiejsze, aż nagle wszystkie przeszkody zniknęły: przypomniał sobie olśniewającą ciszę słów Abundibota: „My, których znasz jako Shinga, jesteśmy ludźmi…" I słysząc je, nawet tylko we wspomnieniu, wiedział z całą pewnością, że jest to kłamstwo. Było to niewiarygodne, lecz i niewątpliwe. Shinga mogli fałszować przekaz myślowy — domysły i obawy podbitej ludzkości okazały się prawdziwe. To właśnie Shinga byli Wrogami.

Nie byli ludźmi, lecz obcymi, obdarzonymi obcą mocą: bez wątpienia rozbili Ligę i zawładnęli Ziemią posługując się umiejętnością fałszowania myślomowy. I to oni byli tymi, którzy zaatakowali „Alterrę", kiedy wchodziła na orbitę Ziemi — Wszystkie te opowieści o rebeliantach były zwyczajnym wymysłem. Zabili lub wymazali umysły wszystkich członków załogi z wyjątkiem dziecka — Orry'ego. Ramarren domyślał się, dlaczego: badając jego lub jakiegoś innego wysoce wyszkolonego parawerbalistę z załogi, odkryli, że Werelianie są w stanie zdemaskować fałszowany przekaz myślowy. Tak to przestraszyło Shinga, że pozbyli się dorosłych członków załogi, pozostawiając sobie jako źródło informacji jedynie nieszkodliwe dziecko.

Ramarrenowi zdawało się, że jego towarzysze podróży zginęli zaledwie wczoraj, i usiłując stawić czoło temu nieszczęściu, które tak nagle na niego spadło, próbował wyobrazić sobie, że podobnie jak on mogli przeżyć gdzieś na Ziemi. Lecz jeśli przeżyli — a on przecież miał niezwykłe szczęście — gdzie teraz byli? Jak się okazało, Shinga stracili wiele czasu, aby ustalić położenie tylko jednego z nich, kiedy odkryli, że go potrzebują.

Do czego był im potrzebny? Dlaczego go odszukali, sprowadzili tutaj, przywrócili pamięć, którą, uprzednio sami zniszczyli?

Żadne wyjaśnienie nie zgadzało się z faktami, jakie znał, oprócz tego jednego, do którego doszedł już jako Falk: był im potrzebny, żeby

powiedzieć, skąd przybył.

Takie wyjaśnienie spowodowała, że po raz pierwszy roześmiał się. Bo jeśli rzeczywiście było to takie proste, to w takim razie było śmieszne. Oszczędzili Orry'ego, ponieważ był tak młody, niewyszkolony, nieukształtowany, bezbronny, uległy — doskonałe narzędzie i informator. Z pewnością spełniał wszystkie pokładane w nim nadzieje. Z wyjątkiem jednej — nie wiedział, skąd przybył… I zanim to odkryli, starli informację, o jaką im chodziło, czyszcząc te umysły, które ją znały, i rozrzucili swe ofiary po dzikiej, spustoszonej Ziemi, żeby zginęły w nieszczęśliwych wypadkach albo zaatakowane przez dzikie zwierzęta czy ludzi, albo też zmarły z głodu.

Teraz wiedział, że Ken Kenyek manipulując poprzedniego dnia jego umysłem za pomocą psychokomputera, usiłował zmusić go do wyjawienia, jak brzmi w lingalu nazwa słońca Werel. I wiedział, że gdyby ją wyjawił, nie żyłby już lub znowu byłby bezrozumnym stworzeniem. To nie Ramarren był im potrzebny; potrzebna im była jego wiedza. I nie zdobyli jej.

Już samo to musiało ich zaniepokoić, i nic dziwnego. Kelshański kodeks dochowania tajemnicy, obejmujący również Księgi Zaginionej Kolonii, rozwijał się równolegle z osiągnięciami technik całkowitej osłony mentalnej. Mistyka dochowania tajemnicy — a dokładniej, panowania nad sobą — rozwinęła się w ciągu długich lat rygorystycznej kontroli nad rozwojem wiedzy naukowo-technicznej, ściśle przestrzeganej przez pierwszych Kolonistów, a będącej następstwem Prawa Ligi o Kulturowym Embargo, zakazującym przenoszenia osiągnięć naukowych i kulturalnych na kolonizowane planety. Ogół zasad, składających się na pojęcie panowania nad sobą, był podstawą, na jakiej opierała się obecnie kultura Werel, a pozycja w hierarchii społecznej uzależniona była od przeświadczenia, że wiedza i technika muszą być zawsze świadomie kontrolowane. Takie szczegóły jak Prawdziwa Nazwa Słońca traktowano formalnie i symbolicznie, lecz formalizm brany był poważnie — jak najbardziej poważnie, gdyż w Kelshy wiedza była religią, a religia wiedzą. Ochrona nietykalnych, świętych miejsc ludzkich umysłów, otoczenie ich niewzruszoną, nie dającą się pokonać osłoną, było niepodważalną zasadą. Jeśli nie znajdował się w jednym z Miejsc Odosobnienia i nie zwrócił się doń w odpowiedniej formie współtowarzysz z jego własnego Poziomu, Ramarren był absolutnie niezdolny do wyjawienia słowami czy myślomową Prawdziwej Nazwy Słońca jego ojczystego świata.

Oczywiście posiadał równoważną wiedzę: zespół danych astronomicznych, które umożliwiły mu wykreślenie trajektorii „Alterry" z Werel na Ziemię; znajomość dokładnej odległości dzielącej słońca obu planet i swoją pamięć astronoma o położeniu gwiazd, jakie

są widoczne na nieboskłonie Werel. Jednak nie wydobyli z niego tych informacji, być może dlatego, że jego umysł pogrążony był w zbyt wielkim chaosie, kiedy Ken Kenyek swymi zabiegami przywracał mu byt albo ponieważ nawet wtedy zadziałały jego parahipnotycznie wzmocnione osłony mentalne i specyficzne bariery. Wiedząc, że Wróg może wciąż przebywać na Ziemi, załoga „Alterry" nie wyruszyłaby w drogę tak nieprzygotowana. W każdym razie jeśli wiedza Shinga o zagadnieniach mentalnych nie przewyższa zbytnio wiedzy Kelshak, nie są w stanie zmusić go do powiedzenia im czegokolwiek. Mogą mieć tylko nadzieję, że zdołają nakłonić, przekonać go do powiedzenia im tego, co chcą wiedzieć. Więc na razie jest, przynajmniej fizycznie, bezpieczny.

Tak długo, dopóki nie dowiedzą się, że pamięta siebie jako Falka.

To go zmroziło. Nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Jako Falk był dla nich bezużyteczny, lecz nieszkodliwy. Jako Ramarren był im potrzebny — i nieszkodliwy. Lecz jako Falk-Ramarren stanowił groźbę. A groźby nie będą tolerowali, nie mogą sobie na to pozwolić.

W tym kryła się odpowiedź na ostatnie pytanie: dlaczego tak bardzo chcieli poznać położenie Werel — co dla nich znaczyła?

I znowu pamięć Falka przemówiła do umysłu Ramarrena, tym razem przywołując spokojny, pogodny, ironiczny głos. To mówił Stary Słuchacz z głębi lasu, starzec, który był na Ziemi jeszcze bardziej samotny niż Falk: „Nie ma wielu Shinga…"

To pociągnęło za sobą całą lawinę zasłyszanych niegdyś wieści, opinii i rad — i musiało być prawdą. Stare historie, jakie Falk słyszał w Domu Zove, utrzymywały, że Shinga byli owymi przybyszami z odległych rejonów galaktyki, gdzieś spoza Hiad, z miejsc odległych być może o tysiące lat świetlnych. Jeśli tak było w rzeczywistości, najprawdopodobniej niewielu z nich przebyło taki bezmiar czasoprzestrzeni. W połączeniu z umiejętnością fałszowania przekazu myślowego i innymi zdolnościami lub broniami, które mogli posiadać czy też posiadali, ich niewielka liczba wystarczyła do infiltracji i rozbicia Ligi; lecz czy było ich wystarczająco wielu, by zapanować nad tymi wszystkimi światami, które podzielili i podbili? Planety są obszernymi dziedzinami, w każdej skali, oprócz tej, w jakiej mierzy się odległości pomiędzy nimi. Shinga musieli rozproszyć się i poświęcić niemal całą uwagę na to, żeby powstrzymać podbite planety przed ponownym zjednoczeniem i wspólnym powstaniem. Orry powiedział Falkowi, że Shinga nie sprawiają wrażenia, aby wiele podróżowali czy prowadzili handel pomiędzy światami; nigdy nawet nie widział ich światłowca. Czy działo się tak dlatego, że obawiali się przedstawicieli własnego gatunku, zmienionych przez stulecia pobytu na innych planetach? A może Ziemia pozostała jedyną planetą, którą wciąż władali, broniąc przed jakąkolwiek interwencją z innych światów? Nie

można było tego wiedzieć z całą pewnością, niemniej wydawało się prawdopodobne, że na Ziemi rzeczywiście nie było ich wielu.

Nie chcieli wierzyć w opowieść Orry'ego o tym, jak Ziemianie na Werel pod presją środowiska i w wyniku spontanicznych mutacji ewoluowali ku miejscowym standardom biologicznym, aż w końcu mogli płodzić potomstwo z tubylczymi humanoidami. Twierdzili; że to niemożliwe, a to oznaczało, że z nimi tak się nie stało — nie mogli krzyżować się z Ziemianami. A zatem wciąż byli obcymi, nawet po dwunastu stuleciach, ciągle samotni na Ziemi. I czy rzeczywiście byli w stanie rządzić ludzkością — tego jedynego Miasta? Jeszcze raz Ramarren zwrócił się do Falka po odpowiedź i stwierdził, że brzmiała ona „nie". Trzymali ludzi na wodzy wykorzystując przyzwyczajenie, podstęp, strach, utrzymując monopol na produkcję broni, zapobiegając dominacji jakiegokolwiek silnego szczepu lub kumulacji wiedzy, która mogła im zagrozić. Nie pozwalali ludziom niczego stworzyć. I sami niczego nie tworzyli. Nie rządzili, tylko niszczyli.

Teraz było jasne, dlaczego Werel stanowiła dla nich śmiertelne zagrożenie. Jak dotąd udawało im się utrzymać swe wątłe, bliskie upadku zwierzchnictwo nad kulturą, którą kiedyś, dawno temu, zniszczyli i przestawili na wsteczny tor, lecz silna, liczna i zaawansowana technologicznie rasa, hołubiąca mity o związkach krwi, jakie łączyły ją z Ziemią, dorównująca im poziomem wiedzy mentalnej i uzbrojeniem, mogła ich zmiażdżyć jednym uderzeniem. I uwolnić od nich ludzi.

Gdyby wydobyli od niego dane o położeniu Werel, czy wysłaliby natychmiast statek-bombę, jak długi płonący lont przerzucony przez otchłań lat świetlnych, żeby zniszczył niebezpieczny świat, zanim ten w ogóle dowiedziałby się o ich istnieniu?

Wydawało się to aż nadto prawdopodobne. Jednak dwie rzeczy przemawiały przeciwko temu: troskliwe przygotowywanie młodego Orry'ego, jak gdyby chcieli uczynić zeń posłańca, oraz ich jedyne Prawo.

Falk-Ramarren nie mógł się zdecydować, czy ta zasada Czci dla Życia była jedyną, w jaką Shinga naprawdę wierzyli, ostatnią kładką przerzuconą przez otchłań samozniszczenia, które wyzierało z głębi ich zachowania, jak czarna paszcza kanionu zionąca pod ich miastem, czy też była największym z ich wszystkich kłamstw. Istotnie zdawali się unikać zabijania istot, które posiadały choćby szczątkową świadomość. Nie zabili go, innych chyba też nie, ich przetworzona żywność składała się wyłącznie z jarzyn. Oczywiste było, że aby podporządkować sobie ludność i łatwiej nią kierować, podjudzali plemiona przeciwko sobie, wszczynali wojny, lecz zabijanie pozostawiali ludziom, a stare przekazy utrzymywały, że na początku swych rządów, aby utrwalić swe imperium, uciekali się raczej do

inżynierii genetycznej, eugeniki i przesiedleń niż do ludobójstwa. To mogła być prawda — zatem podporządkowywali się swemu Prawu na swój własny sposób.

W takim razie to staranne przygotowywanie młodego Orry'ego wskazywało, że zamierzali uczynić go swym posłańcem. Jako jedyny pozostały przy życiu członek Wyprawy miał powrócić przez wiry czasu i przestrzeni na Werel i opowiedzieć o Ziemi to wszystko, co wpoili mu Shinga — kwak, kwak, jak te ptaki, które kwakały „to źle zabijać", jak ten uduchowiony dzik i myszy piszczące w podziemiach domu Człowieka… Bezmyślny, uczciwy, godzien współczucia Orry zaniósłby kłamstwo na Werel.

Honor i pamięć Kolonii znaczyły dla mieszkańców Werel bardzo wiele i słysząc wołania z Ziemi o pomoc, udzieliliby jej; lecz gdyby usłyszeli, że nie ma i nigdy nie było tam Wroga, że Ziemia jest starożytnym, szczęśliwym rajskim ogrodem, najprawdopodobniej nie wyruszyliby w tak długą podróż tylko po to, by go zobaczyć. A jeśli nawet, to przybyliby nie uzbrojeni, tak jak Ramarren i jego towarzysze.

Jeszcze jeden głos odezwał się w jego pamięci, jeszcze dawniejszy, dochodzący z jeszcze głębszej, leśnej głuszy: „Nie możemy wiecznie żyć tak jak teraz. Musi istnieć nadzieja, znak…"

Nie przybył tutaj z posłaniem do ludzkości, tak jak marzył sobie Zove. Nadzieja była jeszcze dziwniejsza niż ta, o której mówił Zove, znak bardziej niejasny. Mial przekazać posłanie od ludzkości, ich wołanie o pomoc, o wyzwolenie.

Muszę wrócić do domu, muszę powiedzieć im prawdę, pomyślał widząc, że Shinga będą chcieli za wszelką cenę temu zapobiec, że to Orry może zostać wysłany, a on zatrzymany tutaj albo zabity.

Niespodziewanie, na skutek ogromnego zmęczenia spowodowanego nieustannym wysiłkiem, aby myśleć spójnie, karby jego woli rozluźniły się, niepewna kontrola, jaką udało mu się zdobyć nad swym udręczonym i zmęczonym podwójnym umysłem, prysnęła. Wyczerpany osunął się na łóżko i ujął głowę w dłonie. Gdybym tylko mógł wrócić do domu — pomyślał — gdybym tylko mógł przejść się jeszcze raz z Parth po Długim Polu…

— To były przepełnione żalem pragnienia marzącego Falka. Ramarren próbował umknąć przed tą beznadziejną tęsknotą przywołując wspomnienie swojej żony, ciemnowłosej, złotookiej, ubranej w suknię uszytą z tysiąca srebrnych łańcuszków — jego żony, Adris. Ale jego ślubna obrączka zginęła. A Adris nie żyła. Zmarła już dawno, dawno temu. Wyszła za niego wiedząc, że będą razem niewiele dłużej niż jeden księżycowy miesiąc, gdyż on wyruszał w Podróż na Ziemię.

I podczas tej jednej straszliwej chwili, jaką trwała jego Podróż,

ona zdążyła przeżyć swe życie, zestarzeć się i umrzeć; być może nie żyła j uż od stu ziemskich lat.

„Powinieneś umrzeć sto lat temu” — powiedział Książę Kansas do nic nie rozumiejącego Falka, widząc, wyczuwając lub rozpoznając drugiego człowieka, który był w nim zatracony, człowieka urodzonego tak dawno temu. I jeśli teraz Ramarren zdołałby powrócić na Werel, przeskoczyłby jeszcze bardziej swoją przyszłość. Blisko trzy stulecia, niemal pięć Wielkich Lat minęłoby wówczas od czasu, kiedy po raz ostatni widział swój dom — wszystko byłoby zmienione, byłby na Werel tak samo obcy jak na Ziemi.

Było tylko jedno jedyne miejsce, do którego naprawdę mógłby powrócić jak do domu, gdzie zostałby powitany z radością przez tych, którzy go kochali: to był Dom Zove. I tego domu nigdy już nie zobaczy. Jeśli jego droga prowadzi dokądkolwiek, to z pewnością poza Ziemię. Jest samodzielny i ma tylko jedną rzecz do zrobienia: uczynić wszystko, aby dotrzeć do końca tej drogi.

X

Był jasny poranek, a on był bardzo głodny. Kiedy to sobie uświadomił, podszedł do ukrytych drzwi i zawołał głośno o jedzenie. Nie otrzymał odpowiedzi, lecz niebawem wykonawca przyniósł posiłek i obsłużył go. Kiedy kończył jeść, z zewnątrz zabrzmiał krótki dźwięk.

— Wejść — powiedział Ramarren w swym ojczystym języku i do pokoju wszedł Har Orry, potem wysoki Shinga Abundibot i jeszcze dwóch innych, których Ramarren nigdy przedtem nie widział. Jednak znał ich imiona: Ken Kenyek i Kradgy. Przedstawili mu się, należało dbać o pozory grzeczności. Ramarren stwierdził, że kontroluje się zupełnie dobrze: konieczność całkowitego stłumienia i ukrycia osobowości Falka była mu teraz na rękę, pozwalając mu zachowywać się spontanicznie. Czuł, że mentalista Ken Kenyek usiłuje przeniknąć jego osłony z niemałą zręcznością i siłą, ale to go nie martwiło. Jeśli jego osłony wytrzymały nawet parahipnotyczne zabiegi, z pewnością nie zawiodą teraz.

Żaden z nich nie skierował do niego przekazu myślowego. Stali dookoła dziwnie sztywni, jak gdyby bojąc się, że zostaną dotknięci, i mówili tylko szeptem. Zadaj im kilka pytań dotyczących Ziemi, ludzkości, Shinga, których można się było po nim, Ramarrenie, spodziewać, i z powagą słuchał odpowiedzi. W pewnej chwili spróbował dostroić się do Orry'ego, ale nie udało mu się. Chłopiec nie otoczył swego umysłu osłoną, lecz najprawdopodobniej został poddany jakimś mentalnym zabiegom, które pozbawiły go i tak niewielkich, nabytych w dzieciństwie umiejętności przechwytywania cudzego przekazu, a ponadto był pod działaniem uzależniającego narkotyku. Nawet kiedy Ramarren przesłał mu krótki, poufny sygnał ich związku w prechnoi, zaczął pociągać pariithę z tuby. W tym jaskrawym, oszałamiającym, pełnym złud świecie dawała mu poczucie bezpieczeństwa, ale jego zmysły były stępione i nie odbierał niczego.

— Jak dotąd nie widziałeś na Ziemi niczego oprócz tego pokoju — odezwał się do Ramarrena ochrypłym szeptem ten ubrany jak kobieta, Kradgy. Ramarren miał się na baczności przed nimi wszystkimi, lecz Kradgy budził w nim szczególny lęk i odrazę: z tego otyłego ciała okrytego obszernymi, lejącymi się szatami, długich purpurowoczarnych włosów i ochrypłego, precyzyjnego szeptu wyzierał cień nocnego koszmaru.

— Chciałbym zobaczyć więcej.

— Pokażemy ci wszystko, co tylko zechcesz zobaczyć. Ziemia stoi otworem przed jej czcigodnym gościem.

— Nie pamiętam, żebym widział Ziemię z „Alterry", kiedy

wchodziliśmy na orbitę — rzekł Ramarren w lingalu, twardo, po wereliańsku akcentując zgłoski. — Nie pamiętam również ataku na statek. Czy możecie mi powiedzieć dlaczego?

To pytanie mogło być ryzykowne, lecz był niezmiernie ciekaw odpowiedzi: w tym miejscu w jego podwójnej pamięci wciąż ziała pustka.

— Znajdowaliście się w stanie, który my nazywamy achronią, przeciwczasem — odparł Ken Kenyek. — Wychodząc z podświetlnej znaleźliście się od razu na Barierze, ponieważ wasz statek nie miał retemporalizatora. W tym momencie i przez kilka minut lub godzin potem byliście albo nieprzytomni, albo obłąkani.

— Nie zetknęliśmy się z czymś takim podczas naszych krótkich próbnych lotów z prędkością światła.

— Im dłuższy lot, tym silniejszy efekt Bariery.

— Zaprawdę, niezwykłym i zdumiewającym wyczynem była ta podróż na odległość stu dwudziestu pięciu lat świetlnych tylko po to, aby wypróbować statek! — odezwał się swym skrzypiącym szeptem, jak zwykle kwieciście, Abundibot.

Ramarren przyjął komplement, nie korygując odległości. — Pozwólcie, moi panowie, pokażemy naszemu gościowi Miasto Ziemi. — Równocześnie ze słowami Abundibota Ramarren przechwycił transmisję myślomowy pomiędzy Kradgym i Ken Kenyekiem, ale nie zrozumiał treści; był zbyt zajęty utrzymywaniem własnej osłony, aby móc podsłuchiwać czyjeś przekazy czy nawet odbierać pełną gamę wrażeń empatycznych.

— Statek, na którym powrócicie na Werel — odezwał się Ken Kenyek — będzie oczywiście wyposażony w retemporalizator, tak że nie będziecie zmuszeni odczuwać tego przykrego rozstroju umysłowego wchodząc w przestrzeń okołoplanetarną.

Ramarren podniósł się, raczej niezgrabnie — Falk przywykł do krzeseł, lecz Ramarren nie i było mu bardzo niewygodnie, kiedy tak zasiadał w powietrzu — lecz zaraz stanął bez ruchu i dopiero po chwili zapytał:

— Statek, na którym powrócimy?…

Orry uniósł wzrok pełen nadziei i niepewności. Kradgy ziewnął pokazując mocne, żółte zęby. Odezwał się Abundibot:

— Przygotowaliśmy światłowiec, który zabierze ciebie, Lordzie Agad, i Har Orry'ego na Werel, kiedy już zobaczysz na Ziemi to wszystko, co pragniesz zobaczyć, i dowiesz się tego wszystkiego, co chcesz wiedzieć. Sami niemal nie podróżujemy. Nie ma już wojen, nie musimy handlować z innymi światami i nie chcemy znowu doprowadzić biednej Ziemi do bankructwa, wydając tak ogromne kwoty na budowę światłowców, które miałyby służyć tylko zaspokojeniu naszej ciekawości. My, Ludzie Ziemi, jesteśmy już starą

rasą, zamiast badać i wtrącać się w sprawy innych, wolimy pozostać w domu i pielęgnować nasze ogrody.

„Nowa Alterra" oczekuje na ciebie na kosmodromie, a Werel oczekuje twego powrotu. To wielka szkoda, że twoja cywilizacja nie odkryła jeszcze zasad działania ansibla, moglibyśmy wówczas przesłać im wiadomość. Oczywiście, do tego czasu mogą już posiadać natychmiastowy przekaźnik, lecz nie możemy się z nimi połączyć nie znając współrzędnych.

— Tak, rzeczywiście — odparł grzecznie Ramarren. Po tych sławach w pokoju zawisła napięta cisza.

— Wydaje mi się, że nie rozumiem — dodał po chwili.

— Ansibl…

— Wiem, co to jest przekaźnik ansibl, chociaż nie wiem, jak działa. Tak, jak powiedziałeś, panie, kiedy opuszczałem Werel, nie odkryto tam jeszcze zasad działania natychmiastowego przekaźnika. Nie rozumiem natomiast, co przeszkadza wam spróbować połączyć się z Werel.

Niebezpieczeństwo. Był teraz czujny, skoncentrowany jak gracz, który wie, że nie może poruszyć już ani jednej bierki, i wyczuwał niemal elektryczne napięcie pod sztywnymi maskami tych trzech twarzy.

— Prech Ramarren — odezwał się Abundibot — jako że Har Orry był za młody, aby dowiedzieć się, jakie właściwie odległości dzielą nasze słońca, nigdy nie mieliśmy zaszczytu poznać dokładnego położenia Werel, chociaż oczywiście mamy o tym ogólne wyobrażenie. Kiedy Har Orry zaczął bieglej posługiwać się lingalem, nie był w stanie powiedzieć nam, jak brzmi w nim nazwa Słońca Werel. Oczywiście wiedzielibyśmy wówczas, o jakie Słońce chodzi, dzielimy bowiem ten język z tobą jako wspólne dziedzictwo po czasach Ligi. Zatem zmuszeni byliśmy oczekiwać na twą pomoc, która jest niezbędna, abyśmy mogli w ogóle podjąć próbę skontaktowania się z Werel przez ansibl lub zaprogramować współrzędne na statku, który dlą was przygotowaliśmy.

— Nie znacie nazwy Słońca, wokół którego krąży Werel? — Niestety, tak właśnie jest. Gdybyś zechciał nam powiedzieć…

— Nie mogę wam tego powiedzieć.

Nawet nie okazali zdziwienia — byli zbyt zajęci sobą, zbyt egocentryczni. Abundibot i Ken Kenyek nie okazali w ogóle niczego, jedynie Kradgy przemówił swym dziwnym, ponurym, precyzyjnym szeptem:

— Czy to znaczy, że ty również nie wiesz?

— Nie mogę powiedzieć wam Prawdziwej Nazwy Słońca — odparł spokojnie Ramarren.

Tym razem przechwycił i zrozumiał błysk myślowy przesłany od

Ken Kenyeka do Abundibota: „Mówiłem ci”. — Przepraszam cię, prech Ramarren, za moją ignorancję co do spraw objętych zakazem informowania. Czy zechcesz mi wybaczyć? Nie znamy waszych zwyczajów i chociaż niewiedza nie jest żadnym wytłumaczeniem, jest wszystkim, co mogę przytoczyć na swe usprawiedliwienie. — Abundibot skrzypiał dalej, kiedy nagle przerwał mu Orry, którego ostatnie słowa Ramarrena przestraszyły do tego stopnia, że wyrwał się z odrętwienia.

— Prech Ramarren, przecież… przecież będziesz mógł nastawić współrzędne statku? Przecież pamiętasz… pamiętasz to wszystko, co wiedziałeś jako Nawigator?

Ramarren odwrócił się do niego i zapytał spokojnie: — Czy chcesz wrócić do domu, vesprech?

— Tak!

— Za dwadzieścia lub trzydzieści dni, jeśli będzie to odpowiadało naszym gospodarzom, którzy ofiarowali nam tak wspaniały dar, powrócimy na ich statku na Werel. Przykro mi — rzekł odwracając się z powrotem do Shinga — że moje usta i umysł nie odpowiadają na wasze pytania. Moje milczenie jest niegodną odpłatą na waszą wielkoduszną przychylność i otwartość. — Gdyby używali myślomowy, pomyślał, ta wymiana zdań nie byłaby tak grzeczna, gdyż on w przeciwieństwie do Shinga nie był zdolny do fałszowania myślomowy i wówczas najprawdopodobniej nie mógłby przekazać ani jednego słowa z tego, co powiedział na końcu.

— To bez znaczenia, Lordzie Agad! Ważny jest twój bezpieczny powrót, a nie nasze pytania! Jeśli tylko potrafisz zaprogramować statek, a wszystkie nasze archiwa i komputery nawigacyjne są w każdej chwili do twojej dyspozycji, wówczas pytanie znaczy tyle samo co odpowiedź.

I rzeczywiście tak było, gdyż jeśli będą chcieli wiedzieć, gdzie leży Werel, wystarczy, że zdekodują kurs, jaki zaprogramował w komputerach ich statku. Gdy to uczynią, wymażą mu umysł, jeśli wciąż nie będą mu ufali, a chłopcu powiedzą, że przywrócenie pamięci w jego przypadku ostatecznie zakończyło się niepowodzeniem. Potem wyślą Orry’ego, aby zaniósł ich posłanie na Werel. A jemu nie ufają i nie będą ufać, ponieważ wiedzą, że może wykryć ich mentalne kłamstwa. Jeśli z tej pułapki, w jakiej się znalazł, było jakieś wyjście, to jeszcze go nie znał.

Przechodząc przez zamglone sale, zjeżdżając rampami i windami, wszyscy razem wyszli na ulicę zalaną blaskiem słońca. Ta część podwójnego umysłu, którą zajmował Falk, była teraz niemal całkowicie stłumiona i Ramarren poruszał się, myślał i mówił zupełnie swobodnie. Czuł stałą, baczną gotowość umysłów Shinga, szczególnie Ken Kenyeka, do przeniknięcia przez najdrobniejszą szczelinę jego

osłony lub przechwycenia najdrobniejszego błędu. Ten nieustanny napór zmuszał go do zdwojonej czujności. I właśnie jako Ramarren, obcy, spojrzał w niebo późnego poranka i zobaczył żółte Słońce Ziemi.

Zatrzymał się, przeniknięty nagłą radością. Bo to było coś — bez względu na to, co było przedtem i co mogło stać się później — naprawdę coś: zobaczyć w swoim życiu światło dwóch Słońc. Pomarańczowozłotego Werel i białozłotego Ziemi — miał je teraz oba przed oczyma, jak człowiek, który trzyma dwa klejnoty porównując ich piękność po to, aby jeszcze bardziej nasycić się ich blaskiem.

Chłopiec stał tuż przy nim i Ramarren zaczął szeptać pozdrowienie, jakiego uczą się kelshańskie dzieci, aby witać nim słońce o poranku lub po długich zimowych zawieruchach: „Niech będzie pozdrowiona gwiazda życia, środek roku…" Orry podchwycił w połowie i mówił dalej razem z nim. Te słowa spowodowały, że po raz pierwszy zadzierzgnęła się pomiędzy nimi nić prawdziwego zrozumienia i Ramarren był z tego zadowolony, gdyż wiedział, iż najprawdopodobniej będzie potrzebował Orry'ego, zanim ta gra dobiegnie końca.

Przywołano śmigacz i zaczęli krążyć po mieście. Ramarren zadawał pytania, jakich można było od niego oczekiwać, a Shinga odpowiadali, jak uważali za stosowne. Abundibot opisał szczegółowo, jak wszystko to, z czego składało się Es Toch — wieże, mosty, ulice i pałace — zbudowane zostało z dnia na dzień tysiąc lat temu na rzecznej wyspie po drugiej stronie planety i jak w ciągu stuleci, ilekroć mieli ochotę poczuć się Władcami Ziemi, przywoływali swe zdumiewające maszyny i urządzenia, aby przeniosły całe miasto na nowe miejsce, odpowiadające ich zachciankom. Była to niezwykle ładna i zajmująca historia: Orry był zbyt otępiały od narkotyków i za bardzo przekonany o jej prawdziwości, aby podać ją w wątpliwość, natomiast to, czy Ramarren uwierzy czy nie, zdawało się nie mieć większego znaczenia. Abundibot mówił oczywiste kłamstwa dla samej przyjemności kłamania. Być może była to jedyna przyjemność, jaką znał. Szczegółowo opisywał, w jaki sposób rządzono Ziemią, jak wielu Shinga przebranych za „zwykłych tubylców" spędza swe życie wśród zwyczajnych ludzi, realizując wielki plan stworzony w Es Toch, jak beztroska i zadowolona jest niemal cała ludzkość, bo wie, że Shinga utrzymają pokój i przeciwstawią się wszelkim przeciwnościom, jak popiera się sztukę i naukę i jak łagodnie poskramia niszczycielskie i buntownicze grupy. Planeta skromnych ludzi, zamieszkałych w małych, skromnych domach i zorganizowanych w miłujące pokój szczepy i grupy miejskie, nie wiedzących, co to wojny, zabijanie i przeludnienie, nie pamiętających o dawnych osiągnięciach i ambicjach, niemal rasa dzieci, całkowicie bezpieczna pod stałym, dobrotliwym kierownictwem kasty Shinga i w razie potrzeby mająca

do dyspozycji ich niewiarygodne osiągnięcia technologiczne…

Wciąż taka sama, choć w różnych odmianach, opowieść ciągnęła się i ciągnęła, olśniewająca i uspokajająca. Nic dziwnego, że biedny, pozostawiony samemu sobie Orry uwierzył w to — sam Ramarren uwierzyłby w większość z tego, co mówił Abundibot, gdyby nie wspomnienia Falka z Lasu i Równin, ukazujące jak na dłoni ledwie uchwytny, ale całkowity fałsz tej opowieści. Falk żył na Ziemi nie pośród dzieci, lecz wśród ludzi, roznamiętnionych, cierpiących, niekiedy niewiele różniących się od zwierząt.

Tego dnia pokazali mu całe Es Toch. Ramarrenowi, który spędził życie wśród starych ulic Wegest i w wielkich Zimowych Domach Kaspool, wydało się podobne do dekoracji teatralnej, mdłe i sztuczne, wywołujące wrażenie jedynie z uwagi na swe niesamowite naturalne położenie. Potem Ken Kenyek na zmianę z Abundibotem zaczęli zabierać Ramarrena i Orry'ego na całodniowe wycieczki stratolotami i międzyplanetarnymi stateczkami, pokazując im różne miejsca na wszystkich kontynentach, a nawet osamotniony i z dawna opuszczony Księżyc. Mijały dni, a oni dalej grali przedstawienia przede wszystkim ze względu na Orry'ego, zabiegając o Ramarrena tylko do czasu, dopóki nie wydobędą z niego tego, co chcą wiedzieć. Chociaż był nieustannie śledzony — bezpośrednio, za pomocą urządzeń elektronicznych, i telepatycznie — jego swoboda nie była w niczym ograniczana, widocznie zrozumieli, że teraz nie muszą się z jego strony niczego obawiać.

Może więc pozwolą mu wrócić do domu wraz z Orrym. Być może w swej nieświadomości uważają go za wystarczająco nieszkodliwego, aby pozwolić mu na opuszczenie Ziemi nie tknąwszy przedtem jego nowego umysłu.

Lecz swą ucieczkę z Ziemi mógł wykupić jedynie za cenę informacji, jakiej pożądali — danych o położeniu Werel. Jak dotąd nie powiedział im niczego, a oni o nic więcej nie pytali.

Czy jednak ostatecznie miało to jakieś znaczenie — czy Shinga znali położenie Werel, czy nie?

Niewątpliwie tak. Choć być może nie mieli zamiaru bezzwłocznie atakować swego potencjalnego wroga, to jednak mogli wysłać za „Nową Alterrą" automatyczną sondę z przekaźnikiem ansibl na pokładzie, aby natychmiast przekazywał im informacje o jakichkolwiek przygotowaniach do międzygwiezdnego lotu na Werel. Ansibl dałby im sto czterdzieści lat przewagi nad Werel: mogliby powstrzymać ekspedycję na Ziemię, zanim ta by wystartowała. Jedyną taktyczną przewagą posiadaną przez Werel był fakt, że Shinga nie znali jej położenia i mogli stracić kilka stuleci na jej zlokalizowanie. Zatem szansa ucieczki dla Ramarrena równała się cenie sprowadzenia straszliwego niebezpieczeństwa na świat, za który tutaj samotnie

odpowiadał.

I tak spędzał czas usiłując znaleźć jakieś wyjście z tego fatalnego położenia, latając z Orrym i jednym czy drugim Shingą tu i tam po całej Ziemi, która rozciągała się pod ich stopami jak wielki, wspaniały ogród, pozbawiony zupełnie chwastów i zaniedbanych miejsc. Całą mocą swego wyszkolonego umysłu szukał jakiegoś sposobu, aby odwrócić swoje położenie i z kontrolowanego stać się kontrolującym — gdyż tak właśnie nakazywała mu postępować jego kelshańska mentalność. Bo tak naprawdę, każda sytuacja, nawet chaos czy pułapka, może stać się jasna i sama doprowadzić do właściwego rozwiązania, gdyż ostatecznie główną rolę gra nie dysharmonia, tylko nieporozumienie, nie przypadek czy nieszczęście, tylko niewiedza. Tak myślał Ramarren, a jego druga dusza, Falk, nie zgadzał się z tym, lecz zarazem nie poświęcał ani chwili na to, aby znaleźć jakieś rozwiązanie. Falk bowiem widział matowe i błyszczące kamienie przesuwające się po drutach wzorca i mieszkał razem z ludźmi — królami na wygnaniu na ich własnej Ziemi — w ich upadłej posiadłości, i wydawało mu się, że żaden człowiek nie może zmienić swego przeznaczenia lub zapanować nad grą, a jedynie czekać, by błyszczący klejnot szczęścia przesunął się po nitce czasu. Tak więc podczas gdy Ramarren głowił się nad rozwiązaniem, Falk przyczaił się i czekał. I gdy nadarzyła się okazja, wykorzystał ją.

Lub raczej, gdy sytuacja się zmieniła, został przez nią wykorzystany.

Ta chwila nie wyróżniała się niczym szczególnym. Znajdowali się wraz z Ken Kenyekiem w szybkim, małym, automatycznym stratolocie, w jednej z tych wspaniałych, pomysłowych maszyn, które pozwalały Shinga tak efektywnie patrolować i nadzorować cały świat. Powracali do Es Toch po długim locie nad wyspami Zachodniego Oceanu. Na jednej z nich zatrzymali się na kilka godzin przy ludzkim osiedlu. Tubylcy z tego archipelagu byli pięknymi, zadowolonymi z siebie ludźmi, oddającymi się bez reszty żeglarstwu, pływaniu i seksowi w falach lazurowego morza — dla Werelian wspaniały przykład ludzkiego szczęścia i zacofania: nie ma o co się martwić, nie ma się czego obawiać.

Orry drzemał, trzymając w palcach tubę pariithy. Ken Kenyek przełączył pojazd na automatyczny pilotaż i wraz z Ramarrenem — jak zawsze oddalony od niego o kilka stóp, gdyż Shinga nigdy nie dopuszczali do fizycznego kontaktu z kimkolwiek — spoglądał przez przezroczyste ściany stratolotu na otaczające ich pięćsetmilowe koło czystego powietrza i błękitnawej wody. Ramarren był zmęczony i w tej przyjemnej chwili zawieszenia wysoko w przezroczystej bańce pośrodku błękitnozłotej kuli powietrza i wody pozwolił sobie na odrobinę relaksu.

— To uroczy świat — odezwał się Shinga.

— Tak.

— Prawdziwy klejnot wśród wszystkich światów… Czy Werel jest równie piękna?

— Nie. Jest bardziej surowa.

— Tak, to może być skutek długiego roku. Jak długiego, czy liczy sześćdziesiąt ziemskich lat?

— Tak.

— Powiedziałeś, że urodziłeś się jesienią. To by znaczyło, że przed opuszczeniem Werel nigdy nie widziałeś swego świata latem.

— Raz, kiedy poleciałem na Południową Półkulę. Lecz ich zimy są cieplejsze, a lata chłodniejsze od naszych, w Kelshy. Nigdy nie widziałem Wielkiego Lata na północy.

— Może jeszcze zobaczysz. Jeśli powróciłbyś w przeciągu kilku miesięcy, jaka wówczas byłaby pora roku na Werel?

Ramarren obliczał przez kilka sekund i odparł:

— Późne lato, być może dwudziesty księżycowy miesiąc lata.

— Mnie wyszło, że to będzie jesień… ile czasu zajmie podróż?

— Sto czterdzieści dwa ziemskie lata — odparł Ramarren, a gdy to wypowiedział, przez jego umysł przemknął krótki poryw paniki. Zamarł. Czuł obecność obcego umysłu w swoim własnym — kiedy mówił, Ken Kenyek wysondował go telepatycznie, znalazł lukę w jego mentalnej osłonie, dostroił się do jego umysłu i objął nad nim całkowitą kontrolę. Wszystko było w porządku. To, co się wydarzyło, stanowiło dowód niewiarygodnej cierpliwości i niezwykłych telepatycznych zdolności Shinga. Bał się tego, lecz teraz, kiedy już się to stało, wszystko było w absolutnym porządku.

Ken Kenyek przemówił do niego, już nie skrzypiącym szeptem, lecz w wyraźnej, wygodnej myślomowie:

— Tak, teraz jest wszystko w porządku, to dobrze, wspaniale. Czy to nie miło, że w końcu się dostroiliśmy?

— Niezwykle miło — zgodził się Ramarren.

— W rzeczy samej. Pozostaniemy zestrojeni i wszystkie nasze kłopoty skończą się. Zatem odległość wynosi sto czterdzieści dwa lata świetlne, a to znaczy, że twoje Słońce musi być jednym z konstelacji Smoka. Jak brzmi jego nazwa w lingalu? Nie, w porządku, wiem, że nie możesz tego powiedzieć ani przekazać. Eltanin, prawda? Tak się nazywa twoje Słońce?

Ramarren nie odpowiedział w żaden sposób.

— Eltanin, Oko Smoka, tak, wspaniale. Inne, które braliśmy pod uwagę, leżą nieco bliżej: To zaoszczędzi nam niemało czasu. Niemal…

Potoczysta, wyraźna, szydercza, kojąca myślomowa urwała się nagle i Ken Kenyek drgnął konwulsyjnie; jednocześnie to samo uczynił Ramarren. Shinga targnął się w kierunku tablicy kontrolnej stratolotu,

potem z powrotem. Pochylił się dziwnie, zbyt mocno, jak zawieszona na sznurkach marionetka, a potem nagle osunął się na podłogę i pozostał tam z uniesioną, bladą, piękną twarzą, zesztywniały.

Orry, wyrwany z błogiej drzemki, wytrzeszczył oczy:

— Co z nim? Co się stało?

Nie otrzymał odpowiedzi. Ramarren stał, tak samo sztywny jak leżący, a jego niewidzące oczy utkwione były w oczach Shinga. Kiedy w końcu poruszył się, przemówił w języku, którego Orry nie znał. Potem, z trudem, powiedział w lingalu:

— Zatrzymaj statek.

Chłopiec przyglądał mu się z otwartymi ustami:

— Co się stało Lordowi Ken, prech Ramarren?

— Ruszaj! Zatrzymaj statek!

Mówił w lingalu bez akcentu z Werel, stosując łamaną formę używaną przez miejscowych tubylców. Chociaż język był prawie niezrozumiały, to jednak natarczywość wezwania i autorytatywny ton wystarczyły. Orry posłuchał. Maleńka szklana bańka zawisła bez ruchu pośrodku ogromnej czary oceanu, na wschód od słońca.

— Prechna, czy…

— Zamilcz!

Cisza. Ken Kenyek leżał bez ruchu. Napięcie widoczne w całej postaci Ramarrena powoli nikło.

To, co wydarzyło się na mentalnej scenie pomiędzy nim a Ken Kenyekiem, było czymś w rodzaju zasadzki w zasadzce. W rzeczywistości wyglądało to następująco: Shinga napadł na Ramarrena sądząc, że zniewala jedną osobę, i z kolei sam został zaskoczony przez drugiego człowieka, inny umysł czający się w zasadzce — Falka. Tylko na sekundę Falk był w stanie przejąć kontrolę, i to wyłącznie przez zaskoczenie, lecz to wystarczyło w zupełności, aby uwolnić Ramarrena spod kontroli. Skoro tylko się uwolnił — podczas gdy umysł Ken Kenyeka wciąż był dostrojony do jego umysłu i bezbronny — Ramarren przejął kontrolę. Poświęcił wszystkie swe umiejętności i całą moc, aby umysł Ken Kenyeka pozostał związany z jego umysłem, bezradny i powolny, tak jak jego własny był chwilę przedtem. Lecz jego przewaga utrzymywała się: wciąż był kimś o dwóch umysłach i podczas gdy Ramarren utrzymywał Shinga w stanie bezradności, Falk mógł myśleć i działać.

To była szansa, właśnie ta chwila — innej mogło nie być. Falk zapytał głośno:

— Gdzie znajduje się światłowiec gotowy do lotu? Było czymś niezwykłym słyszeć, jak Shinga odpowiada swym szepczącym głosem, i wiedzieć — przynajmniej ten jeden raz wiedzieć absolutnie i z całą pewnością — że nie kłamie.

— Na pustyni, na północny zachód od Es Toch.

— Czy jest strzeżony?

— Tak.

— Przez strażników?

— Nie.

— Zaprowadzisz nas tam.

— Zaprowadzę was tam.

— Prowadź stratolot według jego wskazówek, Orry.

— Nie rozumiem, prech Ramarren, czy…

— Opuścimy Ziemię. Teraz. Przejmij stery.

— Przejmij stery — powtórzył cicho Ken Kenyek. Orry posłuchał, obierając kurs wedle instrukcji Shinga. Na pełnej szybkości stratolot wystrzelił ku wschodowi, jednak wciąż zdawał się zawieszony pośrodku niezmiennej półkuli nieba i morza, ku krańcom której, za nimi, powoli opadało słońce. Potem ujrzeli Zachodnie Wyspy, zdające się pędzić ku nim ponad pomarszczoną, błyszczącą krzywizną morza; za nimi pojawiły się białe, ostre szczyty wybrzeża, zbliżyły się i przemknęły pod stratolotem. Znajdowali się teraz nad ciemnobrązową pustynią, pociętą pasmami jodłowych, pełnych żlebów wzgórz, rzucających długie cienie na wschód. Wciąż kierując się szeptanymi wskazówkami Ken Kenyeka Orry zmniejszył prędkość, okrążył jedno z górzystych pasm, przestawił urządzenia sterownicze na automatyczne naprowadzanie radiolatarni i pozwolił, aby stratolot sam wylądował. Mur martwych gór wzniósł się i otoczył ich, kiedy siadali na szarawej, pokrytej cieniami równinie.

Nie było widać żadnego kosmoportu, lądowiska, dróg czy budynków, tylko jakieś niewyraźne duże kształty drżące jak miraże unosiły się ponad piaskiem i suchymi bylicami u stóp ciemnych górskich zboczy. Falk wpatrywał się w nie, nie mogąc ich wyraźnie zobaczyć, i to Orry był tym, który powiedział wstrzymując oddech:

— Gwiazdoloty.

Były to międzygwiezdne statki Shinga, ich flota lub jej część, ukryte pod rozpraszającymi światło sieciami. Te, które Falk zobaczył najpierw, były mniejsze od tych, które początkowo wziął za podnóża gór…

Stratolot osiadł łagodnie obok maleńkiej, rozpadającej się, pozbawionej dachu chaty ze zbielałych i spękanych od uderzeń pustynnego wiatru desek.

— Co to za chata?

— Wejście do podziemi znajduje się tuż przed nią.

— Czy są tam komputery obsługi naziemnej?

— Tak.

— Czy któryś z tych małych statków jest gotowy do lotu?

— Wszystkie są gotowe. Są to przeważnie automatyczne statki obronne.

— Czy któryś z nich przystosowany jest do ręcznego pilotażu?

— Tak. Ten przeznaczony dla Har Orry'ego.

Podczas gdy Ramarren w dalszym ciągu trzymał umysł Shinga w telepatycznym uścisku, Falk polecił mu zaprowadzić ich do statku i pokazać komputery pokładowe.

Ken Kenyek posłuchał od razu. Falk-Ramarren nie spodziewał się, że będzie tak uległy: kontrola mentalna miała swe granice, tak samo jak normalna sugestia hipnotyczna. Dążenie do zachowania własnej osobowości często opiera się nawet najsilniejszej kontroli i czasami niweczy w całości dostrojenie dwóch umysłów, jeśli jeden z nich stara się narzucić drugiemu coś, co jest całkowicie sprzeczne z jego hierarchią wartości. Lecz zdrada, do której zmusił Ken Kenyeka, najwidoczniej nie wywołała w tamtym żadnego instynktownego oporu; zaprowadził ich na statek i posłusznie odpowiadał na wszystkie pytania Falka-Ramarrena, potem poprowadził ich z powrotem do walącej się chaty i na rozkaz Falka-Ramarrena, używając ukrytych przekaźników i sygnału telepatycznego, otworzył zapadnię ukrytą w piasku przed drzwiami. Weszli w tunel, który się przed nimi pojawił. Przed wszystkimi podziemnymi drzwiami, urządzeniami kontrolnymi, ekranami ochronnymi Ken Kenyek dawał właściwy sygnał lub odzew i w ten sposób doprowadził ich w końcu do położonych głęboko pod ziemią pomieszczeń, zabezpieczonych przed wszelkim atakiem, kataklizmem czy złodziejami, gdzie znajdowały się urządzenia automatycznej kontroli lotu i komputery nawigacyjne.

Minęła już dobra godzina od czasu, kiedy Ramarren przejął kontrolę nad Shingą. Ken Kenyek, zgodny i posłuszny, chwilami przypominający Falkowi biedną Estrel, stał przy nim zupełnie nieszkodliwy — nieszkodliwy tak długo, jak długo Ramarren utrzymywał jego mózg pod całkowitą kontrolą. Z chwilą rozluźnienia kontroli choć na chwilę Ken Kenyek mógłby przesłać telepatyczne wezwanie do Es Toch, jeśli wystarczyłoby mu na to sił, lub włączyć jakiś alarm, a wtedy i inni Shinga albo ich wykonawcy zjawiliby się tutaj w przeciągu kilku minut. A Ramarren musiał rozluźnić kontrolę, gdyż aby myśleć, potrzebny mu był jego własny umysł. Falk bowiem nie umiał zaprogramować w komputerze podświetlnego kursu na satelitę Słońca Eltanin, na Werel. Tylko Ramarren mógł to uczynić.

Jednak Falk miał i na to swoje własne sposoby.

— Oddaj mi broń.

Ken Kenyek natychmiast wręczył mu niewielki przedmiot, ukryty dotychczas pod skomplikowanymi, wyszukanymi szatami. Orry patrzył z przerażeniem. Falk wcale nie miał zamiaru wyprowadzać chłopca ze wstrząsu, jakiego doznał; tak naprawdę był z tego zadowolony.

— Cześć dla Życia? — zapytał zimno, sprawdzając broń. Tak jak

się tego spodziewał, nie była to broń palna czy laser, tylko poddźwiękowy paralizator, którym nie można było zabijać. Wycelował w Ken Kenyeka, żałosnego przez swój całkowity brak oporu, i wystrzelił. Orry, widząc to, krzyknął i rzucił się przed siebie, więc Falk skierował paralizator na niego. Potem, czując, jak drżą mu ręce, odwrócił się od dwóch rozciągniętych, nieruchomych postaci i pozwolił Ramarrenowi zająć się resztą. On na razie zrobił to, co do niego należało.

Ramarren nie miał czasu na troskę czy skrupuły. Skierował się prosto do komputerów i zabrał do roboty. Po sprawdzeniu pokładowych urządzeń nawigacyjnych i kontroli lotu stwierdził, że matematyka zastosowana do obsługi statku nie opierała się na podstawach cetiańskiej matematyki, której wciąż używali Ziemianie i z której, poprzez Kolonię, wywodziła się matematyka Werel. Niektóre ze stosowanych przez Shinga procedur matematycznych, na podstawie których działały ich komputery, były całkowicie obce metodom i logice cetiańskiej matematyki. I nic innego nie mogło bardziej przekonać Ramarrena, że Shinga rzeczywiście byli obcymi na Ziemi, obcymi na wszystkich starych światach Ligi, najeźdźcami z jakiejś odległej planety. Nigdy nie był zupełnie pewien, czy stare historie i opowieści, jakie słyszał na Ziemi, nie mijały się tutaj z prawdą, lecz teraz całkowicie się o tym przekonał. Ostatecznie, przede wszystkim był matematykiem.

I dobrze, że nim był, gdyż w przeciwnym razie obcość niektórych procedur uniemożliwiłaby wprowadzenie do komputerów współrzędnych Werel. Tak czy inaczej, praca zajęła mu pięć godzin. Przez cały ten czas połowa jego uwagi, dosłownie, zwrócona była na Ken Kenyeka i Orry'ego. Prościej było utrzymać chłopca w stanie nieprzytomności, niż wszystko mu wyjaśniać czy wydawać polecenia, absolutną zaś koniecznością było, aby Ken Kenyek pozostał całkowicie nieprzytomny. Na szczęście paralizator był niezwykle skuteczną bronią, i w czasie gdy on odkrywał właściwe układy w komputerze, Falk musiał użyć go tylko jeszcze jeden raz. Potem mógł znowu współistnieć, do pewnego stopnia, podczas gdy Ramarren męczył się nad swoimi obliczeniami.

Kiedy Ramarren pracował, Falk nie zwracał uwagi na nic, tylko nadsłuchiwał i nie spuszczał oka z dwóch rozciągniętych koło niego bez czucia, nieruchomych postaci. I myślał; myślał o Estrel, zastanawiając się, gdzie teraz jest i czym jest. Czy przeszkolili ją, wymazali jej umysł, zabili? Nie, oni nie zabijają. Boją się zabijać i boją się umierać, a ten swój strach nazywają Czcią dla Życia. Shinga, Wrogowie, Kłamcy… Czy jednak w rzeczywistości kłamali? Być może rzecz miała się nieco inaczej: być może istotą ich kłamstwa był całkowity, nie do pokonania, brak zrozumienia. Nie mogli stykać się z

ludźmi. Przywykli do tego i czerpali z tego korzyści, przetwarzając to w straszliwą broń: mentalne kłamstwo. Lecz czy ostatecznie opłaciło im się to? Dwanaście stuleci kłamstw, od czasu kiedy po raz pierwszy tutaj przybyli, wygnańcy, piraci czy też budowniczowie imperium z jakiejś odległej gwiazdy, zdecydowani zapanować nad tymi rasami, których umysły były dla nich niezrozumiałe i których ciała miały na zawsze pozostać dla nich jałowe. Sami, osamotnieni, głuchoniemi władcy władający światem złudzeń.

Och, pustko…

Ramarren skończył. Po pięciu godzinach mozolnych wstępnych obliczeń i ośmiu sekundach pracy na komputerze trzymał w palcach gotową do użycia maleńką płytkę z irydu, służącą do zaprogramowania urządzeń nawigacyjnych statku.

Odwrócił się i spojrzał zamglonym wzrokiem na Orry'ego i Ken Kenyeka. Co z nimi zrobić? Oczywiście, musi ich zabrać ze sobą. *Wymaż pamięć komputerów* — odezwał się w jego mózgu jakiś głos, jego własny — Falka. Ramarrenowi kręciło się w głowie ze zmęczenia, lecz stopniowo uświadomił sobie zasadność tego polecenia i wykonał je. Potem był już tak wyczerpany, że nie mógł nawet zebrać myśli, aby zastanowić się, co robić dalej. I tak, w końcu, po raz pierwszy skapitulował: zaprzestał wysiłków, aby dominować, pozwalając jego jaźni zespolić się… z jego własną.

Falk-Ramarren zabrał się od razu do roboty. Z trudem wyciągnął Ken Kenyeka na powierzchnię i powlókł po mieniącym się w świetle gwiazd piasku do statku, którego rozmazane, ledwo widoczne kontury drżały, opalizując wśród pustynnej nocy. Umieścił bezwładne ciało w bocznym fotelu, częstując je dodatkową porcją z paralizatora, a potem wrócił po Orry'ego.

Orry zaczynał już przychodzić do siebie i z trudem próbował sam wspiąć się na statek.

— Prech Ramarren — odezwał się ochrypłym głosem, trzymając się kurczowo ramienia Falka-Ramarrena — dokąd lecimy?

— Na Werel.

— Czy on leci z nami… Ken Kenyek?

— Tak. Będzie mógł opowiedzieć na Werel swoją historię o Ziemi, a ty swoją, ja zaś moją. Do prawdy zawsze prowadzi wiele dróg. Zapnij pasy. O tak.

Falk-Ramarren wsunął maleńką metalową płytkę w szczelinę komputera nawigacyjnego. Kiedy została przyjęta, wydał polecenie, aby statek wystartował w przeciągu trzech minut. Rzuciwszy ostatni raz okiem na pustynię i gwiazdy zamknął włazy i drżąc cały ze zmęczenia i napięcia, pospiesznie wrócił do sterowni. Usiadł w fotelu obok Orry'ego i Shinga i zapiął pasy.

Wystartowali na silnikach jądrowych — napęd świetlny mógł

zostać włączony dopiero po opuszczeniu orbity Ziemi. Wznieśli się łagodnie i po kilku sekundach pozostawili za sobą atmosferę. Przesłony ekranów otwarły się automatycznie i Falk-Ramarren zobaczył opadającą w dół Ziemię: ogromny, mroczny, niebieskawy łuk, zwieńczony błyszczącą obręczą światła. W chwilę później statek wyszedł z cienia Ziemi w nieskończony blask Słońca.

Opuszczał dom czy też wracał do domu?

Na ekranie, na tle gwiezdnego pyłu, jak klejnot na wielkim wzorcu zalśnił przez chwilę złoty sierp wstającego ponad Wschodnim Oceanem świtu. Potem klejnot i wzorzec zatrzęsły się i rozpadły w kawałki — maleńki statek przekroczył barierę i wyrwał się z czasu. I wraz z nimi przemknął przez ciemność.

KONIEC